JANUSZ OLSZANOWSKI

ON I ONA

POWIEŚĆ

Umiej nie stracić z ócz światła do końca
A śmierć ci będzie jako życie miła
Mrok nie dlatego jest, że niema słońca
Lecz że się ziemia odeń odwróciła.

Ejsmond.

WŁOCŁAWEK / 1930

ON I ONA

Czcigodnemu i Zacnemu Pan[u]
Wizytatorowi Janowi Michalskiemu
w dowód wysokiego szacunku
i sympatji ofiaruje.

Autor

DRUKARNIA DIECEZJALNA W WŁOCŁAWKU BRZESKA 4

JANUSZ OLSZANOWSKI

ON I ONA

POWIEŚĆ

> Umiej nie stracić z ócz światła do końca
> A śmierć ci będzie jako życie miłe
> Mrok nie dlatego jest. że niema słońca
> Lecz że się ziemia odeń odwróciła.
>
> *Ejsmond.*

WŁOCŁAWEK / 1930

Ołowiany mrok rozpostarł się w dużym, wiejskim pokoju i szarzyzną pełną melancholji zawisł na jasnych ścianach. W tych cieniach rysowały się zaledwie kontury sprzętów, a tylko białą plamą świeciło łóżko. Przez otwarte okna lękliwie zaglądały spóźnione krwawe blaski,—gdzieś daleko na horyzoncie niknących zórz...

Tajemnicze szepty szły przez okna z parku z przepaścistej głębi lasu, co ciemnym murem opasywał milczący dwór.

W pokoju stały sprzęty tylko niezbędne. Na środku łóżko wygodne staroświeckie, wezgłowiem oparte o ścianę — na niem cień człowieka.

Rysy chorego byłyby nawet piękne, gdyby twarzy nie pokrywała chorobliwa barwa gorączkowych rumieńców. Nos ładny o lekkiem wzniesieniu, ruchome nozdrza.

Usta pełne i zgrabnie wykrojone, osłonięte krótko przystrzyżonym płowym wąsem — blade były i zaciśnięte. Twarz, powleczona ziemistą bladością, tylko kontrastowo odbijała od niej krwistość wypieków i od długich rzęs ciemne koła pod oczami.

Twarz młoda, ale w ściągniętych sobolową linją brwiach uderzał wyraz nieugiętej woli i stanowczości.

Głowa chorego cała obandażowana, oddech krótki urywany świadczyły, że chociaż życie krążyło jeszcze w żyłach... śmierć stała niedaleko, tylko czyhając na ofiarę...

Mimo otwarte okna powietrze w pokoju przesycone było zapachem lekarstw, co wytwarzało atmosferę lęku przed czemś niewiadomem, a strasznem...

Ktoś drzwi uchylił bez szelestu... To młoda kobieta wiotka i wysmukła w białym fartuchu i czepeczku pielęgniarki podeszła na palcach do łóżka.

Dwoje piwnych o sarnim wyrazie oczu pod cienką linją brew utkwiła z niepokojem w zmienionych chorobą rysach mężczyzny.

Twarzyczka jej szczupła i tak biała, że mało się różniła od czepeczka, z pod którego wymykały się niesforne kasztanowate loczki — miała wyraz dziecinnej powagi, ale jednocześnie już dojrzałego w doświadczeniu bólu...

Nagle ruchem beznadziejnej rozpaczy splotła ręce nad czołem, jakby bezmiar cierpienia dźwigały te młodziutkie barki... Po chwili w śmiertelnem znużeniu ręce jej opadły bezwładnie, osunęła się na kolana, pochylając nad chorym, który zdawał się nie widzieć, co się z nim dzieje.

— Żegnaj, Stefie!—szeptała wpatrzona w zastygłe rysy chorego. Żyć będziesz musisz żyć!— Doktór zapewnił, że Ci już nie grozi niebezpie-

czeństwo.— Dla mnie to radość, ale jednocześnie— jakby wyrok... — Pochyliła główkę i wielkie gorące krople łez potoczyły się po wychudłej twarzyczce.

— Dotąd byłeś moim... teraz trzeba mi już stąd iść... — Przylgnęła ustami leciutko do jego ręki. Chory drgnął może mimowoli, lecz kobieta przerażona zerwała się pośpiesznie. Ale odchodząc przystanęła jeszcze chwilę i długo stała tak z rękami opuszczonemi wysmukła, a przybita cierpieniem, które przerastało jej siły młodzieńcze; stała, jakby nie mogąc się oderwać od tych miejsc, gdzie zostawiała cząstkę siebie...

Wolno — ciągle zwrócona do łóżka — cofała się ku drzwiom, a, trzymając już rękę na klamce ostatni raz wzrokiem bezdennie smutnym, z uczuciem niewysłowionej tkliwości, utonęła w drogich rysach.

— Żegnaj... moje kochanie... Odchodzę.. na zawsze!...

Wyszła—jasna nawet w mrokach wieczoru...

Chory jęknął... może przez sen... może w gorączkowych majaczeniach...

Po kilku chwilach w ciszę wieczoru, w melancholję snujących się po parku, odpędzonych od łoża śmiertelnych bladych widm, czy duchów żałobnych — może pokutnych, wpadł dźwięk nieznany coś jakby słowa pożegnania... jakby głuchy zdławiony szept serca... co łka skargą...

To tępy turkot oddalających się kół...

Coraz dalszy... coraz cichszy... aż skonał w mrocznej przestrzeni...

I.

Chory otworzył oczy i powiódł zdziwionym wzrokiem po ścianach obszernego pokoju. Jego atmosfera pełna słońca i powietrza różniła się kontrastowo od ścian ciemnego gabinetu, w którym przyzwyczaił się pracować od długich lat i gdzie wśród .bezsennych nocy — przemyślał i przebolał wiele chwil gorzkich.

Tu — jakby inne wstępowało w niego życie. Jakiś prąd świeży pobudzał krew do szybszego krążenia, choć głowa ciążyła i bolała przy najmniejszym ruchu.

Odczuwał świadomość swego istnienia, a żądza bytu odzywała się w nim z całą żywiołową siłą.

Sądził, że się budzi z długiego przykrego snu — przymykał zmęczone powieki, nie mogąc znieść jarzącego blasku słońca, które złotą niefrasobliwą falą płynęło przez dwa otwarte weneckie okna z parku, otaczającego gęstym pierścieniem dwór Stefana Mirskiego.

Młody dziedzic od kilku miesięcy złożony ciężką chorobą borykał się ze śmiercią, co się czaiła u jego wezgłowia.

Słońce stało wysoko, darząc ciepłem majowe południe. Przez okna wpadał do pokoju prąd leśnego powietrza. Zapach rozgrzanych w słońcu świerków i wysmukłych topoli, walczył o lepsze z wonią rozkwitłych bzów. Jego puszyste śnieżne i lila kiście ciekawie zaglądały przez otwarte okna do wnętrza pokoju, muskając

pieszczotliwie przy lekkim powiewie wiatru — białe firanki u okien.

Złote plamy słoneczne ślizgały się i goniły po posadzce, to niknąc, to znów się ukazując w miarę poruszania się gałęzi drzew za oknami.

Cisza wiosennego południa upajała słońcem, aromatem bliskiego lasu łąk i pól.

Chory z rozkoszą przymykał oczy, chłonąc pełną piersią orzeźwiające balsamiczne powietrze.

Wszystko napełniało go radością.

Marzyło mu się, że to jakaś dobroczynna wróżka dotknięciem zaczarowanej pałeczki wyrwała go z otchłani ciemności i z oczu zdjęła krępującą opaskę... Poczuł się w bajkowej krainie blasków i woni...

Czekał, że oto za chwilę otworzą się podwoje i wejdzie majestatem uroków dostojna, — lub przez okno na promyku złotym spłynie świetlana i wpadnie mu w ramiona, owa wróżka — czarodziejka!

Ale ciszy nic nie mąciło...

Chory drzemał, śniąc rozkosznie... W jego zmęczonym długą chorobą umyśle rzeczywistość mieszała się z wizjami niedawnych gorączkowych snów i widziadeł. Chwilami tracił świadomość własnego bytu i przeżyć,—odrywał się od ziemi i miał wrażenie, że jakby duch bez ciała szybuje swobodnie w wolnej przestrzeni zaświatów... Tylko czasami coś z oddalonych wspomnień jaskrawym obrazem ukazało mu się w pamięci, — ale nikło zaraz jak w kalejdoskopie.....

Więc.... posępny dzień, chylący się ku zmierzchowi; na kominku rozpalone drewna... ciemny

gabinet tonie w mrokach... Za oknami szaruga; deszcz ze śniegiem zacina w szyby; wicher hula po polach i po przez gęstwę parku idzie jego głuchy pomruk... Gną się drzewa w bezsilnej walce... W pokoju ktoś płacze cichutko, a rzewnie... Chory słyszał wyraźnie, niemal jakby w rzeczywistości dziecinny przejmujący głos, łzami nabrzmiały...

Czyjaś ciemna kształtna główka ukryta w rozpacznie splecionych dłoniach — drżała od tłumionych łkań...

A nagle! — Czyj to głos? — Jak stal ostry i twardy — czyżby jego własny? — taki nieubłagany!

. . . .

Chory otworzył oczy; pokój tonął w słonecznej poświacie, — nikogo — tylko w oknach kołysze się bujna kiść liljowych bzów i ptak w przelocie ćwierka. A jednak jemu się zdaje, że słyszy czyjeś westchnienia...

Gdzieś drży skarga?... nawet w śpiewie ptasząt, w cykaniu polnych świerszczy za oknami słyszy tajemne... żałosne tony...

I znów ten głos ostry o brzmieniu rozkazu:

— Dość łez, Reno, nie lubię dramatów! Powiedzieliśmy sobie wzajemnie prawdę — jak ludzie dorośli i wyciągamy z tego bolesne wnioski.— Jesteśmy małżeństwem niedobranem—to fakt! — więc idźmy każde w swoją stronę...

Z rogu kanapy podniosła się młoda kobieta—prawie dziecko, — odrzuciła gęstwinę kasztanowatych falujących włosów i, topiąc w mężczyźnie duże, piwne, wilgotne oczy, zapytała łza-

wo: — Jeśli nie kochałeś mnie — to poco?... nie dokończyła, bo łzy ciężkie, gorące spłynęły jej po twarzy.

Na dnie tych ciemnych źrenic taiła się bezbronna skarga krzywdzonego dziecka i podrażniona duma kobiety.

Po chwili znów ten głos szorstki i nieugięty.

— Rok wspólnego pożycia przekonał nas chyba dostatecznie, że jesteśmy tylko... parodją małżeństwa, więc tę komedję trzeba raz skończyć!— Głos był podniesiony i gniewny...

Znów cisza... Wiatr szaleje za oknami. . Na kominku ogień dogasa, rzucając ostatnie krwawe refleksy na meble gabinetu...

W parku huczy wicher i czyjaś skarga rzewnie dzwoni...

Nagle... turkot kół... trzaśnięcie z bata... rżenie koni... i cisza... Odjechała!

W nocy straszna zawieja—suchy wicher bez deszczu... dmie...

Nagle w ciszę nocną wtargnęła wieść błyskawiczna, że pożar w sąsiednim majątku...

Szaleje orkan!.., Dzwony biją na alarm, na trwogę...

We dworze dziedzic przyjaciel — nieobecny, w domu tylko matka staruszka i dwoje wnucząt...

Porwał się Mirski, oślepiony purpurą ognia. Na dziedzińcu widno — jak w dzień...

Chory widzi te obrazy...

Kazał podać konia i pognał jak wicher...

Staroświecki dwór, ukryty w wieńcu stuletnich lip, wyglądał w płomieniach jak kierz gorejący.

— Gdzie dzieci?—Czy wyniesione?—Służba!— krzyknął gromko.

Na dziedzińcu huczało; trzask pękających szyb i belek, ryk bydła, kłęby dymu; w powietrzu przesyconem spalenizną, snopy wzlatujących iskier — złowrogi pomruk rozpętanych żywiołów, istny obraz Dantejskiego piekła!...

Jedno skrzydło domu jeszcze nieobjęte ogniem, chociaż i tam już brak okien... czerni się, — ale przez otwory bez ram z wnętrza kłębi się już dym...

— Tam dzieci! — Namysł sekundowy.—Musi ratować! Wskoczył przez okno... sień... drugie drzwi... Dym gryzie w oczy... tamuje oddech!... Dach kryty gontem trzeszczy... po ścianach już pełzną — zda się, — gonią, — purpurowe języki ognia.

Na dziedzińcu wrzask... hałas... Ktoś krzyknął jego nazwisko. — Drugi głos — głośny jak piorun: — Zatrzymać dziedzica — śmierć niechybna!—Dzieci już pewnie zaduszone dymem— tam zginie — nie puszczać!

Nie słucha. Dopadł sypialni... Bliźnięta jak dwa aniołki spały w kołysce...

Jeszcze — jeszcze byle minutę! Schwycił drżącemi rękami — otulił w kołderki. — Już jest przy oknie... Czyjeś starsze ręce odbierają żywy ciężar — to babka! — Krzyk, by spieszył.

Zapóźno!—trzask walącego się dachu... oślepiająca jasność—straszny ból w głowie i... nic... otoczyła go noc...

Leżąc na białej pościeli, Mirski poraz drugi przeżywa straszne wrażenia...

Chwilami zdaje mu się, że jeszcze odczuwa piekielny ból w głowie... Dotknął ręką... czoło istotnie było obandażowane.

Więc to nie złudzenie—byłem blisko śmierci! Komuż zawdzięczam życie?—Poruszył się niespokojnie...

Przed chwilą cisza napawała go rozkoszą; po długich miesiącach gorączkowych majaczeń wracała świadomość rzeczywistości.

— Jak długo chorował? — nie wie! Jeszcze pamięć całkowicie nie wróciła!

Znów, w odmęty splątanych myśli i wspomnień, wtargnął jakiś dźwięk i ton niegdyś słyszany... zepchnięty na dno duszy... Serdeczny płacz w jesiennych wichrach zdławiony i gdzieś w oddali milknący, roztopiony w szarudze i plusku deszczowych kropli... turkot powozu. . — kiedy to wszystko było? — gdzie? —

— Deszcz — zawierucha!—Deszcz, dzwoniący o szyby! więc jesień lub wczesna wiosna, a teraz już pewnie maj, bo w pełnym rozkwicie w przepychu i majestacie barw woni i blasków... złoci się ten dzień!

Męczy go cisza... Z parku pachną konwalje i szumią młode liście drzew... W złotawej smudze pyłu, co obłokiem wpada przez okno brzęczy muszka... i nic więcej; czasami ptak zaświergoce lub motyl muśnie w przelocie białe główki narcyzów... Cisza beznadziejna, cisza samotności...

Stefan Mirski odwrócił się na łóżku—drażnił go słoneczny wygląd pokoju. — Biało... jasno... a tak smutno!

Pamięta, jak w gorączkowych snach męczyło go pragnienie — ale, gdy tylko spieczone usta zdołały jeden wyraz — pić — wyszeptać, zaraz jakieś chłodne, a miękkie pieszczone, ręce, pachnące jak płatki róż, czy konwalij, zbliżały orzeźwiający napój do jego spragnionych ust, troskliwie, jakby ręce matczyne, unosząc mu lekko głowę. Gdy czuł, że gorączka mąci mu zmysły, że chce się zrywać, gdzieś biec... te same ręce, ale wówczas mocarne i nieustępliwe przytrzymywały go siłą do łóżka, przynosząc ulgę chłodnem dotknięciem...

A teraz?—czemu przy mnie niema nikogo?— Chory powiódł rozżalonym wzrokiem po całym pokoju... Pusto! — tylko czasami ptaszyna usiadła na ramie okna, ciekawie zaglądając do wnętrza, a wietrzyk lekko poruszał gałęźmi drzew... Szarpnął niecierpliwą ręką taśmę dzwonka...

— Czuję się tak bardzo słaby... — mówił do siebie półgłosem—jakby się lękał ciszy zakłócić...

— Wszystko mnie boli... a w głowie znów coś się mącić zaczyna...

— Dlaczego niema przy mnie doktora... służby... kobiecej opieki? — skarżył się biedak...

Nagle — myśl — jak ostrze stali jasna, przebiła jego świadomość.

— Wszakżem ja samotny!

Drzwi otworzyły się bez szelestu, w progu stanął stary sługa, — Jacenty Goździewicz, pospolicie zwany „Jacusiem”, chociaż włos srebrzył mu się już siwizną, a nogi często odmawiały posłuszeństwa.

Była to ważna osoba we dworze Zalesińskim! Mleczny brat ojca Stefana — pół sługa, pół druh serdeczny, towarzysz jego zabaw, a później doli i niedoli.

Gdy pan Mirski bujał po świecie — uczył się, pracował i szalał w stolicy lub zagranicą,—Jacuś siedział w Zalesinie i pilnował pańskiego dobra jak źrenicy oka! Gdy pan wrócił, a rodziców zabrakło—Jacuś, choć równy wiekiem—stał mu się ojcem i matką!

Nieuczony w książkach, miał swój zdrowy rozum, a pogląd na świat i ludzi — logiczny i uczciwy.

Niejednokrotnie Jacuś taktem swym i chłopską, ale szlachetną i mądrą polityką ochronił towarzysza od nieroztropnych posunięć i służył mu wiernie radą, pomocą — duszą całą.

Mimo ostrych starć z dziedzicem, który chciał go koniecznie podnieść o szczebel wyżej w hierarchji społecznej i zrównać z sobą, — Jacenty był i pozostał człowiekiem niezmiernie skromnych wymagań i nie chciał,—ani przenieść się do pałacu, ani przyjąć dostatniego dworku, który mu dziedzic z serca ofiarował.

Nawet, gdy domek jego na samym skraju lasu, przytulony do dworskiego parku — ożywił wesoły śmiech hożej gospodyni, — Jacenty mało czasu poświęcał żonie i już o świcie wymykał się do dworu, aby być na pierwsze zawołanie przyjaciela-dziedzica. Stanęło na tem, że oboje małżonkowie lwią część swego czasu poświęcali zajęciom we dworze, pracując tam, jak dla siebie i na swojem.

Wkrótce puste ściany dworu opromieniła słodka twarzyczka nowej dziedziczki—pani Emilji, a później różowy, tłuściutki Stefuś zaczął próbować samodzielności w kołysce, rozbijając nóżkami grube jej pręty.

Jacuś stał się odrazu gorliwym wielbicielem tych oznak męskiej niepodległości i siły chłopca, widział w nich zapowiedź przyszłego genjuszu i od początku,—mimo protestu p. Mirskiego, infant otrzymał pełną szacunku nazwę „panicza" od Jacusia, który odtąd stał się najtroskliwszą jego niańką, a potem nauczycielem.

Gdy w niespełna trzy lata pani Emilja umierała, — jej słabnący, a rozpaczliwy wzrok szukał koło odziecka tylko wyniosłej postaci wiernego przyjaciela—sługi. On odebrał ostatnie, z trudem chwytane z ust umierającej polecenia, tyczące dziecka i wszystko to, czem mogła kochająca matka żegnać na zawsze jedyne ukochane dziecko.

Za rok skutkiem nieszczęśliwego wypadku na polowaniu, — p. Mirski, śmiertelnie raniony, dogorywał na rękach swego towarzysza...

W rozpaczliwych godzinach walki ze śmiercią—jemu kazał spisać ostatnią swą wolę;—jemu nie krewnym—zwierzył opiekę do pełnoletności nad Stefanem i dał ostatnie dla syna przestrogi i zlecenia.

I chociaż odtąd stanowisko Jacentego pozornie nie zmieniło się we dworze, bo, mimo wyraźnej woli nieboszczyka, Jacenty nie chciał korzystać z przywilejów swego urzędu,—to jednak jak dawniej był on duszą Zalesina, prowadząc

obszerne gospodarstwo z niebywałą umiejętnością. Jednak w stosunku do Stefana, choć mu w razie potrzeby nie szczędził ojcowskich napomnień, pozostał sługą, nazywając go „paniczem”, „jasnym paniczem“, — a zrzadka i tylko w chwilach niezwykłego rozczulenia „Stefankiem”. Nawet, gdy wiek Stefana dawno przestał odpowiadać zdrobniałej nazwie, bo już zgórą trzydziestka wyglądała mu z dorodnego oblicza — pozostał paniczem, a, kiedy Mirski wprowadził w progi domu młodziutką żonę—Renę Rożniecką — nowa pani domu odrazu zyskała sobie łaski Jacusia i do jego słownika przybyła nowa zdobycz. Nazywał Renę „panienką” i za nic inaczej nie chciał jej mówić, co ogromnie bawiło i cieszyło młode stworzenie, trochę zalękłe, onieśmielone obszarem domu i powagą męża.

Intuicją kobiecą odczuła, że w nowem środowisku ta forteca będzie dla niej najłatwiejszą do zdobycia. To też całem sercem przylgnęła do „Jacusia“, nie lękała się do niego przymilać, zwłaszcza w nieobecności męża, względem którego odczuwała kult nieledwie pogański,—chociaż jednocześnie i lęk niewytłumaczony.

„Stefuś“ był dla swej żony skończonym ideałem — pod każdym względem, ale wobec niego czuła się tak,—jak musi się czuć profan, wobec dzieła sztuki. Czuje wówczas cześć i podziw dla arcydzieła, ale jednocześnie taką jego wyższość, że ta aż go przytłacza, aż wzbudza nietylko lęk, ale i szczególne poszanowanie.

Stefan przyjmował hołdy z wyższością i odcieniem czegoś, co dawało wrażenie wielkiej róż-

nicy, jaka istniała między tem małżeństwem, nietyle wieku, ile raczej dużej niższości umysłowej ze strony kobiety. Stefan był niewątpliwie indywidualnością wybitną — i sam o tem wiedział, — ale, niestety nie widział w sobie tego, że był skończonym dziwakiem!

O małżeństwie np. wygłaszał takie poglądy, że wszystkie panny z okolicy, dla których niezaprzeczenie był partją pierwszorzędną,—patrzyły w stronę Zalesina z pożądliwością beznadziejną, bo żadna nie odważyłaby się nawet w najśmielszych marzeniach pokusić o zdobycie serca Stefana. Widząc, że postawił niezmiernie wysoki ideał kobiety jako swej przyszłej żony, każda czuła się niedorosłą do podobnego typu, więc z żalem rezygnowały ze swych marzeń.

A tymczasem zaszło to, co zdarza się często, że teorja do praktyki staje w stosunku odwrotnym; Mirski poznał Renę na balu, gdzie olśniła go pięknością i wdziękiem, a dowiedziawszy się, że panna jest ubogą, że na swe utrzymanie pracuje samodzielnie i nie ma ani czasu, ani odpowiednich warunków do długiego narzeczeństwa, załatwił sprawę po żołniersku.

Bez długich namysłów oświadczył się pannie, został przyjęty i w trzy miesiące odbył się ślub.

Fakt ten wywołał ogólne zdziwienie, nawet zgorszenie, bo Rena Rożniecka prócz niezaprzeczonej urody i osiemnastu lat, nie wnosiła mężowi w posagu ani jednego z przepisanych warunków na żonę — ideał — była sobie zupełnie przeciętną osóbką.

Najtragiczniejsze było to, że Mirski wprędce otrzeźwiał i spostrzegł swą pomyłkę.

Pierwsze miesiące przeżyć małżeńskich nie przytępiły w nim sprawności krytycznego zmysłu, a nabyte doświadczenie przekonało, że marzony ideał, a rzeczywistość — to dwa zupełnie różne pojęcia, które rzadko ze sobą harmonizują. Wprawdzie młody człowiek wzbogacił tem odkryciem swą praktykę życiową, ale musiała go ona drogo kosztować, bo jeszcze bardziej zamknął się w sobie, odosobnił, pozostawiając najczęściej młodą żonę samotną w obszernym Zalesińskim dworze, odgrodzonym od świata staremi, odwiecznemi lasami.

Z każdym niemal dniem rozdźwięk między małżonkami stawał się większy,—coraz bardziej czuli się względem siebie obcy.

Pierwsza lepsza sposobność wystarczała do upewnienia się, zwłaszcza utopiście Mirskiemu, że albo popełnił fatalny błąd, żeniąc się wogóle— albo, że Rena była zupełnie nieodpowiednią dla niego towarzyszką.

Ale ściągnąć z piedestału kobietę, jakiej typ stworzył sobie w wyobraźni, albo chociażby obniżyć go, a raczej zrobić go bardziej dostępnym, wziętym z życia, — tego zrobić nie chciał, czy też nie umiał, a dzięki temu przepaść wśród małżonków pogłębiała się, a starcia zdarzały się coraz częściej. Katastrofę wywołał drobiazg i zerwała się nić...

W chwili najwyższego naprężenia nerwów— Mirski, rozdrażniony i podniecony, zażądał kategorycznie wyjazdu Reny, grożąc nawet pozba-

wieniem się życia, jeśli mu nie wróci swobody.

I oto w jedną chmurną noc, wśród poszumu wichrów, — odjechała odtrącona żona z tych murów bezlitosnych i niegościnnych, które młodego pisklęcia nie przytuliły do swego łona.

...W pustych komnatach, gdzie nie rozbrzmiewał nigdy młodzieńczy niefrasobliwy śmiech — został samotnik, snując się po nich jak widmo...

Zerwało się pasmo wspomnień, wywołane nadejściem starego sługi..

W chwili, gdy na odgłos dzwonka, ukazała się w drzwiach wysoka, ale nieco zgarbiona postać Jacentego, — cień zawodu i rozczarowania przesunął się po zaostrzonych chorobą rysach Mirskiego. Sądził, że z za pleców Jacusia uśmiechnie się do niego ktokolwiek... Jacuś był sam!... Gdy spostrzegł od drzwi przytomny wyraz na twarzy chorego, przypadł w rozradowaniu do jego rąk, okrywając je gorącemi pocałunkami, mimo energicznego protestu ze strony Mirskiego. Trzęsła mu się siwa głowa, a na sumiastych srebrnych wąsach szkliły się łzy...

— Stefanek! Paniczyk ukochany—żyje, zdrów! —niech będzie Najwyższemu dzięki!—wołał.

Ale Stefanek przyjmował z pewnem roztargnieniem oznaki miłości wiernego sługi, pochłonięty natarczywie wysuwającem się pytaniem. — Dlaczego nikt więcej nie cieszy się moim powrotem do zdrowia? — Zamało mi radości tego starowiny.—Tak męczy osamotnienie... Chciałbym widzieć koło siebie ludzi... ruch... gwar... — Innych otacza rodzina—przy mnie nikogo! — żalił

się sam przed sobą. Nareszcie nie wytrzymał i z miną zasmuconego i rozkapryszonego dziecka, odważył się rzucić dyplomatyczne pytanie.

— Czuję się jeszcze bardzo słabo, Jacusiu, czy pielęgniarka nie mogłaby mi poprawić łóżka i przynieść coś wzmacniającego? — Dobroduszna twarz Jacentego rozpromieniła się w uśmiechu jowialnym.

— A cóż to panicz już nas starych zbrakował?—potrafimy dogodzić, niech tylko moja kobieta tu się pokaże. Nie patrząc na Stefana, podreptał żywo ku drzwiom, otworzył je energicznie i, chcąc całemu jakby domowi oznajmić radosną wieść, o wyzdrowieniu dziedzica, — huknął z całych sił: — Jaguś! — aż zdawało się, szyby zadźwięczały. Wnet ukazała się dorodna postać pani Jacentowej. Jej dobre matczyne, szafirowe, jak bławatki w polu oczy, skąpane były w łz ch rozczulenia, ale cała twarz radosnym uśmiechem jaśniała. Zbliżyła się do łóżka i zaraz uniosły go w górę krzepkie ramiona, tuląc jak matka dziecię, a Jacenty krzątał się, by jaknajlepiej usłać łóżko ukochanemu paniczowi.

Stefan wzruszony był serdeczną tkliwością starych sług, którzy mu sercem zastępowali rodziców przez tyle lat, a teraz jego powrotem do zdrowia cieszyli się, jakby rodzone dziecko śmierci wydarli!

Ale gdzieś na dnie jego duszy, w najgłębszych, niedostępnych ludzkiemu oku, tajnikach, kryła się przed samym sobą ukrywana myśl, że tylko w tamtych słodkich objęciach, które czuł

w gorączkowych majaczeniach, — byłby chętnie życie prześnił...

Ale zagadka była niewyjaśnioną!

— Kto mógł mnie pielęgnować w czasie długiej i zapewne niebezpiecznej choroby? —

Od chwili dojścia do przytomności niepokoiła go i stale intrygowała ta myśl. Mógł wprawdzie zapytać o to Jacentego wprost, ale wstrzymywał go od tego skrupuł czysto ludzki.

On, realista i trzeźwy krytyk, lękał się, by go nie posądzono o romantyzm...

Wmawiał więc w siebie uparcie że to, co mu się zdawało w chorobie, było wprost gorączkowem przewidzeniem, — bo nic innego być nie mogło...

A jednak mimo wszystko umysł snuł co innego...

Przymykał oczy i poddawał się słodkim wspomnieniom...

— Przecież nieraz nocą w półśnie, odczuwałem wprost iutuicyjnie czyjąś obecność w pokoju...

— Zdawało mi się, że słyszę nawet lekkie kroki, czasami tłumione westchnienia...

— Nie—po stokroć—to nie złudzenia były!

— Gdy zasypiałem na dobre, marzyło mi się, że jakaś słodka twarzyczka pochyla się nade mną, a lekkie dłonie chłodzą mi rozpalone czoło... Było mi wtedy tak miło, że lękałem się poruszyć, by rozkosznych snów nie zmącić...

— Byłże to ulotny sen, czy jawa? — szeptał rozmarzony.

. . . .

* * *

Czerwiec dobiegał końca, gdy Stefan Mirski pierwszy raz i o własnych siłach zszedł po kamiennych szerokich schodach werendy, i zagłębił się w wonnych alejach kwiatowego ogrodu.

Słońce mieniło się jaskrawemi barwy—przepyszne, królewskie.

Bzy już przekwitły, kończyły się jaśminy; z kwiatowych drzew tylko rozłożyste akacje zwieszały wonne kiście, z któremi wiatr, igrając, zrzucał na trawniki tumany — jakby śniegu, o drobnych płatkach — i miękkim kobiercem pokrywał ścieżki ogrodu.

Na klombach, ułożonych pośród trawników w fantastyczne wzory, była istna powódź najpiękniejszych roślin i kwiatów.

Wysmukłe, dziewicze, o woni odurzającej — lilje; wszelkich odcieni i barw, wspaniałe, od śnieżno-białych do szkarłatnych róże, bogate w odmianach gwoździki i lewkonje, ciemno-lila heljotropy i purpurowe laki—wszystko artystycznie dobrane w barwach tworzyło całość czarodziejską i dla znawcy rozkoszną.

Mirski—ogromny wielbiciel przyrody, rozglądał się z zachwytem w swojem bajkowem królestwie, wdychając całą piersią balsamiczne powietrze.

Zalesin miał warunki zdrowotne idealne, otoczony pierścieniem wspaniałych lasów, — które były chlubą i specjalnem umiłowaniem Mirskiego.

Za życia ojca Stefana dwór i ogród kwiatowy odgrodzono od lasu wysokim płotem, cze-

go Stefan znieść nie mógł. Mówił, że się czuje jak w więzieniu i pierwszym czynem jego pełnoletności było zrzucenie tej zapory. Odtąd ogród kwiatowy lekko przechodził w rodzaj angielskiego parku o strzyżonych trawnikach i krzewach, gdzie było wszystko to, co umiejętnie stosowana kultura dać może. Dalej rozciągała się już tylko sama natura, niekrępowana sztuką. Las robił wrażenie miejscami zupełnie dziewiczego dzięki wielkiemu nagromadzeniu krzewów, ale malowniczy był i fantastyczny w tej dzikiej swojej niedostępności. Miejscami pagórkowaty, a pełen niespodzianek: to malutkie jeziorka wynurzały się z pośród gęstwiny — krzakami konwalij na wiosnę obrosłe jakby wieńcem, to w cieniu u stóp rozłożystych lub wysmukłych drzew tuliły się przysiadłe do ziemi seledynowe o koronkowych liściach paprocie...

Stefan przystanął; odzwyczaił się od powietrza, miał chwilami wrażenie, że czuje go w piersiach jakby za dużo, tamowało mu wprost oddech, choć było cudowne, przesiąkłe wonią, dolatującą z ogrodu, pełne zdrowych tchnień...

Uśmiechnął się do wzorzystych trawników...

— Mimo tak długiej nieobecności, a raczej bezczynności mojej z racji choroby doprawdy nie mogę nigdzie w ogrodzie ani w gospodarstwie zauważyć jakiegoś niedbalstwa, czy opuszczenia się, wszystko idzie z dawną zegarkową punktualnością—wdrożone, co prawda, do porządku kilkoletnią moją pracą—myślał z dumą,—no i troskliwością Jacentego! —

Mirski był gospodarzem z zamiłowania, ale i z poczucia obowiązku względem ziemi-karmicielki, więc żądał tego samego i od podwładnych.

Sprawiedliwy był dla służby, ale wymagający — dzięki czemu gospodarstwo w Zalesinie słynęło w całej okolicy jako wzorowe i, gdy były wystawy rolnicze, zalesińskie eksponaty brały zawsze pierwsze nagrody.

Siły wracały Mirskiemu powoli, choć wygląd był już zadawalający. Blizny na głowie, od nieszczęśliwego wypadku otrzymane podczas pożaru u przyjaciela—pokryła całkowicie bujna płowa czupryna; wychudła twarz zaokrągliła się, tylko oczy ciemno-niebieskie, aż w granat wpadające, miały jeszcze coś z wyglądu chorobliwego, zastygł w nich i jakby przywarł pewien odcień cichego melancholijnego smutku. Nawet, gdy usta — z rzadka coprawda — uśmiechały się — i wtedy oczy były dziwnie smutne.

Stefan wolnym krokiem mijał ścieżki, wysypane miałkim żwirem, aż stanął na granicy, gdzie kończyła się sztuka, a zaczynała natura.....

Jeszcze kilkadziesiąt kroków i znalazł się w głębi lasu. Pod rozłożystym dębem duży płaski kamień. Widocznie razem z towarzyszem dębem żyli — rośli tu i starzeli się, bo kamień grubo mchem porósł i wygodnem miękkiem siedzeniem zachęcał do odpoczynku. Do niego właśnie zdążał Mirski, nieco zmęczony pierwszym dalszym spacerem.

Zdjął kapelusz i białe czoło oparł o szeroki pień drzewa, przymykając oczy i z rozkoszą pod-

dając się lekkiej pieszczocie wiatru, co muskał mu czoło, igrał z włosami, rozrzucając je swawolnie.

Las gwarzył...

Stefanowi zdawało się, że w tych poszumach i poszeptach drzew słyszy pieśń powitalną dla siebie — pieśń poddania i miłości!

Kłaniał mu się las i witał...

Stuletni dąb — majestatyczny król drzew i opiekun lasu — zlekka tylko chylił niebotyczne czoło, szmerem liści pomrukując dostojnie; za to gibka dziewicza brzoza, zarumieniona pocałunkami słońca — gwarzyła srebrzyście, chyląc utrefioną w długie kędziory zalotną główkę...

Wysmukłe topole, rozłożyste graby i klony, wybujałe sosny i wonne świerki szemrały szelestem liści swe pieśni, a zgarbione sędziwe, ale jeszcze fertycznie przegięte w ukłonach — wierzby i swawolne jarzębiny wszystkie radośnie coś między sobą szeptały...

Las był rozmaity, ale tworzył harmonję cudowną, kontrastem barw zieleni, wzrostu i kształtu, zwłaszcza, gdy słońce, przedzierając się przez gęstwinę liści, stroiło każde z drzew inaczej. To złotem iskier migotało na lekko drżących liściach osiki i koronkowych brzóz, to podłużnemi płomykami przemykało się wśród szerokich liści klonu i długich wierzbiny — to dużemi jasnemi plamami kładło się na przyziemnych paprociach i ciemnych pniach drzew... a ciągle ruchliwe zmienne... goniące się figlarnie po ziemi, po gałęziach, po pniach...

Mirski nie był religijny w znaczeniu uczuciowej pobożności; może przyczyniał się do tego brak matczynego serca, wczesne sieroctwo

Za przykładem wielu mężczyzn ze swojej sfery twierdził, że praktyki potrzebne są raczej dla ludu niż dla inteligencji, — ale uważał siebie za wierzącego i to nawet głęboko.

Chwila dostojnej ciszy, jaką przeżywał sam w głuszy leśnej, tak niedawno wydarty śmierci, wzruszyła go uczuciem wdzięczności względem Boga za życie, którego wartości nie doceniał jednak całkowicie. Wszak zaledwie kilka miesięcy dzieliło go od chwili strasznej pokusy, gdy pod wpływem rozterki wewnętrznej był gotów sam się go pozbawić — wbrew dotychczas wyznawanym katońskim zasadom.

Dzisiaj korzył się w duchu przed majestatem Bożym i dar tego życia przyjmował z poddańczą, nawet wdzięczną uległością.

Kojąca cisza spływała balsamem do jego skołatanego serca, budząc jednocześnie rój bolesnych wspomnień.

— Wszak to tu w tym uroczym ukochanym zakątku leśnym zdecydowała się moja przyszłość samotna, odegrał się ostatni akt mojej smutnej tragedji, myślał głośno, biorąc jakgdyby niebo i drzewa za świadków niedoli.

— Tu postanowiłem rozstać się z Reną stanowczo, na zawsze...

— A przyczyna była jednak zupełnie błaha, może nawet dziecinna! Zdecydowałem prędko i nieodwołalnie! — westchnął mimowoli.

Siedząc pod tajemniczo gwarzącym dębem niejako roztopiony w tej złotej wonnej ciszy, puścił wolny bieg myślom... wspomnieniom... Porwały go jak fale zawrotne, a kuszące... Cierpiał, a przywoływał je sam z pamięci z jakiemś chorobliwem manjactwem, czując rozkosz w bólu...

— Poco Rena uparła się wtedy, by mi koniecznie towarzyszyć? Lubiłem je--te moje ranne wędrówki po lesie, miały one dla mnie urok specjalny, ale w samotności—przypominał sobie Mirski wszystko z drobiazgową ścisłością.

— Odmawiałem kilkakrotnie, bom się lękał instynktownie, że Rena, jako urodzona mieszczka, nie potrafi odczuć subtelnie artystycznego piękna lasu i jakimś banalnym frazesem sprofanuje mi tę świątynię...

-- Być może, że jest w tem coś z pogańskiego kultu — jakiś wyrafinowany sybarytyzm piękna, ale czyż ta kobieta nie powinna była odczuć, że są pewne sanktuarja duchowe, niedostępne dla oka ludzkiego... Samotność przekładałem zawsze ponad najbardziej interesujące towarzystwo!

— Gdyby nie upór Reny — wówczas — możeby nie doszło do takiego nieporozumienia między nami.

Mirski zapominał, że nie tu była główna przyczyna ich nieszczęścia. Częste jego wyjazdy z domu były stale powodem starć i rozdźwięków pożycia małżeńskiego dwojga młodych ludzi, nadto rozbieżność poglądów i upodobań.

Rena przyzwyczajona była do zabaw i hołdów, do czego zresztą dawało jej prawo uroda

i wdzięk wiośniany, jaki wokoło siebie roztaczała. Tymczasem Stefan zebrań towarzyskich nie lubił. Jemu wystarczały zajęcia gospodarskie, wizyty sąsiedzkie i praca umysłowa.

Dla młodej żony trybu życia nie zmienił, a ona znów nie widziała żadnej roli dla siebie w tym domu wielkim, a zimnym... Wychowana w mieście, mało praktyczna i dość leniwa gubiła się wprost w tych nieprzytulnych staroświeckich pokojach, błądząc po nich bez określonego zajęcia, a głównie bez zrozumienia jego potrzeby, bo gospodarstwo bez niej i przy niej szło z jednakową zegarkową systematycznością. Towarzystwo Jacentowej nie wystarczało, więc młoda kobieta nudziła się śmiertelnie, żyjąc z dnia na dzień bez celu. To znów doprowadzało Mirskiego do pasji, bo sam pracował bez wytchnienia, więc nie mógł zrozumieć ludzi próżnujących. Żżymał się na to wprost, a nawet mu przez myśl nie przeszło, że Rena była jeszcze dzieckiem i mógł łatwo takiem młodem stworzeniem pokierować, wskazać właściwy cel życia i do pracy zachęcić.

W początkach Rena zdobywała się na heroizm pokornej prośby, aby mąż ją zabierał ze sobą, gdy jeździł do pobliskiego miasta, lecz kiedy spotkała ją kategoryczna odmowa — zamilkła. Stefan bał się szalenie wszelkiej śmieszności; lękał się dostać pod pręgierz drwin sąsiadów, gdyby zaczął obwozić po okolicy młodą i żądną rozrywek żonę.

Gdy wracał do domu nieraz późną nocą, zastawał zawsze światło w sypialni — jakby znak wymowny, że ktoś czuwał i czekał i chociaż

Rena udawała, że śpi,—domyślał się, że płakała, bo czasami cichutkie westchnienie wyrywało się z jej ust, a nawet ślady łez były widoczne na różowej twarzyczce.

Stefana drażniło to i irytowało, aż któregoś dnia kazał przenieść swoje łóżko do gabinetu, pod pozorem, że musi w nocy pracować.

Tego fatalnego dnia, Rena w celu zbliżenia się do męża, by nawiązać z nim jakiś kontakt duchowy, albo poprostu dla kaprysu uparła się, by mu towarzyszyć w rannym spacerze do lasu, odmówił jej jeszcze z wieczora,— z pewnym odcieniem złośliwej ironji, motywując tem, że Rena, przyzwyczajona do późnego wstawania, nie potrafi wyrzec się tej przyjemności, dla mocno wątpliwej, jak sądził, podziwiania w lesie wschodu słońca...

Był pewien, że to wystarczy, jakież przeto było jego źdźiwienie, gdy, siedząc nazajutrz bardzo wcześnie w ulubionym swym leśnym zakątku pod dębem, usłyszał nagle szelest spiesznych kroków i łamanych pod stopami gałązek...

Nim zdążył się zastanowić, kto mu ośmielił się ciszę i samotność przerywać, ujrzał skąpaną w blaskach porannych, zaróżowioną od szybkiego biegu — Renę!

W rannym szlafroczku, z gęstwiną ciemnych lśniących loczków, z czarnemi pełnemi uśmiechów i skrzącemi jak brylanty oczami, sama swoją wiośnianą postacią uosabiała poranek.

Było w niej jeszcze rozkoszne ciepło snu i przedziwna dziewiczość. Mogła rozbroić najsurowszego sędziego, ale niestety Mirski był uspo-

sobiony minorowo i w postępku żony nie chciał widzieć dziecinnego figla—raczej uchybienie jego władzy, skoro odmówił kategorycznie zamiarowi wspólnego spaceru.

— Widzisz, Stefusiu, że nie zaspałam... — zadzwoniła pieszczonym głosikiem, który drżał jednak, bo poważne bez cienia uśmiechu oblicze Mirskiego, zapowiadało wiszącą burzę w powietrzu.

— Należało pamiętać, Reno, że nie lubię podobnych żartów! — Każdy czyn człowieka powinien być celowy, a dzisiejsza twa ranna wycieczka jest pomysłem — conajmniej dziecinnym,— rzucił twardo. Nigdy nie umiał się zdobyć na cieplejsze słowo dla żony; potępiał w sobie wszelkie objawy czułości, nazywając to ckliwym sentymentalizmem.

Oczy Reny wpatrzyły się z najwyższem zdumieniem w chmurną twarz męża...

Sądziła, że ucieszy go swem rannem wstaniem...

Za chwilę oczy zaczęły jej się szklić, jak dziecku, któremu figel zepsuto, ale nakryła je prędko powiekami, przyciskając mocno, niestety zapóźno, gdyż łzy nieposłuszne wykradły się i zalały całą twarzyczkę młodej kobiety.

Mirski żachnął się niecierpliwie.

— Wiesz jak nie lubię tragedji. — Masz talent robienia z małych rzeczy wielkich chyba dla dokuczenia mi. Ten zarzut dodał już trochę łagodniej, bo jemu samemu żal się zrobiło tego niesłusznie krzywdzonego dziecka. Ale widocznie jakieś fatum zaciążyło nad tym dniem,

bo oto Mirski zdaleka usłyszał tępe uderzenia siekierą w drzewo... Zerwał się... jakby go coś fizycznie zabolało.

— Znów rąbią, a zakazałem stanowczo! — zawołał z tłumioną pasją.

— Pozostań tu, Reno, skoroś już przyszła, ja za chwilę wrócę, powiedział, opierając o drzewo laskę, a na niej kapelusz.

Bardziej jeszcze zachmurzyła się twarzyczka Reny; już w głosie męża dosłyszała parę cieplejszych tonów i, budując na tej wątłej nadziei śmiałe plany, roiła, że jej się uda nawiązać z nim jakąś bardziej wewnętrzną rozmowę, czemś zająć, przykuć do siebie.

— Mój Boże! — szepnęła — tak rzadko mam Stefana przy sobie i dla siebie, tak mało udziału bierze w mojem życiu, że chwilami zapomniećby można, że jesteśmy — mężem i żoną, — a teraz znów odchodzi, gdy możnaby o czemś wspólnie porozmawiać — i tak jest zawsze!...

Ciche westchnienie wyrwało się z piersi młodej kobiety. Podjęła zostawioną przez męża książkę i z rezygnacją usadowiła się na kamieniu, mając zamiar czekać cierpliwie powrotu Stefana.

A tymczasem Mirski przebiegał niecierpliwym krokiem przestrzeń, dzielącą go od miejsca rąbania dębów.

Od najmłodszych lat nie mógł znosić tego widoku i tępego stuku siekier, uderzających w zdrowe pnie drzew. Kiedyś, gdy był wyrostkiem, a zawsze najmilszem miejscem jego

zabaw i dumań—był las, natrafił na scenę, która mu na zawsze utkwiła w pamięci.

Był to czas wakacyj szkolnych; podczas jednego z samotnych spacerów Stefan zagłębił się w leśną głuszę, rozkoszując się ciszą i przedziwnym czarem lasu o wczesnej godzinie. Ptaszęta zaczynały się ruszać, świergocąc ranne pacierze, na liściach krzaków i igłach skrzyły się i drżały kropelki rosy — las budził się ze snu...

Nagle ciszę przerwał dziwny hałas, niemiły, drażniący ucho. Stukot siekier i od czasu do czasu po dłuższej przerwie — głuchy jęk, jakby walącego się ciała... To wycinano pewną ilość drzew w lasach, należących do Zalesina, z rozporządzenia opieki nad niepełnoletnim Stefanem. Chłopcu zabiło serce żywiej i instynktownie posuwał się w głąb lasu za głosem łoskotu, wreszcie dotarł do miejsca, gdzie wspaniały potężny dąb o rozłożystych szeroko konarach stał samotnie, zdala od towarzyszy naznaczony krzyżem, jak skazaniec na ścięcie. Obok niego klęczał, siwiutki jak gołąb, stary chłop, ogólnie „głupim Walusiem“ zwany. Oburącz z całych sił uderzał siekierą w pień drzewa, a za każdym razem głuchy jęk wyrywał się z jego wyschłej starczej piersi, a łzy jak groch duże spływały po długich siwych wąsach.

Stefan oniemiał, zatrzymał się, jak wrosły w ziemię...

— Co wam to, Walusiu? — zawołał wreszcie przez łzy, bo i jemu już się na płacz zbierało, gdyż starego dziadka bardzo lubił i jego bajek z zachwytem słuchał, gdy Waluś przychodził do

dworu w zimowe wieczory. Grzejąc się przy wielkim piecu, snuł wtedy w czeladnej baśnie przedziwnej piękności.

— Paniczyku jasny,—zawołał chłop. Rzucił siekierę, przypadając do nóg Stefanowi.

Paniczu złocieńki! — rwało mu się z piersi ze szlochem, a dyć nie dajcie krzywdzić tego staruszka, mówił, wskazując na drzewo,—praojca lasu! Toć on tu z dziada pradziada stoi i straż nad lasem dzierży! Za jego krzywdę upomni się caluśki ten las—jak długi... szeroki... Zrobił daleki ruch ręką, a trzęsła mu się przytem głowa..

— Nie płacz, Walusiu—zawołał chłopiec bez namysłu.—Nie pozwolę ścinać dębów!... rzucił to stanowczo i bez namysłu i natychmiast sam uwierzył, że nikt nie ośmieli się tej mocy jego woli przeciwstawić.

— Bo paniczu, ciągnął stary tajemniczo, przyciszając głos. Tu nocką dzisia dziwy się stały... Drzewa ludzkim językiem gadały... szeptał chłopcu do ucha.

— Co ty wygadujesz, Walusiu? — mówił z powątpiewaniem, ale i z najwyższem zaciekawieniem.

— Tak! — na moje sumienie, paniczyku złocieńki! gadały ludzkim językiem gadały! — gwarzyły se — jak ludzie...

Stary Waluś nie baje... upewniał, widząc niedowierzanie na twarzy wyrostka.

Stanąłem se tu na wzgórku i patrzyłem z początku ino, jak to ta nocka gwiazdami sypie, kiejby łzami srebrnemi — potem słucham,

a tu drzewa cościk między sobą gwarzą, gwarzą, a liście szumą i szumią, a ziemia szepcze też coś tajemniczo...

Tak przysiadłem se i rozważam: — Ano, kiej mi się tak przydarzyło, że mnie nocka chwyciła — to ostanę — możeć ta co się dowiem z tych leśnych dziwów...

Patrzę i słucham... aż tu po lesie rozchodzi się jęk długi... przeciągły i zaraz ozwała się skarga setek drzew..

Zapłakały łzami — jakby na ten przykład — perły nanizane na sznur — siwe wierzby; drżące od tłumionych łkań brzozy rozpuściły z żalu swe długie warkocze, płaczą rozłożyste olchy, strzeliste topole, co gwiazdom i słońcu zdawały się w oczy zaglądać...

Caluśki las się skarżył... Nawet paprocie pełne majestatu i krzaki jeżyn, co zwykle oddzielnie się trzymały, wówczas zgarbione, smutno tuliły się do ziemi. Żaden ptak nie śmiał się odezwać, nawet szmery strumyków umilkły. Grobowa cisza ogarnęła ziemię, bo oto krzywda nad krzywdy stać się jej miała...

Dąb — ukochany stuletni praojciec lasu, co tu wzrósł i tu królował, tu, gdzie pod jego troskliwem okiem, w cieniu jego opiekuńczych konarów, bezpieczne od wichrów i burzy, rozwijały się i rosły drzewa, tu miał legnąć on olbrzym i mocarz!.. —

Przerwała się nić wspomnień, bo Mirski dochodził już do miejsca, gdzie kilku chłopów kręciło się koło drzew, znacząc je do ścięcia. Na

ziemi leżało już parę powalonych pni, drgających jeszcze życiem świeżej zieleni.

— Gdzie włodarz? — krzyknął Mirski gromkim władczym tonem. Z grupy ludzi wysunął się jeden, ubrany porządniej i w postawie, pełnej uszanowania, czekał na rozkazy dziedzica. Gniew trwał u Mirskiego krótką chwilę, to też, gdy się zwrócił do rządcy, już głos jego miał łagodniejsze brzmienia.

Wszak kategorycznie zapowiedziałem, że dębów ścinać nie będziemy, dość mamy grabiny, olchy i innych, dlaczego rozkaz zmieniono? — pytał już z zupełnym spokojem.

— Proszę jaśnie dziedzica — usprawiedliwiał się rządca — wczoraj pan Jacenty przyniósł jak zwykle książeczkę z wykazem drzew, przeznaczonych na ścięcie i tam, pod datą wczorajszą stoi wyraźnie nakaz, ręką pani dziedziczki skreślony: „Wyciąć 3 stare dęby—drzewo potrzebne na nowe umeblowanie".

Rządca miał rację, bo istotnie w książeczce, którą pokazywał, ręką Reny była skreślona i przez nią podpisana notatka.

Mirskiemu krew uderzyła do głowy, ale się opanował z wysiłkiem i wolno, może wolniej niż zwykle, by się nie zdradzić drżeniem głosu, — dał odpowiedź.

— Istotnie była o tem mowa, ale projekt zmienił się wieczorem—o czem pani dziedziczka nie zdążyła powiadomić. Zatem proszę nakaz cofnąć i zaprzestać ścinania dębów, — skończył szorstko, tonem nie podlegającym krytyce, i za-

wrócił z powrotem, jakby cała ta sprawa była nic nieznaczącym drobiazgiem.

Ale nie tak było w rzeczywistości. Mirski przyzwyczaił się do rządów despotycznych, samodzielnych i nikt dotąd nie śmiał wydawać jakichkolwiek rozporządzeń bez uprzedniego z nim porozumienia.

Nadto zlecenie Reny, podyktowane prawdopodobnie tylko brakiem zastanowienia,—w jego uprzedzonem do żony pojęciu, przybrało charakter poważnej winy, bo wkraczało w dziedzinę jego słabostki.

Dęby w lesie otaczane były specjalnym pietyzmem i tej „źrenicy oka” pana dziedzica nikt nie śmiał tknąć, a tymczasem zrobiła to Rena, ta Rena, której Mirski prawie nie znał, a raczej lekceważył, duchową istotą jej się nie interesował, o której istnieniu nawet często zapominał, bo tak małą rolę ta kobieta odgrywała w jego życiu.

Ożenił się wprawdzie z miłości—tak mu się przynajmniej zdawało. Pociągnął go głównie wdzięk fizyczny Reny i w tem właśnie kryła się zagadka jego psychiki—dla niego samego zresztą niezrozumiała już wówczas, gdy minął okres zmysłowych uniesień i zachwytów, a zaczęła się szara proza codziennego życia. Sam niejednokrotnie robił sobie z tego surowe zarzuty.

— Jak mogłem ja, człowiek o tak subtelnie wyrafinowanej analizie i przy swoich idealnych zapatrywaniach na małżeństwo, — jako na związek dwojga istot, doskonale ze sobą duchowo zespolonych, jak mogłem wybrać na towarzyszkę życia kobietę, a właściwie dziecko jeszcze i tak

bardzo daleką i niedorosłą do wyżyn, na jakich chciałem widzieć swoją żonę. Toż znałem to dziecko tylko z jego ślicznych czarnych oczu i pełnego czaru i wdzięku uśmiechu. A dusza? A wnętrzna istota jaką była? — Wstyd zamyka mi usta, że postąpiłem jak sztubak, pierwszą miłością olśniony—stanowczo z tego okresu życia sam nie umiem sobie zdać sprawy!

Tak rozumując, dochodził już do miejsca, gdzie zostawił Renę; po przez liście drzew jaśniała jej sukienka. Widocznie go nie spostrzegła, bo nic, żaden ruch nie przerywał ciszy i dopiero, gdy Mirski podszedł do samego dębu, zauważył, że Rena spała, oparta główką o pień drzewa.

Różowy kolor szlafroczka nie różnił się od jej twarzyczki, zaróżowionej drzemką i taka wydała się Stefanowi drobna, dziecinna i śliczna, że nawet w jego sercu coś drgnęło, choć czuł się mocno podrażniony. Miał nawet skrytą chęć ucałowania tej niewinnej twarzyczki, ale złośliwy chochlik, zaprzysiężony od rana do mącenia harmonji, i tu się niepotrzebnie wmieszał. Rena, czując poprzez sen utkwione w siebie spojrzenie męskich oczu,—otworzyła nagle swe gwiaździste źrenice i.... czar prysł... Otwarcie Stefan za nic na świecie nie okazałby jakiejś czułości, zaraz też przypomniała mu się scena w lesie i walące się jego ukochane dęby...

— Reno — przemówił urzędowo, bez cienia uczucia w głosie, i twardym głosem. Jaki pomysł niedorzeczny przyszedł ci do głowy, aby bez porozumienia się ze mną skazywać na za-

gładę trzy wspaniałe dęby, wiedząc, że otaczam je specjalną troskliwością?

Młoda kobieta szeroko otworzyła swe wilgotne i trochę smutne oczy.

Doświadczenie kilkumiesięcznego wspólnego pożycia nauczyło ją, że dotąd nigdy jej się nie udawało zadowolnić kapryśnego męża, z czem się już potrosze godziło dość powierzchowne i nierozbudzone do głębszych spostrzeżeń usposobienie młodej kobiety. Jednak w danym wypadku ani rusz nie widziała swej winy.

— Wprawdzie — usprawiedliwiała się w duchu dziecinnie, może postąpiłam zbyt samowolnie, przeznaczając jednem pociągnięciem pióra dęby na ścięcie,—ale jestem przecież panią dziedziczką, więc chyba mi wolno o takiej drobnostce samej decydować! Zresztą chciałam się przecież zająć nowem umeblowaniem.

Lękając się surowej miny męża—starała się sama przed sobą wynaleźć słuszne argumenty swojej rzekomej winy. Wreszcie zaryzykowała odpowiedź:

— Tyle masz dębów, Stefanie, w lesie, niektóre takie wielkie, niezgrabne,—tłumaczyła, wydymając pogardliwie usteczka, choć odwagi czuła mało wobec niezadowolonej i drwiącej miny młodego człowieka. Dęby w meblach wyglądałyby zato bardzo ładnie, a mówiłeś przecie, że trzeba zmienić nasze umeblowanie? — Łzy już drżały w głosie Reny, ale je hamowała, wiedząc, że mąż tego nie znosi.

Mirski—już nieco uspokojony—znów się zniecierpliwił.

— Zawsze nie trafisz, Reno! Doprawdy, możnaby sądzić, że jesteśmy nie małżeństwem, ale dwojgiem ludzi przypadkowo — jakimś kaprysem losu zespolonych, ale obcych sobie najzupełniej tem wszystkiem, co stanowi wnętrze człowieka. Mirski mówił z namiętnem podnieceniem, jakby rad, że może wyrzucić z siebie całą tę mękę, co mu tłoczyła serce.

Życie wspólne w takich warunkach staje się chwilami istną katuszą! — rzucił już teraz z pełną goryczy wymówką.

Zaległa cisza, w której te ważne słowa zapadły, jakby ciężki wyrok oskarżenia. Do kogo miały się stosować, kto tu był winowajcą—trudno było tę zagadkę rozwikłać, ale była w nich jakaś groźna zapowiedź.. Rena płakała cichutko, nie próbując już hamować łez. Czuła w tych słowach krzyczącą niesprawiedliwość, zarzut bezpodstawny, ale bronić się nie umiała.

Mirski także był wzburzony, bo poraz pierwszy uświadomił sobie przepaść, jaka go dzieliła od żony i brak wszelkiej chęci dojścia do pewnego chociaż porozumienia.

Słowa, które mu się wyrwały w rozdrażnieniu, były pierwszem ogniwem łańcucha codziennych drobnych rozdźwięków, jakie tę przepaść pogłębiały. Mirski czuł i widział, że się rwą wątłe nici ich wspólnego życia, ale ani jednem słowem nie próbował nici nawiązać, a tylko dochodził chwilami do takiej rozterki duchowej, takiego wrażenia rozpadania się w sobie gmachu dotychczasowych, utopijnych pojęć i zasad, że rozpaczliwe myśli snuły mu się po głowie...

Aż przyszedł wreszcie dzień ponury, jesienny, gdzie pękła ostatnia wątła nić i niecofnięte padły słowa rozdziału na zawsze.

Rena próbowała heroicznie bronić swoich praw, w imię sakramentalnej przysięgi, ale niewytrawnym była adwokatem własnej sprawy, wobec nieugiętej woli przeciwnika.

— Odjeżdżam — bo tego żądasz kategorycznie, ale porzucam ten dom z poczuciem doznanej w nim krzywdy, z rozdartem sercem — rzuciła mu ten wyrzut mocno...

Zapewne i Stefan nie wyszedłby bez szwanku z tego wstrząśnienia, gdyby sam los nie pokierował inaczej, bo po owym dniu fatalnym, nastała noc, gorsza od najstraszniejszego dnia — pożar w majątku przyjaciela, ratowanie jego dzieci i śmiertelny wypadek, gdy na głowę Mirskiego przy wynoszeniu dzieci z domu w płomieniach,— zwaliła się część płonącego dachu.

Odgrzebanie tych przeżyć, z popiołów wspomnień, poruszyło Stefana do głębi. Czuł się zmęczony fizycznie i duchowo, zwłaszcza duchowo, bo teraz dopiero uświadomił sobie ten pewnik, że moralne przejścia ostatnich miesięcy nie przejdą bez śladu przez jego duszę i gorycz doznanego zawodu zatruje mu niejedną chwilę...

Wracał tak wolno jakby mu conajmniej dziesięć lat przybyło. Przejścia, później choroba, a teraz znów te wspomnienia, które odnowiły przeszłość, jak żywą, dopełniły miary. Gdy wszedł na szerokie stopnie werendy — zupełnie opadł z sił i prawie bezwładny osunął się na pierwsze krzesło.

— Hola, przyjacielu!—zawołał jakiś tubalny, a dobroduszny głos z głębi salonu, z którego otwarte drzwi wiodły na werendę.

Kto blisko pół roku borykał się ze śmiercią, co mu gwałtem w oczy zaglądała, ten musi być ostrożniejszy.

Takie długie spacery — to nie dla rekonwalescentów, — gderał stary doktór, przyjaciel Mirskich, który troskliwie pielęgnował Stefana w jego długiej chorobie, a teraz przyjechał, wezwany przez Jacentego, niepokojącego się wolnym powrotem do zdrowia Mirskiego.

— Czekam tu już ze dwie godziny i drzemkę uciąłem solidną — a ten przepadł i ani słuchu!...

— Nie marudź, stary przyjacielu, tylko pomóż, by zdrowie prędzej wróciło, bo mi się już przykrzy ta długa bezczynność i siły kiepskie, skoro tak mnie wzięło... próbował żartować Mirski, choć blade jego czoło zraszały krople potu.

— Za forsowny spacer — dobrodzieju — jak na pierwszy raz!... Chyba, że to coś umówionego?... W takim razie—zwracam honor i przez palce patrzę.. dogadywał stary, chcąc widocznie rozweselić młodego człowieka, a jednocześnie pełnym przywiązania wzrokiem badał zmienioną twarz ulubieńca.

Wiadomo — młodzi! — Byle kiecuszka kobieca — to już i po nim! Zapomniał o Bożym świecie! wtedy gotów nawet wmówić, że... o północy słońce świeci—bo jemu z amorów w głowie świta!

No przyznaj się, Stefanku — jakąś tam

zwierzynkę w lesie upolował, że cię tak długo nie było?

Chłop jak dąb — tobym się i nie dziwił, że go jaka rusałka, czy inna boginka urzekła...

Mirski uśmiechnął się; lubił bardzo doktora i pozwalał mu kpić nawet z siebie.

— Mylisz się, przyjacielu, bom nawet marnej sarenki na drodze nie spotkał — bojkotuje mnie na całej linji wszelkiego gatunku ród niewieści — odpowiedział Stefan trochę rozweselony gadaniną starego.

— Gadaj zdrów! — a mało to panny z okolicy opłakały twoje..

— Szaleństwo — chciałeś powiedzieć, doktorze i miałbyś świętą rację. Tu na wspomnienie przeszłości znów cień smutku pokrył piękną twarz Mirskiego.

— Niewiadomo, czy szaleństwo—burknął pod nosem doktór, ale tak cicho, że raczej do siebie. A ja ci powiadam, Stefanie, że kapitalne głupstwo zrobiłeś, bo marynujesz się teraz jak śledź w occie!

Chłop był jak malowanie, a teraz co? zezuje stale w stronę pradziadka Abrahama, chociażem się setnie napracował, by go śmierci z gardła wydrzeć!...

Ale wszystkiemu winne te dzisiejsze modne mędrkowania!...

W tym obecnym świecie wszystko teraz jakieś przeanalizowane, przesubtelizowane, przeczulone i djabeł wie jakie, a razem wzięte, niedowarzone! — machnął ręką z pogardliwem wzruszeniem ramion.

— Jak zacznie taki dzisiejszy jegomość — rozważać, a wnikać, krytykować, a przez mikroskop swoje wnętrze oglądać, to — zdaje się, aż do żołądka i wątroby człowiekowi trafi,—ale żeby tak swoim grzeszyskom się przyjrzał, a niejedno zmienił, poprawił ho! ho! — tego to boi się — jak Belzebub święconej wody!

Doktór wpadł na ulubiony temat filozofowania o wadach współczesnego społeczeństwa, ale pod formą żartu mówił z przejęciem, bo go do głębi gryzło zmarnowane życie Mirskiego.

— Chociaż cię kocham jak rodzonego syna i nie chciałbym ci sprawić bólu—to jednak powtarzam i twierdzić nie przestanę, że popełniłeś, Stefanie, błąd nie do darowania, rozchodząc się z żoną...

Śmierć i żona — od Boga przeznaczona! — mówi przysłowie, powiedział sentencjonalnie. Gdy Bóg dał ci kobietę i to jak się patrzy, to należało żyć uczciwie, i basta! a tak, to co? — ty słomiany wdowiec i schniesz na wiórek w tej samotności, a ona też — ni to panna, ni mężatka! Tfu! — z taką moralnością!

Zaperzył się staruszek, bo go bolała krzywda ludzka. Pomimo, że Stefan był jego oczkiem w głowie, nie wahał się nigdy w powiedzeniu mu prawdy, choćby gorzkiej, a Stefan, który nikomu nie pozwalał zaglądać sobie do duszy, dla starego weredyka miał słabość i pozwalał mu wszystko sobie mówić.

— Więc miałem raczej kłamać i oszukiwać siebie i tę obcą sobie kobietę, że ją kocham i że

jest połową mojej duszy? — ona! — ta laleczka z żurnala wycięta!...

— Obcą... obcą!—irytował się zacny staruszek.

Gdy żona — to już nie obca! — Nie trzeba było się żenić, — jeśliś taki husyt!

— A skoroś jedno głupstwo palnął, to popełniaj drugie i trzecie i ciągnij jarzmo życia, aż ci ono obrzydnie, — czy tak? — pytał Mirski i rumieniec wewnętrznego wzburzenia pokrył jego blade rysy.

— A tak! — bo tak każe prawo Boże!—Ciągnij jarzmo życia — jeśli nie umiesz uczynić go sobie lekkiem.

— Ale zapominasz, doktorze, że kto ma już trzydziestkę na karku... a wiele uciech nie zaznał, prócz pracy i obowiązku... to chciałoby mu się trochę szczęścia zakosztować,—bronił Mirski swej sprawy.

— Szczęścia!—żachnął się doktór.—Abo, wy młodzi, rozumiecie naprawdę, co to jest szczęście?

— Chyba, mój stary, nie wymagasz, aby wszyscy widzieli je tam, gdzie ty je widzisz!—drwił Mirski, śmiejąc się z zakłopotanej miny doktora.— Obłożyłeś się staremi pergaminami, jak żyd talmudem, ściągasz różnych oberwańców z pod ciemnej gwiazdy... zapychasz ich zamorusane buzie chlebem z masłem, a może i z miodem... dla wzmocnienia anemicznych organizmów! — co zarobisz — to rozdasz...

Czy nie tak? — Podziwiam cię w tem, zacny i niepoprawny idealisto, ale wybacz, że ani chcę, ani mogę cię naśladować...

— Ja jestem młody — rwę się do szczęścia! — chcę żyć!

— Aby użyć, — dodaj — rzucił doktór z pasją.

— A gdyby i tak? — Naturalnie, że użyć! — Raz człowiek żyje, więc niech pełnemi garściami chwyta rozkosze świata...

Czarę upojnych wrażeń wypić trzeba do dna!...

— Do mętów!... tak.. tak... Wy młodzi to potraficie! — Nie myślicie o tem, że później zgrzybiałość ducha przychodzi i nędza ciała... Szpital.

Ach i śmierć — gorsza jeszcze od takiego życia.

Znam ja to wszystko — znam aż nadto dobrze!...

I lęk mnie ogarnia, gdy widzę młode istnienia, lecące w przepaść występku...—

Doktór westchnął głęboko — jakby widział przed sobą obraz tej strasznej gehenny, zmagających się w nieustannej walce namiętności ludzkich. Nagle zatrzymał się przed Stefanem, spojrzał mu prosto w oczy wzrokiem przenikliwym, do dna duszy sięgającym.

— Słuchaj — czy sądzisz, że ja zawsze byłem takim, jak dziś, starcem zgrzybiałym? — I ja przeżywałem kiedyś gorączkę młodości i tak jak ty czułem.

I mnie niegdyś... wiele... wiele lat temu pochłonęło zawrotne pragnienie szczęścia...

Zdobyć je — za wszelką cenę — upić się niem... do szału... do zawrotu... myślałem...

Jak żywioł, z którym niema walki — opętało mię obłąkańcze pragnienie tego szczęścia...

Szukałem go... goniłem, lecz, gdy zdawało mi się, że je już... już chwytam i kwiat cudny subtelny, a upajający tulę do ust spragnionych, do serca .. Wracała rzeczywistość — nieubłagana i trzeźwa.

...Kwiat — czar znikał... w ręku trzymałem tylko resztki zbrukanych płatków...

...Mój kwiat leżał na ziemi... uwiędły... zszarzały.

...Zniknęło piękno woni i barwy... Pozostała zniekształcona forma... bezużyteczny śmieć!

Zamknięte w nim piękno duchowe, bogata treść — umarła...

Tak kończyły się zwykle moje gonitwy za szczęściem — zawodem i rozczarowaniem, bo szukałem treści w tem, co miało tylko formę piękna.

Starzec skrzyżował ręce na piersiach i, oparty o ramę okna, utkwił w przestworzach wyblakłe źrenice.

Zaległa cisza...

Mirskiego mocno zdziwił ten nieoczekiwany wylew liryzmu u doktora, który słynął dotąd ze swego złotego jowialnego humoru.

— Widocznie na dnie każdej duszy tkwi przyczajony romantyk... ale doktora, to jużbym nigdy o takie marzycielstwo nie posądził — skrycie myślał Stefan — nie odważając się jednak przerwać ciszy. A dusza tego mistyka gdzieś musiała się zagubić w mgłach melancholji, musiała wchłonąć w siebie nastroje tego milknącego dnia, bo, zasłuchany w tajemne szepty letniego wieczoru, zapamiętał się w sobie, w przeżywanych wrażeniach.

Nie zauważył nawet lekko drwiącej miny Stefana, z jaką śledził niebywałe zjawisko. Milczenie i rozmarzenie u zwykle gadatliwego trzeźwego doktora było istotnie czemś wyjątkowem...

Wreszcie staruszek sam się otrząsnął z zadumy.

— A to mnie wzięło! — począł kpić z siebie.

No, i powiedźcie — stary wyga złapał się! Jeszcze ten księżycowy romantyzm gotów mnie kataru nabawić! — tu kichnął tak potężnie, że aż drzemiący pod kominkiem śliczny angorski kot zerwał się na cztery łapy i groźnie zjeżył grzbiet, gotów do obrony przed domniemanym nieprzyjacielem...

— Nie przypuszczałem, doktorze, że i ty ulegasz nastrojom — drwił ubawiony Stefan.

— A bo też z tych okien bije taki zaduch — jak z kadzielnicy... aż mnie starego zamroczyło...

— A widzisz! — a mnie to nie pozwalasz marzyć o szczęściu... przekomarzał się Mirski, ale stary obruszył się nie na żarty.

— Nie pozwalam! — Kto mówi, że nie pozwalam? — usprawiedliwiał się.

Ja tylko mówię, że prawdziwe szczęście niezawsze jest tam, gdzie wy, młodzi, je widzicie.

— Więc gdzież ono jest nareszcie? — wskaż — naucz! — z wybuchem namiętnym zawołał Mirski.

Tyle mądrych ksiąg przewertowałeś, tyle lat strawiłeś na tej gonitwie i co masz z tego w rezultacie? — siwiznę na głowie, a w sercu pustkę niezaspokojonych pragnień! — szydził podniecony Mirski.

— Ja tam wolę swoją metodę, choć co prawda nieco spóźnioną: nie szukać, nie zagłębiać się, nie wyszukiwać specjalnych subtelności, — tylko upić się tem, co spotkam na drodze... Epikureizm — to mądra wiedza!

Taki np. Petroniusz! Ten umiał nie zmarnować życia! Wydobył z niego cały estetyczny czar, a co najważniejsze, że potrafił powiedzieć sobie w samą porę „dosyć”, aby nie doczekać przesytu, — coby mu sprofanowało harmonję poezji życia.

Ja tam jestem zwolennikiem, — wprost wielbicielem pogańskiego światopoglądu!

— Życie — chwila, — więc ta chwila niech będzie rozkoszą! — deklamował Mirski, mimowoli przejmując się swą rolą.

— A potem — śmierć... sąd... i potępienie!... To logiczny koniec nielogicznej zasady!

Te gromkie słowa, nacechowane dziwnem namaszczeniem, zagrzmiały z głębi pokoju, rzucone — jak baltazarowe: „Mane... Tekel... Fares”!...

Doktór zbliżył się do Stefana, i, kładąc mu rękę na ramieniu, spojrzał w oczy głęboko.

— Wierzaj mi, chłopcze, że i tę utopję przeżywałem w młodości. Był taki okres w mojem życiu, że studjowałem wszystkie mądrości starożytnego świata jedynie, by rozwiązać problemy celu, szczęścia i cierpienia. Obłożyłem się księgami greckich, wogóle starożytnych proroków, chcąc im wydrzeć tajemnicę zagadki...

Przetrawiałem ich dylematy, tworząc sobie na każdy dzień inne credo. Tygodnie i miesiące trawiła mnie gorączka, w duszy palił się

posępny płomień buntu... przed ciemnościami... nieznanego...

— I cóżeś wreszcie zdobył? — z nerwowem zaciekawieniem pytał Stefan, zainteresowany tą spowiedzią starego przyjaciela.

— Co zdobyłem? Czekaj — naprzód posłuchaj, gdzie i jak szukałem prawdy.

— Na każdy dzień wyznawałem kult innego boga — mędrca, paląc przed nim kadzidło swojej niewiedzy. Studjowałem mistrzów pogańskich, ucząc się na pamięć ich dewiz, chłonąc ich programy i ciesząc się jak dziecko z każdej nowej zdobyczy...

— Nigdybym cię o to nie posądził, przyjacielu!

Myślałem, że przeszłość twoja toczyła się zwykłą koleją... utartym gościńcem pracy i poświęcenia dla bliźnich. —

— Mylisz się! — głucho i jakby z pewnem zawstydzeniem mówił doktór, sadowiąc się wygodnie w fotelu.

Staruszek był niezmiernie żywy i ruchliwy, najczęściej biegał po pokoju, gestykulując zapalczywie.

Mirski wyczuł, że doktór przeżywał w tej chwili jakiś ważny moment duchowy, skoro tak poddawał się nastrojowi.

— Mów, proszę, stary druhu, z przyjemnością słucham — mówił, ujmując serdecznie przyjaciela za rękę.

I jemu udzielił się ten nastrój... Jakieś nieuchwytne rozmarzenie brało go w niewolnicze pęta... słodka leniwa niemoc omotała serce pa-

jęczą siecią wspomnień, że i sił nie czuł, by jej się bronić; skory był do słuchania doktora i gotów wczuć się w najzawilsze tajniki jego ducha...

— Więc mów dalej, przyjacielu, nie przerywaj wątku, ta przędza twej przeszłości snuje się przede mną — jak baśń — przedziwna tem, że tak nieoczekiwana. —

Ale zachęcające słowa młodego człowieka już nie dochodziły do świadomości doktora, bo, zatopiony w wizjach ubiegłych lat, nie potrzebował nawet podniety.. Rozpętała się w nim jakaś wnętrzna moc, więc, ulegając przemożnej potrzebie dzielenia się z tem, co przeżył — mówił, zapatrzcny w przeszłość...

— Studja nad medycyną, której poświęciłem się z zamiłowania, zabierały mi dużo czasu; pomimo pracy wysiłkowej po kilkanaście godzin na dobę, znalazłem jeszcze wolne chwile, by pochłaniać ulubioną pogańską literaturę filozoficzną.

Przez pewien czas wyznawałem z całą namiętnością młodości ślepy kult dla mistrzów starej szkoły, przerzucając się z jednej ostateczności w drugą, — bezkrytycznie, aż do zawrotu, do rozterki wewnętrznej...

Chwilami zachwycała mnie szkoła Cyników ze swoją negacją kultury. Entuzjazmowałem się między innemi tą ich zasadą, że: „im mniej człowiek ma potrzeb, tem łatwiej może im uczynić zadość i tem jest szczęśliwszy”.

— Musiała w tem tkwić cząstka prawdy— skoro przetrwała lata, znajdując po wiekach swój wyraz w ideologji Rousseau'a, — zauważył

Mirski, którego specjalnie interesowały filozoficzne zagadnienia na temat różnych pojęć o szczęściu..

— A jednak i wówczas były w tej kwestji zasadniczo sporne zdania; np. Sokrates w dziele zdobywania szczęścia wielką rolę przypisywał rozumowi. Wszak to on nie zawahał się w wypowiedzeniu tak zbliżonej do prawdy chrześcijańskiej teorji, że „najwyższą cnotą jest mądrość i tylko mądrość, — prawdziwe poznanie czyni człowieka szczęśliwym".

Gdyby temu słowu „poznanie" nadało się charakter nadprzyrodzony, to już byłoby się bliskim prawdy. Ale mnie wówczas nie o to chodziło...—A ja z tego taki tylko wniosek wyciągam— przerwał Stefan gorąco, — że, czy tak, czy owak— w pogańskim, czy chrześcijańskim świecie,—kwestja szczęścia była także „nervus rerum" ludzkiego istnienia!

— Ależ bez wątpienia, mój drogi, z tą jednak różni ą, że filozofja pogańska nie znalazła rozwiązania tej zagadki, gdzie... w czem i co jest istotą szczęścia...

— Mój stary, a czy świat dzisiejszy w tych zagadnieniach posunął się dalej? I dzisiaj ludzie błądzą po omacku, a, gdy wyciągną ramiona do tego osławionego szczęścia, — to nieraz... marę uchwycą zamiast rzeczywistości... coś w rodzaju „mgły i galarety".

— Ja zatem wolę swój realizm, — i dowodzę stanowczo, że skoro życie trwa tak krótko— należy wydobyć z niego najwyższą sumę rozkoszy!

— A więc utożsamiasz rozkosz ze szczęściem?

— Ja także wychodziłem z tego założenia i już zdawało mi się, że jestem u źródeł wszechwiedzy, rzucając się z całem zapamiętaniem w odmęt rozkoszy zmysłowej, krańcowo traktowanej przez etyczne paradoksy hedonistów...

— Ho! ho! — to widzę, że doktór w młodości mocno odstąpił na lewo od swojego pionu... żartobliwie przerwał Mirski. Ale doktór nie zwrócił na to uwagi i ciągnął dalej, jakby wsłuchany w oddalone dźwięki melodji, wygrywanej na strunach własnej duszy.

— I byłbym się stał napewno najgorliwszym wyznawcą radykalnego hedonizmu z jego prorokiem Epikurem, który głosił, że „szczęście jest najwyższym celem życia, a polega na doznawaniu rozkoszy, a unikaniu cierpień” — ale właśnie w tem miejscu zachwiała mną rozterka, w łonie tejże zasady tkwiąca, a raczej rozbieżność ich wyznawców. Jedni bowiem głosili zasadę szczęścia w znaczeniu „bezwzględnem“, t.j. rozkoszy bez cierpienia, a drudzy „względnej“, t.j. w połączeniu z cierpieniem, ale z przewagą rozkoszy nad cierpieniem. Konsekwentnie biorąc, — ta pierwsza była słuszniejsza, ale zachodziła poważna wątpliwość, czy wyłączna bezwzględna rozkosz jest możliwa?

A, gdy nieledwie jednocześnie wpadł mi w ręce Plato, rysujący kontrastowy ideał szczęścia, który polegał na zupełnem oderwaniu się od życia ziemskiego, — co dawało się osiągnąć przez wiedzę i cnotę... wpadłem w chaos i zupełną rozterkę... Wtedy przerzuciłem się do późniejszej, a zatem bliższej nam filozofji, licząc, że stanie się

bardziej dostępną dla zwykłego jak ja śmiertelnika. Świat pogański nie zadowolnił mnie, — z każdej niemal kartki wyzierał gruby materjalizm, co mnie raziło i zniechęcało. Duszy, bądź co bądź, przesiąkniętej idealizmem chrystjanizmu, jakkolwiek mało go znałem, — już nie wystarczała sama zmysłowość i hołdowanie najniższym instynktom natury ludzkiej...

— Aha! — więc począłeś szukać subtelnych, estetycznych wrażeń i zadowoleń, — przerwał Mirski z lekką ironją. Miałem więc rację, głosząc kult Petronjusza! —

— Nie dalekobyś z nim zajechał, mój chłopcze, bo, czy w ten, czy w inny sposób, bardziej, czy mniej estetyczny, pozbycie się ciężaru i odpowiedzialności życia, — to znane i stare jak świat tchórzostwo!

— Twój protegowany „arbiter elegantiarum" nie wymyślił nic nowego! Byle kiep potrafi sobie życie odebrać! — drwił stary.

— Bo też i niema nic nowego pod słońcem... mruknął pod nosem sentencję Stefan, nie chcąc się dać zbić z tropu logiką odpartego zarzutu.

— Owszem jest cnota! Młoda ona zawsze i stara, jak świat, ale od niego trwalsza, bo świat może i musi kiedyś przeminąć, a cnota trwa wiecznie... bo to przymiot Bóstwa! — twardo i nakazująco odpalił doktór lekceważący ton młodego człowieka.

— Ależ... wybacz... staruszku, — i nie sroż się tak zaraz na swego ulubieńca, — pojednawczo przymilał się Stefan, chcąc rozbroić doktora. Mów dalej — słucham i już nie przerwę...

— Rzuciłem się więc z całym impetem w objęcia nowszej literatury filozoficznej. Spencer, Schopenhauer — wreszcie Nietzsche, ale tu utknąłem znów...

— Krańcowa negacja wszystkiego, co święte i wielkie, — zerwanie z tradycją wiary, cnoty i dobra, — rzuciło mnie w jakiś piekielny wir...

Resztka pogwałconego i sponiewieranego człowieczeństwa, resztka — na strzępy porwanych nici, wiążących z dumną i chwalebną przeszłością narodu, którego byłem członkiem, — wszystko to podniosło bunt zaciekły z nową nauką... Ona głosiła śmierć i zagładę ideałom i brutalnie zrzucała z ołtarzy dawne bogi!

Za słaby się czułem, by tym nowym hasłom przeciwstawić stare, ale wypróbowane i niezawodne dogmaty etyki chrześcijańskiej, która człowieka podnosi, a nie obniża. Chciałem walczyć i bronić zagrożone placówki wiary,— ale niestety takiej walki nie byłem mocen toczyć, więc złamany i znękany duchowo, wpadłem w krańcowy pesymizm...

Kto wie, jakie katastrofalne skutki mogłyby te wstrząśnienia za sobą pociągnąć i dokąd mnie doprowadzić, — gdyby nie twarda konieczność, a w tym wypadku szczęśliwa, — zdawania ostatecznych egzaminów i doktoryzowania się

Rzuciłem w kąt filozofję, a zabrałem się z wściekłym zapałem do... lancetów, skalpeli i innych podobnych śmiercionośnych narzędzi... Pracowałem fizycznie bez wytchnienia, ale i mózg nie próżnował; wysilał się ciągle nad rozwiązaniem życiowych łamigłówek.

— A tymczasem samo życie, odrzucając suchą teorję dawało w praktyce codziennej najlepsze pole do obserwacji i prowadzenia studjów psychologicznych.

Przez ostatnie dwa lata nauki uniwersyteckiej odbywałem gorliwie praktykę w szpitalu. Tam znalazło się niezastąpione źródło do badań nad istotą cierpienia, wartości życia i ziemskiego szczęścia. Tam, przed moim wzrokiem przewijały się, żałobnemi głoskami kreślone, karty takiej golgoty bólu ludzkiego, tam śmierć zbierała takie bujne żniwo, kosząc z jednaką obojętnością zarówno bujny kwiat, rwący się do życia, jak i zgrzybiałość, tęskniącą do spoczynku wiecznego... że nieraz tylko bladłem i pięści zaciskałem z wściekłości, nie mogąc znaleźć ratunku na cierpienie...

Gryzłem palce, bo wiedza była bezsilna... Ludzie konali z bólu, a jam patrzył na to bezradny, wijąc się w męce wewnętrznej, bom nie rozumiał poco, dlaczego cierpieli?...

Raz zdarzyła mi się w szpitalu pewna chora staruszka, którą specjalnie się interesowałem. Wbrew zwykłemu egoizmowi chorych, zajętych przeważnie sobą, kobieta owa była przedmiotem miłości wszystkich chorych na ogólnej sali. Cierpiała strasznie na raka w żołądku, dni jej były policzone, a jednak pogodna była zawsze, jasna, nawet uśmiechnięta. Nieraz ból nieludzki aż jej rysy zniekształcał, a próbowała jeszcze się uśmiechać i znalazła zawsze słowa otuchy i nadziei dla innych. Wpatrzona w drewniany krzyżyk, wiszący na ścianie, drżącemi wargami

błogosławiła swe towarzyszki niedoli, czytając im niekiedy coś z małej zniszczonej książeczki, z którą nie rozstawała się nigdy.

Wnuczka tej dziwnej staruszki, młoda dziewczyna, zupełna sierota, wybłagała u babki na kolanach zgodę na operację, łudząc się, że babkę tem uratuje.

Staruszka wiedziała, że nie przetrzyma, ale nie chcąc ranić serca dziewczynie, a może nie chcąc przedłużać jej męki patrzenia na powolne konanie, — zgodziła się z rezygnacją.

Gdybym umiał się modlić, — byłbym pierwszy raz pacierz zmówił, błagając zmiłowania dla tej męczennicy... Niestety! — pogańska filozofja tego mnie nie nauczyła! — cierpiałem bezradnie — za nią...

Operacja musiała się odbyć bez chloroformu, bo serce staruszki było za słabe...

Męczyła się straszliwie; w dłoni ściskała konwulsyjnie swoją książeczkę — talizman szczęścia!... wpatrując się w nią oczami, błędnemi z bólu...

Gdy poczuła, że słabnie, wyciągnęła stygnącą rękę z tą książeczką, i wciskając mi ją, mówiła głosem urywanym przez spazm konania: „Dobry byłeś — Bóg ci nagrodzi — weź książeczkę i czytaj... tam znajdziesz naukę... tam odpowiedź... —

Czułem, że łzy ciężkie ołowiane toczyły, się po mojej twarzy, — alem się ich nie wstydził!..

Ręka, którą tuliłem w swych dłoniach stawała się coraz chłodniejsza... zesztywniała wreszcie na kamień... — Ból dławił mnie w gardle...

— Za co? — Dlaczego ta dusza wybrana cierpiała? — Po tysiąckroć zadawałem sobie to pytanie... resztkami sił... instynktownie, broniąc się przed bluźnierstwem.

Aż kiedyś... po wielu tygodniach... zupełnie niespodzianie... gdy pustka wewnętrzna i nieokreślona tęsknota doprowadzały mnie niemal do szaleństwa... nagle ze zwoju zeszytów, leżących na biurku, z pośrodka książek, gazet, papierów, — niewiadomo skąd tam zabłąkana w zapomnieniu... wypadła na ziemię... mała... zniszczona książeczka...

Podniosłem skwapliwie, — zawstydzony, żem dotąd nie spełnił nakazu z nad grobu...

Przerzuciłem kartki.. zżółkłe były, pomięte, w niektórych miejscach aż bronzowe od śladów palcy... Zagłębiłem się w czytaniu.

Była to Ewangelja, — której dotąd nie znałem nawet z imienia...

Noc minęła — jak chwila...

Gdy rozełkany świt szarym tumanem okrył ziemię. — książeczkę skończyłem...

Olśniło mnie światło, bijące z tych szczerniałych kartek... Zagadkę miałem rozwiązaną...

Celem życia — niebo; drogą do niego — cierpienie, a szczęściem, — osiągnięcie celu!

Tej odpowiedzi, której szukaniu poświęciłem pół życia, — nie dały mi ani pogańska starożytna, ani dzisiejsza filozofja, — znalazłem ją dopiero w filozofji chrześcijańskiej, — która odtąd stała się dogmatem moim. Dzisiaj widok cierpień ludzkich nie budzi we mnie buntu, — tylko współczucie, a wnikając coraz głębiej w ideologję katolicką, dziś zdolny jestem

zrozumieć nawet taki, w opinji świata, paradoks, jaki wypowiedziała Wielka Święta Teresa: że „krzyż staje się ciężarem tylko temu, kto go wlecze, a lekkim dla tego, kto go obejmuje”.

— Jeśli więc nie umiesz krzyża codziennych trosk i zawodów znosić conajmniej z rezygnacją, to go wlecz chociażby, a nie rzucaj w pół drogi, — bo tak postępuje tylko tchórz, — bez czci, — a tyś, Stefanie, człowiek, którym winien rządzić rozum i sumienie! — Żeniąc się z dzieckiem prawie — brałeś świadomie odpowiedzialność na siebie za jej szczęście doczesne, a nawet i wieczne, bo tak powinno być w idealnem małżeństwie — odpowiedzialność wzajemna!

A tymczasem zamiast tego, — wymyślasz swej żonie od „lalek z żurnala“! — Pomysł z kalendarza, irytował się staruszek, wróciwszy do swego zwykłego jowialnego tonu.

A kiedyśmy ci obaj z Jacentym głowę suszyli, żebyś trochę poczekał z tym ślubem, przyjrzał się ...poznał... to ci się spieszyło jak na jarmark, — starych słuchać nie chciałeś... a panna była ci gładka i mądra — istny cud świata!

A teraz co? — lalka z żurnala!

Doktór lubił bardzo Renę, więc go żywo ubodło lekceważące zdanie o niej Mirskiego.

Każdy człowiek nosi w sobie iskrę światła Bożego, — ale ją trzeba u niektórych rozdmuchać, duszę wykształcić, wyanielić, a ty co?

Poświęciłeś ty chociaż godzinkę czasu poznaniu tej duszy, — urobieniu na modłę swoją,

czy chociażby którego ze swych pogańskich genjuszów, którymi się dzisiaj zachwycasz?

Gdzietam! szast prast i żony już niema!

Tak się zagalopował poczciwina w swem słusznem, coprawda, oburzeniu, że nawet nie zauważył milczenia Mirskiego i jego wyglądu, dopiero wejście Jacentego przerwało w samą porę zapał staruszka, bo Mirski robił wrażenie naprawdę chorego.

— Baj — baju — a tu panicz ledwie żywy! — zrzędził stary sługa, który, słysząc rozmowę, całą duszą przytakiwał doktorowi, ale na punkcie zdrowia wychowanka był nieprzejednany.

— A niechno już pan doktór daruje dziś paniczowi... bo ledwie zipie...

— Dobrodziej pójdziesz teraz do łóżka, — zawyrokował doktór, biorąc za puls chorego. Dostałeś porządną porcję, to ci wystarczy na dzisiaj i może rozumu trochę napędzi do głowy, — a teraz trzeba się zabrać do ciała, bo strasznie kiepskie...—

Istotnie Stefan wyglądał bardzo mizernie; blady, wychudzony, ku utrapieniu Jacentowej, która napróżno wysilała swe zdolności kulinarne, by się pochwalić dobremi rezultatami w wyglądzie ukochanego panicza. I teraz zaczęła się zaraz krzątać około chorego, znosząc mu i zachwalając najrozmaitsze przysmaki, ale Stefan reagował na wszystko z filozoficznym spokojem, nie odmawiając, ale i nie spiesząc się do żadnego. Leżał spokojnie, pogrążony w myślach, przetrawiając usłyszane gorzkie prawdy.

Tymczasem doktór wzrokiem pełnym ironicznej pogardy śledził zabiegi Jacentowej i widać

było, że mimo zmartwienia mizernym wyglądem Stefana, po głowie chodzą mu jakieś zabawne pomysły, bo twarz dobroduszna aż mu drgała od figlarnych uśmiechów; nie wytrzymał wreszcie i począł swoim zwyczajem drwić i dowcipkować...

— Tak się pani Jacentowa wysila, by choremu dogodzić, tak zabiega, a ten nic, — ani spojrzy... a gdyby się tu jakie młode rączki koło chorego zakrzątnęły, to zarazby inną miał minę i inaczejby wszystko smakowało!

Ot co tu dużo gadać, — nam starym trzeba się już do dymisji podać, a tu sprowadzić kogo młodszego... innej rady niema, co? Jak myślisz, Jacenty, bracie?

Gdyby tak jaka młoda pielęgniarka, to z punktu inaczejby się wzięła do naszego gagatka i w migby ozdrowiał. Niema to — jak młodość! — panie dobrodzieju! zakończył, mrugając znacząco w stronę Jacentego.

Ale stary sługa nic nie odpowiedział, tylko kiwnął głową w stronę doktora, a niespokojnym wzrokiem śledził Stefana, który, nie dając nic po sobie poznać, zainteresowany niezmiernie zwrotem o pielęgniarce, milczał, czekając rozstrzygnięcia ciekawej dla siebie zagadki.

— A zatem przypuszczenia moje o czyjejś obecności tu w czasie choroby, miały realne podstawy, — snuł w myślach. Ale dlaczego ukrywają to przede mną i co knuje ten stary figlarz doktór, że minę ma tak łobuzerską? Stanowczo dziś wieczorem zapytam Jacentego, co to wszystko znaczy i dlaczego jakieś tajemnice...

Czuł się urażony, że mogło się dziać coś, co jego tyczyło, a bez jego wiedzy.

A doktór, trochę zawiedziony w rachubach, bo przypuszczał, że Stefana zaintryguje swemi domyślnikami, — zabierał się do wyjazdu, bo już i konik jego z małą bryczuszką i chłopcem czekali przed gankiem.

— Bądź mi zdrów, chłopcze! — wypocznij i jutro nie zrywaj się ze świtem, — przyjadę przed południem, to pomówimy o dalszej kuracji... i znów uśmiech znaczący rozjaśnił jego twarz poczciwą.

Mirski został sam ze swemi myślami; chwilę leżał jeszcze spokojnie na kanapie, później wstał i przeszedł do swego gabinetu, gdzie łóżko czekało, przygotowane troskliwą ręką Jacentowej.

Mocno zmęczony położył się zaraz, odczuwając błogość spoczynku i bezwzględnej ciszy.

Dzisiejszy dzień dał mu tyle wrażeń, że musiał teraz solidnie odpocząć i wszystko sobie uporządkować.

Ranne wspomnienia do tego stopnia go pochłonęły, że zapomniał o teraźniejszości i jakby poraz drugi przeżywał smutną historję swego życia.

Przeszłość, z groźnem obliczem pogwałconej sprawiedliwości, — stanęła przed nim, jak żywa, potem słowa doktora. Pod lekką chwilami i żartobliwą formą tkwiła w nich prawda,— bijąca w oczy, temu nie mógł zaprzeczyć.

Poraz pierwszy Stefan uświadomił sobie, że zarówno mało obmyślonym gwałtownym ślubem, — jak i potarganiem węzłów małżeńskich, nie kierowały namysł i rozwaga, ale wprost,

niewytłumaczona przy jego usposobieniu zrównoważonem, lekkomyślność.

I zaczęła się dla Mirskiego jedna z tych rzadkich, ale w skutkach doniosłych chwil, gdy człowiek, stanąwszy oko w oko prawdzie, z bezwzględną surowością i odwagą zagląda w swoje wnętrze, by tam doszukać się winy.

Głowa mu ciążyła, bo nie był z siebie zadowolony. Drobiazgowa analiza kilkunastu miesięcy przeżyć małżeńskich przekonała go ze zgrozą, że do zerwania i rozejścia się z żoną głębszych p wodów nie było.

— Wprawdzie istniała między nami kontrastowa różnorodność charakterów i usposobień, co wywoływało częste i coraz gwałtowniejsze starcia, — ale wszak one nie mogły dawać moralnych podstaw do łamania życia dwojga istot.... sam to przyznawał Mirski.

Z tych jedną ja jestem i już teraz czuję się rozbitkiem życiowym, a Rena?

Przy braku zasad religijnych, taka młoda i niedoświadczona, a ładna i lekkomyślna, rzucona w wir świata w wyjątkowo romantycznych warunkach, opuszczonej, prawie wypędzonej żony, — czyż nie może się wykoleić? — Wówczas odpowiedzialność spadłaby na mnie — jak to, zresztą słusznie, rzucił mi w twarz doktór...— snuł gorączkowo Stefan.

W tem — przypadkowo skojarzonem małżeństwie największem złem było to, że jedna strona nie chciała się zniżyć do drugiej, a druga nie umiała wznieść się do pierwszej. Rena przy swojem dość powierzchownem usposobieniu miała

jednak dużo dobrej woli, ale tych stron dodatnich nikt nie próbował w niej rozwinąć. Wychowana przez ciotkę, kobietę o małej wartości moralnej, próżnej i ambitnej na punkcie urody siostrzenicy, wyrosła w atmosferze zabaw, strojów i jedynego celu, — podbijania serc męskich, stała się istotnie, jak pogardliwie określił ją Mirski w rozmowie z doktorem, „laleczką z żurnala". Nieszczęściem było dla niej to, że i po zamążpójściu w dalszym ciągu dusza jej spała.

Mąż, mając wysokie pojęcie o swojej wartości, nie rozumiał i wprost nie umiał poprawiać ludzkich słabostek. Mistrzami duszy młodej kobiety byli przeto tylko Jacenty ze swą małżonką. Rena w Zalesińskim dworze robiła wrażenie biednego kwiatka w pączku, zabranego z cieplarni, któremu nieodpowiednie warunki nie dozwoliły rozwinąć się normalnie.

Swem prostem sercem Jacentowie odczuwali to instynktownie i dlatego starali się, ile tylko mogli, własną serdecznością ogrzać i przytulić obcą ptaszynę, ale katastrofie zapobiec nie mogli. Wprawdzie Jacenty, przyzwyczajony do poufałości z młodym dziedzicem jawnie potępiał jego stosunek i zaniedbywanie żony, ale zaradzić złemu zasadniczo nie umiał.

Nieszczęście też chciało, że w dzień ostatecznego zerwania i wyjazdu Reny z Zalesina, — Jacentego w domu nie było, wyjechał do miasta w interesach gospodarskich. Gdyby nie ta fatalna okoliczność, Mirskiemu nie poszłoby tak łatwo. Stary sługa swoją powagą i prawami ojcostwa w stosunku do Stefana, nie dopuściłby

do rozstania. Gdy wrócił Jacenty i dowiedział się od zapłakanej Jagny o katastrofie wyjazdu Reny, — nie pożałował dziedzicowi gorzkich i potępiających jego karygodny postępek wymówek, aż doszło do poważnego na tem tle starcia. Było ono pierwszem od tylu lat współżycia i pracy w tym domu, to też stary sługa odczuł to boleśnie pomimo, że Stefan, choć się bronił i usprawiedliwiał, — robił to z dużą rezerwą, bo starego nie tylko kochał, ale czcił i szanował, jakby rodzonego ojca.

Od tej chwili jednak imię Reny nie pojawiło się wzajemnie na ich ustach. Jacenty poddał się smutnej konieczności, ale Stefan czuł, że stary cierpi i nie godzi się z losem...

I teraz Mirski, leżąc w łóżku, obserwował Jacentego, który kręcił się po pokoju, sprzątając i układając porozrzucane papiery na biurku Stefana. Minę miał markotną, jakby dolegała mu jakaś troska, aż przygarbiły się plecy, a czoło pokryła sieć drobniutkich zmarszczek.

Stefan subtelnością kochającego serca odczuwając, że staremu ulżyłoby, gdyby mógł wygadać przed kimś swój smutek i, chcąc przy tej sposobności własne załatwić rachunki, postanowił przerwać milczenie, przesycone niejako tajemniczością niewymówionych, a tajonych w głębinach serca słów...

— Powiedz mi, Jacusiu, — zaczął tonem łagodnej, serdecznej wymówki, — wiedząc z doświadczenia, że na takie wezwanie przywiązany sługa nie pozostanie głuchym.

Powiedz mi, dlaczego ukrywacie coś przede mną, dlaczego, gdy niejednokrotnie zapytywałem ubocznie, czy był ktoś przy mojej chorobie, komu zawdzięczam troskliwą i skuteczną opiekę, — pomijacie pytanie milczeniem i czuję instynktownie, snującą się koło siebie nić — jakiejś intrygi, czy igraszki?

Cień rozrzewnienia, który przy pierwszych słowach Stefana pojawił się na zatroskanej twarzy Jacentego, ustąpił miejsca,—zdziwieniu.

Gorączkowo przekładał papiery z miejsca na miejsce, widocznie zakłopotany i zaskoczony obrotem jaki przyjęła rozmowa.

Gdy tak minęła dobra chwila, Jacenty, usprawiedliwiając się nieśmiało i nie podnosząc wcale oczu począł mówić bezładnie, jak człowiek, który chce zyskać na czasie, by obmyśleć sposób wydobycia się z trudnej sytuacji.

— Jasny panicz chyba żartuje! — ktoby śmiał? — Każdyby w ogień skoczył za panicza, a pierwsza to jas... Tu usta gwałtownie ręką zakrył, ale zapóźno, bo Stefan w wysokim stopniu zaintrygowany niespodziewanym zwrotem, a zwłaszcza zmieszaniem starego, który się zaczerwienił, jakby schwytany na gorącym uczynku, — wpił w niego oczy, pełne groźnego nakazu.

— Co to wszystko znaczy? — Proszę cię, Jacenty, o całą prawdę, — już zupełnie poważnie zwrócił się do starego sługi. A Jacenty nie mogąc widocznie dłużej zapanować nad wezbraniem różnorodnych uczuć w sercu, — rzucił trzymaną w ręku miotełkę, i z młodzieńczą żywością pod-

biegł, obejmując po ojcowsku, siedzącego na łóżku Stefana.

— Ot i masz, paniczu, pociechę ze starego — wygadałem się jak baba! — ale bo też i trudno, już dłużej strzymać tego co w piersiach się nazbierało, — tłumaczył na wpół z płaczem.

Taki mnie smętek za serce chycił, — że już i ratunku nijakiego nie widzę, — mówił, ocierając załzawione oczy dużą czerwoną chustką.

Co tu dłużej ukrywać, kiej ta boleść już się i w piersiach nie mieści...

Pyta panicz, kto go w chorobie jakby matka najczulsza pielęgnował? — a któżby, jeśli nie rodzoniuteńka paniczowa ślubna żona, — panienka Reniusia!

Jak potok górski, zwyciężywszy przeszkodę z szalonym niewstrzymanym pędzi impetem na oślep — tak w duszy tego prostaka, — mędrca, gdy zerwała się tama milczenia, siłą sobie narzucona, słowa biegły jak strumień szumiący, przepełnione długo tłumionym żalem, ale teraz i dumą tętniące.

— Tak — jasna panienka tu była! —

— Ona? — Tu? — Rena? — Tu skąd? — Po takiem rozstaniu — Rena tutaj? — Niesłychane!— powtarzał Mirski w najwyższem zdumieniu.

— Ano było tak — począł Jacenty — już uradowany, bo w głosie Stefana, — prócz niemal obłędnego przerażenia niespodziewanem odkryciem, — nie odczuł oburzenia, więc pełen źle tajonej radości zaczął swą opowieść:

— Więc kiedy przywieziono panicza ledwie żywego, tej nocy okropnej, co się palił dwór

w Halińcu, a panicz ratował bliźnięta panu Romanowi, — przywieźli panicza z głową osmaloną i wielką w niej dziurą, bo spadła ciężka płonąca belka...

U nas sądny dzień powstał... Większość służby ratowała przy ogniu — mało kto został, a tu panicz leci mi przez ręce całkiem bez życia...

Kobiety w lament, więc zostawiłem panicza pod opieką Jagny, a sam co koń wyskoczy— po doktora.

Wracamy — a tu — oczom własnym nie wierzę — na chłopskim wózku — samiuteńka z twarzyczką jak opłatek, gna kiej wicher — panienka Reniusia! — Nienazwyczajone do konia dziecinne rączki źle kierują lejcami, koń zestraszony hałasem i szumem od ognia pędzi na złamanie karku. — Ledwośmy we dwoje ze stajennym uchwycili i strzymali, — bo gotowe było nowe nieszczęście!

A panienka nic tylko strasznym głosem woła: „Czy jeszcze żyje? — a oczy to jej się paliły jak te głownie przy pożarze...

Wpadamy z doktorem: — panicz leży bez przytomności — jak nieżywy, — a panienka wtedy jak nie krzyknie — jakby jej serce miało pęknąć, jak się nie rzuci do panicza — jak nie obejmie mu nóg i nie zacznie mocno szlochać — tośmy wszyscy gorące łzy mieli pod powiekami i niewiadomo było kogo wprzódy ratować...

Długą chwilę tak przeleżała, że jej oderwać nie było można. Aż dopiero gdy doktór powiedział stanowczo, że odjedzie i choremu nie zrobi opatrunku — to się dźwignęła, ale bledziutka

była taka jakby ta lilijka i na nogach całkiem się słaniała...

Doktór prędko zakrzątnął się kole ratunku, ale przed nami nie skrywał, że stan jest groźny, bo skutkiem silnego uderzenia belką — mózg był naruszony.

Panienka słuchała bez kropli krwi w twarzyczce i naraz — do nóg doktorowi się chyli i błaga i zaklina, że ona będzie pielęgnować. .

Spojrzał doktór na te rączyny dziecinne — i ze zwyczaju — splunął i głową pokiwał, ale za chwilę jakaś mu nowa przyszła myśl, bo schwycił jasną panienkę za oba ramiona, wstrząsnął porządnie — i jak zwykle po swojemu szorstko huknął...

— Ano — próbuj aśćka — zobaczymy co potrafisz, — ale karność żołnierska! — Żadnych babskich lamentów, tylko — uwaga i robota, a nie — to fora ze dwora! — dodał groźnie, — ale panienka nic się nie przelękła, tylko — buch! — pana doktora w rękę z wdzięczności — aż staruszek po siwą czuprynę pokraśniał...

Rozporządził wszystko panience i obiecał zajrzeć za dwie godziny. A wtedy panienka zaraz u mojej Jagny wybrała se biały fartuszek, czepeczek sporządziła z chusteczki i tak wystrojona jak do ślubu — stanęła do roboty.

I zaczęły się ciężkie dni we dworze.

Wszystkich gnębiła troska o jaśnie panicza, a panienka — to już wyglądała jak cień...

Cicha, lekka, od stolika z lekarstwami do łóżka przesuwała się jak wiotki obłoczek, — zawsze czujna, a troskliwa jak najczulsza matka.

Nikomu nie pozwoliła tknąć się panicza — sama wszystko szykowała, zmieniała opatrunki, aż nawet doktór nie mógł wyjść z podziwienia, skąd się w niej wzięły takie umiejętności.

Nie wiadomo poprostu czem żyła, bo ledwie z jakie dwie trzy szklanki mleka Jagna wmusiła w nią codzień. Nie kładła się wcale, choć co my się naprosili! — mówiła ciągle:

— Gdy mu się polepszy — to odejdę — odpocznę — teraz on mój, — bo nieprzytomny i tak to smutno mówiła, że człowiekowi na płacz się zbierało z żałości.

W przeżyciach z tych dni musiało być dużo siły uczuciowej skoro, odtwarzając je z pamięci starowina nie mógł się opanować i załzawione oczy rękawem ocierał.

Mirski leżał z oczami przymkniętemi. Zdawaćby się mogło, że niewiele się interesuje gadulstwem starego, — ale baczny obserwator zauważyłby coś wręcz innego. Mirski nic nie mówił, ale jego dusza przeżywała jeden z najważniejszych może kryzysów moralnych.

Wiadomość o obecności odtrąconej żony wówczas, gdy walczył ze śmiercią, jej przybycie niemal w parę godzin po katastrofie, która mogła złamać jej życie...

Przypominał sobie dokładnie, że pożar w Halińcu i śmiertelny wypadek jakiemu uległ, ratując dzieci z płonącego domu, — wszystko to nastąpiło w kilka godzin po decydującej rozmowie z Reną i jej odjeździe.

— Widocznie Rena zatrzymała się na noc w poblizkiem miasteczku i tam musiała ją dojść

wiadomość o niebezpieczeństwie, grożącem mężowi... kombinował...

Zestawienie tych faktów przesunęło się z błyskawiczną szybkością przez umysł Mirskiego, wywołując w nim chaos myśli — uczuć i wrażeń...

Czuł się w najwyższym stopniu niezadowolony z siebie — ze świata, z ludzi...

Rąbek tajemnicy, którą przed nim odsłonięto— wytrącił go z równowagi. Wstydził się w tej chwili sam siebie, że go interesowała taka pozornie drobna okoliczność, kto go mógł pielęgnować w czasie choroby... Byłoby lepiej, gdyby nie wiedział... A teraz splątany kłąb uczuć wywoływał potrzebę wniknięcia w siebie...

— Dlaczego wróciła tam, skąd ją tak nielitościwie wypędzono? — irytował się wewnętrznie.

Pielęgnować człowieka, który tak skrzywdził?

Miałażby mnie Rena kochać? — Nie umiałbym jej nigdy o to posądzić... Ale w takim razie nasze rozstanie byłoby dla niej tragedją podwójną, bo nietylko duma tam cierpi, ale i serce.—Okropność! — Głuchy jęk wyrwał się z piersi młodego człowieka, aż drgnął Jacenty, milczący przez chwilę w przekonaniu, że dziedzic usnął.

— Mów dalej, Jacusiu — powiedział miękko, więc starowina snuł dalej niewesołą opowieść.

— Raz była noc straszna; panicz majaczył, zrywał się z łóżka, odpychał wszystkich, — tylko jedna panienka umiała sobie dać radę.

Zdumiewaliśmy się wszyscy, skąd w takiem młodem i słabem stworzeniu mogła się zna-

leźć siła, by przytrzymać panicza w gorączce, a jednak patrzyliśmy na to własnemi oczami.

Gdy panicz się zrywał i chciał uciekać, tylko ona jedna umiała panicza uspokoić...

Raz gdy po takim ataku leżał panicz jak nieżywy, blady, prawie bez oddechu, nagle panienka się zerwała, bo po takiem mocowaniu z chorym też siedziała bez sił, — pobiegła do sąsiedniego pokoju, odwróciła się od progu i rzuciwszy mi szeptem: — Niech Jacenty ani na minutę pana nie odstępuje, — zatrzasnęła drzwi i klucz przekręciła.

Spojrzeliśmy się z Jagną na siebie i widać jednaka myśl nam przyszła, bo Jagna zbielała jak chusta, a mnie ciarki rozeszły się po całym krzyżu...

Siedzieliśmy tak długą chwilę bez ruchu, lękając się nawet westchnieniem zmącić ciszy...

Każde z nas przeżywało straszne chwile, ale, gdy zegar wydzwonił godzinę, a z sąsiedniego pokoju nie dochodził szmer najlżejszy—Jagna się zerwała — widocznie dłużej nie mogła strzymać jakowejś niepewności...

Stała chwilę niezdecydowana, następnie zbliżyła się do pokoju, nadsłuchując i leciutko do drzwi zastukała. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, nachyliła się, zaglądając bez tchu w piersiach przez szparę do wnętrza pokoju.

Sekunda oczekiwania wydała mi się wiekiem.

Nagle Jagna pociągnęła mnie za rękaw do drzwi z cichym okrzykiem i wyrazem dziwnego rozradowania na twarzy.

— Zajrzyj — powiedziała, a w słowach tych był nakaz taki, że instynktownie posłuchałem, zaglądając przez szparę.

Jacenty zatrzymał się chwilę; dławiło go i tłumiło słowa wzruszenie... Mirski zawisł na jego ustach, wstrzymując oddech....

— A to, paniczu, nasza panienka — podjął załzawionym głosem — leżała rozkrzyżowana na ziemi, modląc się tak żarliwie, że nie słyszała naszych stukań....

Zdało nam się, że słyszymy łopot skrzydeł anielskich i że jakieś jasne dobroczynne duchy niosły modlitwy tego dziecka, zmieszane ze łzami i złożyły u tronu niebieskiego...

Gdy za chwilę panna Reniusia weszła, twarzyczkę miała bledziuśką — jakby wyciętą z opłatka — tylko wielkie oczy świeciły jakby dwie gwiazdeczki na niebie, a biła z nich moc jakowaś... Poczuliśmy się oboje wobec niej jak przed jaką świętą z obrazka, — że chciałoby się ino patrzyć i modlić...

— On będzie żył — musi żyć! – powiedziała z taką pewnością, żeśmy wnet w to uwierzyli i dalibyśmy się pokrajać za tę naszą drogą prawdę...

W duszy Mirskiego coś się zerwało — pękła mocno naciągnięta struna... duszę zalewała jasność...

— Więc Rena umiała się modlić — modliła się za mnie! — szeptały jego usta w słodkiem rozradowaniu.

Robił często wyrzuty żonie za brak religijności i gorszył się skrycie, nie widząc jej nigdy

modlącej się... Opowiadanie starego sługi było dla niego wprost rewelacją; doznawał wrażenia, że dusza jego staje się świadkiem jakichś mistycznych tajemnic.. że się stał posiadaczem wielkiego objawienia...

I dobrze mu było w tych marzeniach; duszę unosił powiew wiośniany... Wstępowała w niego tężyzna duchowa, a młoda krew pulsowała w tętnicach bujnym i rwącym potokiem. Jakieś świetlane olśnienia majaczyły mu przed wzrokiem i mimowoli przypomniał się obraz śmierci Ellenai z Anhellego: „a anioł Eloe podłożyła pod nią z obojej strony końce skrzydeł łabędzich i zawiązała je pod umarłą”. On także miał wrażenie, że duszę jego unoszą anieli, że słyszy przedziwną melodję mgieł i nurza się w złocistej topieli...

Dobrze mu i jasno... aż oczy mruży przed blaskiem... Tulą go miękko słodkie objęcia... na usta zaś — niby tchnienie spływają czarowne zaklęcia... Śni... jak w bajce..

Nagle donośny dźwięk bijącego zegara wpadł w ciszę brutalnie — twardy jak rzeczywistość. Ocknął się Mirski....

— Trzeba wracać do rzeczywistości — powiedział głucho. Chwila słabości minęła, jak minąć musi wszystko, co niewarte istnienia.

Przeszłości nie wróci żadna siła!

Może postępowaniem Reny kierował narazie sentyment — trochę kobiecej egzaltacji!

Może znalazła upodobanie w roli Samarytanki w stosunku do męża - tyrana, a obecnie

już pewnie wróciła do równowagi i może nawet żałuje chwilowej słabości!

Takich słów, jakie padły między nami, nie można wykreślić z pamięci...

Uspakajał sumienie sofizmatami, ale niełatwo dało się oszukać...

— A jeżeli Rena mnie kochała — czy w takim razie odtrącenie jej bez litości nie było krzywdzącym egoizmem? — wślizgnęła się ukradkiem ta myśl uparta w zwoje mózgowe Mirskiego.

Nie znalazł na to odpowiedzi, ale, chcąc zagłuszyć myśli dręczące, zadał Jacentemu podstępne pytanie.

— No ale pewnie znudziła się pani dziedziczce ta opieka nademną i wkrótce odjechała? Drwił umyślnie, a jednocześnie lękał się, by odpowiedź nie potwierdziła jego przypuszczeń.

— Co też panicz wygaduje — odpowiedział stary w najwyższem oburzeniu — gdzietam! Dopiero, gdy pan doktór powiedział, że już stanowczo choroba się przesiliła i panicz lada dzień odzyska przytomność, wtedy panienka aż się zachwiała — główkę spuściła i łzy, jak groch, sypnęły jej się z oczu.

— Trzeba mi już stąd precz iść — powiedziała. Pan nie powinien mnie tu zobaczyć, gdy mu wróci przytomność. — Gotówby wtedy drugi raz się rozchorować — mówiła z pół figlarnym, ale bolesnym uśmiechem, aż jej rączki ucałowałem, bo takiem mi się wydała biedactwem...

— Pojechała wieczorem, ale przedtem klęczała przy łóżku panicza chyba ze dwie godzi-

ny, — a nam się tłumaczyła, że musi się napatrzeć, by jej to na resztę życia wystarczyło...

Potem obleciała wszystkie kąty w domu i w parku i z nami się żegnała, jakby z równemi sobie, a że to babskie serca, wiadomo, miękkie to jak się zaczęły z moją babą ściskać i całować, a płakać razem i szlochać, to aż mnie starego żałość i zazdrość wzięła, więc niewiele myślący upomniałem się, że i mnie się coś należy...

A tu jasna panienka jak nie skoczy do mnie, jak nie obejmie za szyję, jak nie zacznie całować i tulić tę swoją kędzierzawą główkę, a zacznie prosić przymilnie: — Mój Jacusiu, mój staruszku złociutki, pilnujcie tu pana jak oka w głowie, — ale mnie nie zdradźcie, broń Boże! boby się pan mocno gniewał...

Straciłem całkiem głowę i myślałem, że mi od żałości serce pęknie...

Nawet psy i koty żegnała... a potem pręciutko wsiadła na wynajęty wózek, bo paniczowych koni brać nie chciała, i odjechała... słoneczko nasze!...

Oj paniczu, paniczu! — jak można tak życie zmarnować! — wyrwało mu się pierwszy raz, pod wpływem smutnych roztrząsań przeszłości.

Dotąd unikał drażliwego tematu, ale w tej chwili nie umiał zapanować nad żalem.

Mirski nic nie odpowiedział. Czuł się zdenerwowany do najwyższego stopnia... Zdawało mu się, że nawet otaczająca ich głucha cisza,

niesie mu niemy wyrzut... za zmarnowane życie... za nić szczęścia, złotą — brutalnie zerwaną...

Przez okna wpadały już zlekka gasnące koralowe blaski zachodu, przeglądając się w szybach purpurową zorzą. Z oddali dochodził przytłumiony śpiew żniwiarzy, późno wracających z pola, nawoływania pastuchów — czasem ton fujarki.

Cisza letniego wieczoru otulała świat w perłowo-fioletowe powicia mgieł. Ziemia zmęczona żarem wyjątkowo upalnego dnia, oddychała lekko, układając się do snu, odurzona i ukołysana upajającą wonią kwiatów...

Ale Mirski nie widział, nie odczuwał tych uroków, przerzucał wspomnienia swoich przeżyć jak kartki książki — jedną po drugiej...

Wyłaniał się z nich nagi, beznadziejny dramat. Życie było złamane — jego umysł stwierdzał ten fakt z całą jasnością.

Nagle sercem młodego człowieka targnął ból — jakaś sieroca pustka otoczyła go chłodnemi ramionami .. Czuł się sam... bezgranicznie sam...

— Jacusiu, siądź koło mnie — przemówił wreszcie miękko.

Czuł nieprzezwyciężoną potrzebę bliskości czyjegoś serca przy sobie.

— Samotny... opuszczony... z własnej winy!

Poraz pierwszy odczuł tak dotkliwie pustkę wkoło siebie.

— Zapal ulubioną fajeczkę i siądź tu blisko...

Przypomniały mu się lata dziecinne, gdy zwykle

przed zaśnięciem prosił Jacentego, by usiadł przy nim i opowiadał ulubione bajki.

Zasłuchany w nie — usypiał...

Jacenty powtórnego zaproszenia nie czekał szczęśliwy, że odnajduje w Mirskim dawnego Stefana. Przysunął do łóżka głęboki fotel i chciał zapalić światło, ale Mirski silnie zaprotestował.

— Nie psuj mi czarów natury, stary — przez okna takie cudne wchodzą powiewy i blaski...

Chwilę trwało milczenie, choć w powietrzu drgały jakieś pytania.. niedomówione słowa... szepty...

Mimowoli odczuwało się, że ta cisza zapowiada świt czegoś, że musi się coś stać niezwykłego... Tajemnicze nici plątały się... wikłały w sploty nierozerwalne. I padły wreszcie pytania i słowa, których niejasne przeczucia mieli obaj...

— Jacusiu, powiedz mi, proszę, czyś ty się kiedy pogniewał ze swą Jagną, — tak na dobre?

Głos Mirskiego był przytłumiony... proszący, a jednocześnie brzmiał w nim nakaz szczerej odpowiedzi.

— Gniewać się z Jagną? — a przecieżeśmy ze sobą 35 lat już przeżyli — ze zgorszeniem odrzucił pocisk Jacenty.

— No, a czy zawsze byliście z siebie zadowoleni, czy nie miałeś Jagnie nic do zarzucenia? — badał Stefan nieśmiało.

— Ba! — mój paniczu — abo to człowiek anioł z nieba, żeby nic sobie, albo innym nie miał do wygarnięcia — odpowiedział filozoficznie Jacenty, pykając z fajeczki.

— Wszystko, co żyje na świecie—to przecie skażone, więc i człowiek nie może być doskonałym, ale cała sztuka w tem, żeby umieć znosić te niedoskonałości bliźnich,—a swoje poprawiać,—to i ten bliźni czegoś się wtedy nauczy.

Mirskiemu niebardzo przypadła do gustu ta zupełnie dla niego nowa moralność. On sybaryta w każdym calu—nie znosił nawet widoku ludzkich przywar--pogardzał niemi.

— Łatwo Jacentemu mówić tak, gdy ma już za sobą z górą pół wieku, a małżeńskiego pożycia liczy sporo lat!

Jednak musiało wam być widocznie dobrze obojgu, jeżeliście taki szmat czasu ze sobą przeżyli.

— Różnie bywało paniczu; przecie ludzie się pobierają nie na to tylko, aby szczęścia szukać, ale też aby obowiązek spełnić — wobec Boga i społeczności. — Służba Boża!—małżeństwo! paniczu.—Coś się staremu po głowie troi, żem to gdzieś słyszał, czy może czytał?

Jeżeli się człowiek w ten sposób do małżeństwa usposobi—to i żyje w niem inaczej!

—No, z pewnością, ale jeżeli ma warunki odpowiednie—twierdził Mirski uparcie.

—Warunki.. warunki... mruczał Jacenty niechętnie. Wy młodzi zawsze macie tłumaczenie i szukacie jakowychś specjalnych warunków... do tego, żeby poczciwie obowiązek spełnić...—z odcieniem wyrzutu ciągnął stary. — Warunki sami sobie tworzymy, nie na darmo jest stare przysłowie: „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”!!!

Zapadło milczenie; każdy przetrawiał w myśli wypowiedziane zasady, reagując na nie inaczej.

— Ta trzeźwa praktyczna filozofja Jacentego — drażni mnie wprost i wcale nie trafia do przekonania, jest zasadniczo różna od tego, do czego dąży świat dzisiejszy... a jednak... myślał Mirski.

Był on dzieckiem swego wieku, gdzie wyrafinowana kultura kładła na dusze ludzkie piętno pewnego przesytu i niezadowolenia ze świata i ludzi. Gonitwa za wrażeniami i pewność siebie, którą daje wyższość intelektu ponad przeciętny szablon — tworzyły w tym człowieku typ nieprzeciętny — mocno złożony, ale subtelny.

— Jacentego sposób brania życia ze strony prostolinijnej nie może mnie przekonać całkowicie, gdyż odstaje on zanadto od mego swiatopoglądu — rozumował Mirski. A jednak mimowoli poddaję się urokowi tej kryształowej duszy, która w odmęcie sprzeczności i powikłań świata, — potrafiła z taką przedziwną prostotą rozwiązać jedno z najważniejszych zagadnień: — Małżeństwo—służba Boża! — to przecież wygląda, jakby promień nagle wpuszczony do ciemnicy.

On to rozumiał doskonale, bo na dnie jego skomplikowanej natury drzemała spora doza idealnych poglądów — tylko nieco przyprószonych kurzem współczesnego pesymizmu.

— W każdym razie jakkolwiek różna od mojej — zaciekawia mnie ta ideologja starego sługi, który mimo tyloletnie obcowanie ze światem o wyższej kulturze, — zachował całą świe-

żość i naiwność ludzi, żyjących bliżej natury, a zdala od zgiełku i wiru wielkomiejskiego.

— I dziwne, — ciągnął wątek, narzucających się z siłą refleksyj, że dwa nasze duchowe organizmy, — tak kontrastowe — rozumieją się jednak i szanują swe przekonania, choć tak różne... Mirski nawet skrycie podziwiał Jacentego. Patrząc tyle lat na jego zrównoważone życie specjalnie zajmowało go pytanie — z jakiego źródła płynęła ta równowaga. Chciał dotrzeć do tych kwestyj, one w danej chwili były dla niego najbardziej interesujące, a zwłaszcza aktualne.

— Przypuśćmy więc, że ja przyjmuję twój pogląd na małżeństwo, że uważam je z całem przekonaniem za — służbę Bożą, jak mimowoli powtórzyłeś za Sienkiewiczem. Ale czyż dla harmonijnego współżycia — raczej współpracy w tej instytucji nie potrzeba, aby dwoje ludzi, co się dla tej wspólnej przyszłości połączyło,—było dobrane? łączyły ich jednakie upodobania i dążenia?

Rzeczową argumentacją Mirski chciał przekonać i nakłonić Jacentego do swoich poglądów.

— A czy panicz próbował poznać jasną panienkę, upewnić się co do jej upodobań? — z surowością sędziego badał stary.

Wydać sąd, — nie znając — to najłatwiej! — Nazwał panicz w rozmowie z doktorem panienkę — „laleczką z żurnala“, a czy panicz zaciekawił się kiedy co w jej wnętrzu się znajduje? Wszak tam coś być musiało — jakoweś dobro chyba być musiało, ino że niewidoczne! — Dusza— to, paniczu, jest w każdym człowieku, tylko w każdym inaksza. — Jeden — co ma wewnątrz,

to i na zewnątrz, a drugiemu to nieraz i dopomóc trzeba, żeby sie ta dusza rozbudziła i ujawniła, bo sama niemocna tego uczynić. — Jasna panienka, — wiadomo jak sierota, nikt tam sie o nią bardzo nie troszczył, żeby — co dobre wykształcić, a co złe — wyplenić, a panicz także do głębi nie zajrzał...

Abo to panicz kiej pomyślał, że żona, to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel, że to jego druga połowa, przeznaczona od Boga, by dzieliła jego troski i radości?

Przepraszam panicza, że stary nieuczony sługa ośmiela się tak mówić, ale przecie chyba mi to wolno, bom nietylko sługą ci był, Stefanku, — rozrzewnił się stary, ale ojcem najczulszym, co cię na własnych rękach wypiastował,— więc mi się jakoweś prawo należy do mówienia, co na sercu leży, tembardziej, że sam o to pytasz.

— Naturalnie, stary, nietylko nie mam do ciebie żalu, ale nawet jestem ci wdzięczny za te zdrowe prawdy z twego poczciwego i zacnego serca wysnute... Może... może coś z tego i do mnie przylgnie i uzdrowi chorą duszę...

Powiedział to z akcentem tak niekłamanego bólu, że Jacentemu aż się żal zrobiło.

Jego serce ciągłe staczało walki, dzieląc się, między dwa uczucia. Stefana kochał jak własne dziecko, ale i Rena wkradła mu się w to serce; bolał nad złamanem życiem obojga, a zwłaszcza rozmyślał ciągle i niepokoił się smutną dolą młodej kobiety.

Ale znów obudził się w nim wzgląd praktyczny i nieustanna troska o zdrowie panicza.

— Dość tego bajania na dzisiaj, chłopcze, już i chłód nocny wieje z parku... niebo ubrylantowane gwiazdami skrzy się... i lśni i mieni... z nad jeziora żabi koncert dochodzi... Pora myśleć o spoczynku.

Mirski pogrążony w rozważaniach nic się nie odezwał. Umysł jego ciągle pracował nad rozwiązaniem trudnych zagadnień.

Jakby nie słysząc uwagi starego sługi zwrócił się do niego prosząco:

— Nie zamykaj okien. — Cudne, upajające wonie płyną z ogrodu, chciałoby się tylko marzyć... i kochać — dodał cichutko, wstydząc się tego sentymentalizmu, ale czujne ucho Jacentego widocznie coś dosłyszało, bo uśmiechnął się pod wąsem.

— Mówi panicz o kochaniu i wzdycha jakby to już było dla panicza niedostępne, a przecież szczęście jest jeszcze do zdobycia...

Pierwszy raz tę myśl odważył się podsunąć.

— Czekaj przyjacielu — nie zabieraj się jeszcze do odejścia... Tak jest cudownie! — Zostań i jeszcze mi na jedno odpowiedz.

Powiedz mi, czy twoja Jagna była wzorowa, taka o jakiej marzyłeś?—pytał znów Stefan nieśmiało, bo wstydził się, że podobne zagadnienia mogły zajmować mu głowę.

—Ho, ho!—Widzę, że panicz nie na żarty zajmuje się sprawą małżeńską... drwił Jacenty dobrotliwie i oczy mu się śmiały z wewnętrznego roz-

radowania, że Stefan przerwał wreszcie długo trwające milczenie w tej sprawie.

— Nie kpij stary — tłumaczył się z zakłopotaniem Stefan. Człowiek do śmierci czegoś się musi uczyć....

— Jeżeli panicza te sprawy zajmują, to już opowiem wszystko dokumentnie od początku naszego pożycia...

Wygodnie rozsiadł się w fotelu, nałożył fajeczkę i, pykając z niej z zadowoleniem smakosza, zaczął swe opowiadanie.

Mirski, oparty o poduszki, leżał bez ruchu, tylko wzrok jego, pełen zastygłej melancholji, błądził wśród srebrzystych gwiazd, może szukając szlaku tej jednej swojej... zbłąkanej gwiazdy przewodniej.

A Jacenty, zapatrzony w siebie, monotonnie snuł opowieść....

— Upodobałem se Jagnę, bo dziewczyna była gładka, jedynaczka u ojca i skromna w obejściu.

Ale po ślubie, to wiele rzeczy wydało mi się inaczej... Moja Jagusia, jako że z rodu niewieściego, więc do wszystkiego była ciekawa . tylko najmniej — do roboty...

Wracam do domu spracowany, a tu mieszkanie nie sprzątnięte, jadło na południe nie uszykowane. Zjadłem cobądź i zmilczałem, alem wewnątrz mocno był rozżalony.

Drugi raz znów przychodzę do domu, późnym wieczorem, a tu u mnie muzyka, zabawa, Jagna zaprosiła swe rówieśnice, paru chłopaków i urządzili se tańce.

Obrazy Boskiej w tem nijakiej nie było, ale, że bez mojej wiadomości — to mnie zgniewało....

Powiedziałem to Jagnie ostro, a ona zaraz w bek... i zawodzi, jak pokrzywdzone dziecko.

Raz... drugi uważam, że Jagny niema, gdy ja przychodzę, — to u stryjka, to u chrzestnej...

Niechby tam — młoda — to ciągnie do towarzystwa, w domu markotno, bo ja rzadko, ale najgorzej to mnie srożyło, że nigdy nie było nic na czas, ani uprzątnięcia, ani jadła. Przy stole to siedzieliśmy jako dwoje obcych: kobieta chmurna... nadąsana, a i ja niewesoły!

Po prawdzie, to nieraz i przychodziło mi na myśl, że toć dziecko jeszcze — trzebaby niejednej rzeczy nauczyć — bo chowane bez matki,— ale wyleciały te mądre myśli z głowy prędko, bo inne były ważniejsze...

Tak życie płynęło, nie przynosząc zmian, a tylko przedział robił się coraz większy — jakowaś obcość między nas wstępowała...

— Ach ta obcość! — Ileż razy ją odczuwałem, przebywając sam na sam z Reną — zestawiał spostrzeżenia Mirski.

— Zaciąłem się, zamknąłem wewnątrz i milczałem, ale serce krwawiło się z żałości — jakoże inaczej se wyobrażałem małżeńskie pożycie — snuł Jacenty dalej.

Razu pewnego wracam do domu z miasteczka koło północy — zmarnowany, głodny, bom od rana nic do gęby nie włożył. Wichrzysko takie ci było, że choć to marzec, to dudniło i przewiewało, jak w mróz. Zajechawszy, konia

postawiłem w stajni i, nie czekający wybieram się do izby, a tu ciemno! — choć kobieta wiedziała, że wrócę na noc. — Myślałem, że Jagny niema, ale gdzietam — siedziała se cicho, jakowąś książkę czytając przy malutkiej lampce oliwnej. W kominie nijakiego jadła uszykowanego... w chałupie jakoś zimno... obco — aż złość we mnie wstąpiła okrutna.

....Wiadomo — chłop — jak głodny — to i do bicia skory; niewiele myślący odpiąłem pasa i przejechałem nim Jagnie po plecach — a kobieta tak się przelękła, że od razu mi przez ręce na ziemię upadła... Chwyciłem się za głowę i jak szalony wybiegłem z izby.

Wiatr się uspokoił, chmury rozeszły i dziwna cichość była w naturze; z góry patrzyło na mnie niebo, usiane gwiazdami. Czułem, że serce waliło jak młotem.. w skroniach huczało... Usiadłem se na ławeczce pod oknami chaty by zebrać myśli.

Lekki wietrzyk chłodził mi czoło, ale z góry spoglądał groźnie księżyc — jako ten sędzia surowy. Pomału przychodziłem do siebie, ale w sercu wezbrała taka żałość, że łzy całą twarz zalały. Buntowała się, ale i korzyła ze wstydu cała ludzka duma, żem tak sie zapomniał i odważył raz pierwszy w życiu rękę podnieść — i to na kogo? — na słabą niewiastę — sierotę bez matki, com się miał nią opiekować i strzec.

Nie wstydziłem się łez, bo widziałem w nich karę za prędkość i zwierzęcość człowieczych instynktów.

I zaczął się we mnie sąd na samego siebie odbywać..

Czym miał prawo i rację krzywdzić bliźniego dlatego, że słabszy i obronić się nie może?..

Czy ta kobieta, którą se wybrałem na towarzyszkę w złej, czy dobrej doli — zasłużyła na takie sponiewieranie?—Czy jej wina była wielka?

Czy zamiast w rozdrażnieniu karać — nie należało nauczyć, po dobroci zwrócić uwagę—do rozumu i serca przemówić....

Nie wiadomo, do czegoby mnie ten obrachunek z sobą doprowadził, bom był okrutnie na siebie zażarty — gdyby.... Tu zatrzymał się Jacenty, bo go szloch wewnętrzny w gardle zadławił...

Mirski słuchał z zapartym oddechem... Zdawało mu się chwilami, że własne dzieje przeżywa.

— Gdyby? — powtórzył jak echo... Jacenty już opanował wzruszenie i ciągnął dalej:

— Gdyby nie to, co zaszło w tej minucie...

Oto poczułem nagle, że do kolan tuli mi się jakoweś żywe ciało, ciepłe, drgające od łkań...

Usta przylgnęły do moich splecionych dłoni i obmyły je gorące łzy...

Zerwałem się jak rażony piorunem...

Przede mną stała Jagusia ze złotą kosą, napół rozplecioną i twarzyczką zapłakaną, w której świeciły tylko oczy — jak dwa bławatki w rosie skąpane. Schwyciłem ją w ramiona i poniosłem do chaty.

— Przebacz mi, Jacusiu.. bom ja winna — złą ci byłam żonką, nijakiej ze mnie nie miałeś pociechy... ale jeśli mi przebaczysz... to będziesz

widział, że insze teraz rozpocznie się u nas życie!..—mówiła głosem, przerywanym od łkań, tuląc się do mnie, jak rozżalone dziecko do matki.

Nie mogłem przemówić, coś mnie za gardło chwyciło, tylko objąłem Jagnę mocno, gładząc jej roztarganą złotą główkę i całując spłakane oczęta. — Dopierom po długiej chwili mógł jako tako mówić.

— Nie ty mnie masz prosić o przebaczenie... dziecino — ale ja ciebie, bom ciężko cię skrzywdził w zapamiętaniu — tłumaczyłem kobiecie z pokorą.

— Nie, nie, Jacusiu, broniła energicznie—nie mąć mi sumienia, kiej wiem, żem nie była dobra i nie o takiej żonce dla siebie myślałeś.

Tyś na książkach uczony i cięgiem we dworze z panami przebywasz, to i czegoś więcej potrzebujesz... Głupia byłam, żem se tego wszystkiego wcześniej nie wykalkulowała...

A teraz to już najgorzej było, bo kiejś mnie uderzył, to taka mi sie boleść w sercu rozparła, że — ani rusz — ino myślę: — Trza go opuścić i iść se we świat!..—

Już zaczęłam szmaty składać i gotować sie do odejścia, aż tu nagle, gdy przerzucam z prędkości w kuferku — wypada mój wianuszek mirtowy ode ślubu i welonik, na pamiątke schowany.

Jakby mi sie raptem przed ślepemi oczami inszy świat ukazoł... Zaraz na pamięci stanęły: ślub, święta przysięga, przemówienie proboszcza i to, com se postanowiła, wracając z kościoła... „A iż cię nie opuszczę aż do śmierci”... gadały słowa przysięgi...

To taka twoja miłość i wierność?! — pomyślałam se w duchu.

Sakrament — to święta rzecz! — bo to z Bogiem sprawa!

Przelękłam sie w duszy onej Bożej kary, co spotyka tych — co śluby łamią i taki mnie ból za serce chwycił, żem już ścierpieć nie mogła i przybiegłam ze wstydem—że taka, jakem jest—tom niegodna ciebie....—mówiła i spłakaną twarzyczkę kryła na mych piersiach...

Czułem jej serce, bijące przy mojem — jak ptaszyny spłoszonej...

— Słuchaj — mówiła. Usiadła blisko mnie i, odgarnąwszy z czoła złotą chmurę z włosów, zaczęła opowiadać:

Wiesz o tem, żem wcześnie straciła matusię, ale zato tatuś był mi ojcem i matką — niczego mi nie żałował, choć ze mnie wcale nie miał dobrej córki... Byłam leniwa i nieporządna, więc często były o to swary w domu, bo tatuś, choć kochał — to nie pobłażał...

Raz mocno się zniecierpliwił mojem niedbalstwem w gospodarstwie — aż mi przyłożył bez plecy — pierwszy raz!

Narobiłam piekła na cały dom, ale ojca to nie wzruszyło, tylko podszedł do mnie, z groźną jak nigdy miną — i powiedział: Nie czekaj na żadne pocieszenie, ino ci rozkazuję, abyś natychmiast przestała sie mazać, a pocałowała rękę, co cie uderzyła, bo ukarał cie rodzoniuteńki ociec z miłości—miłuje cie, to i chce, abyś była lepsza!

Tatuś był bardzo uczony na książkach, bo

całe 4 oddziały skończył, i wszyscy sąsiedzi z całej wsi do niego się na naradę schodzili....

Kiej tak se rozważałam, czy mam cie opuścić, czy zostać — to mi się akuratnie ta awantura przypomniała i tatuś nieboszczyk stanął, jak żywy — ino mi się tak przedstawiło, żeś to jakoby nie ty, Jacusiu, mnie pokarał — tylko tatuś. A wtedy se pomyślałam, że przecie tyś mój mąż — to trochę jakby tatuś, to i słuchać cie należy i szanować, bo też masz prawo i obowiązek wychowywać...

— No i uwierzy panicz, że od tej chwili nie było bardziej wzorowego małżeństwa nad nasze. Wszystko obmyślaliśmy i urządzali wspólnie...

Wiadomo paniczowi, że starszy pan często wyjeżdżał i to na dłużej, a wtedy cała gospodarka zostawała na mojej głowie i nieraz namozolił sie człowiek porządnie, by i panu dziedzicowi zagranicą nie brakowało i tu, żeby było z czego wzorowo gospodarować.

A kto mi w tych wszelakiego rodzaju kłopotach i troskach doradzał i pomagał?

A toć nie kto inszy — tylko moja Jagna!

Zakasała kobiecina rękawy i robota jej się w rękach aż paliła... i dała rady na wszystko.

Nie dał nam Pan Jezus ze swej łaski na pociechę dzieci, choć prosiliśmy o to gorąco i Jagna w tej intencji do Częstochowy z pielgrzymką chodziła i suszyła przez długie lata każdy piątek o chlebie i wodzie, — to żeśmy się poświęcili starszemu panu aż do śmierci służyć i jego dobra, jakby swego własnego pilnować.

Jagna zaprowadziła kobiece gospodarstwo i zarabiała tak dobrze, że nieraz to i mnie mogła wspomóc — taki miała kalkulacyjny rozum!

Codzien ze dwie godziny tożem ją uczył wszystkiego, czegom się przy starszym paniczu nauczył, gdy się do szkół sposobił — a potem to już i mojej uczoności zabrakło, a kobita codzień mądrzej gadała, a pracować to coraz lepiej się nauczyła.

A wie panicz, kto nam w tem dopomagał? — Ano ten stary niezawodny przyjaciel młodych, co to każdego i wszystkich nauczy, a nazywa się — miłość! Miłość, paniczu; ale nie taka — dzisiejsza, modna, co to jednego dnia się zapali, a drugiego już gaśnie, — ale taka mocna — co z wiary się poczyna, a na zaufaniu opiera i w słodkiem opętaniu trzyma człowieka.... aż do mogilnych cmentarzy! Taka, paniczu, to cuda czyni z ludzkiem sercem i góry przenosi!...

Niebo iskrzyło się, podobne łące, białemi kwiatami porosłej; zapachem kwiatów przesycone powietrze szło wonne odurzającą falą przez otwarte okna; niezamącona cisza letniej nocy — cisza ukojna — miękko otulała niebo i ziemię w lekkie czarne mgły.

Mirski leżał z oczami zamkniętemi tak, że zdawał się spać, czy może tylko drzemać. Nieruchomą postawą nawet Jacentego w błąd wprowadził....

Stary sługa podniósł się cichutko i przez parę minut pilnie nadsłuchiwał. Upewniony, że Mirski śpi — nakreślił nad nim w powietrzu znak

krzyża świętego, według zwyczaju, jak wówczas, gdy Stefan był jeszcze dzieckiem, i wyszedł, drzwi zamykając bez szelestu.

W tej samej chwili Mirski otworzył oczy i smutnym wzrokiem powiódł wkoło siebie.

Czuł się porządnie zmęczony; jeden dzień zaważył na jego życiu, jakby dziesięć innych...—

Do duszy przybyło mu tyle wrażeń! — Po prostu doznał wstrząsu moralnego.

Esteta w każdym calu — wielbiciel piękna i wykwintu w życiu — szukał urzeczywistnienia tego ideału—poza dziedziną z ducha, jedynie w atmosferze zewnętrznego zmysłowego piękna—i oto teraz musiał stwierdzić bankructwo wyznawanych dotąd zasad, bo kultura materjalistyczna, której dotąd hołdował — nie dała mu ani ciepła, ani szczęścia...

Mając o sobie wysokie pojęcie... musiał jednak stwierdzić, że się przerachował.... A co najdziwniejsze, że tej zmiany więcej nawet — tego przewrotu dotychczasowego światopoglądu — dokonały nie badania naukowe, czy społeczne, — tylko etyka moralna dwuch natur, nieskomplikowanych, pełnych niewinności.

Jacenty — pół przyjaciel, pół sługa, któremu wiedza książkowa nie spaczyła zdrowych pojęć o pełnieniu obowiązków względem Boga i siebie, który swe „credo“ życiowe streszczał w dwuch niewymyślnych słowach: „służba Boża“,—to przedziwny w swojej prostocie — iście Sofoklesowy typ idealnego człowieka.... musiał przyznać Mirski.

— Albo ta wiośniana, słoneczna, z roztarganą złotą kosą Jagna, co zamiast oburzonej godności,

okazanej mężowi za brutalny czyn... przeprasza go w pokorze serca i całuje rękę, która ją uderzyła.... rozpalał się wspomnieniami Mirski...

Ta Jagna, która w chwili, gdy chce opuścić męża, znajduje swój wianeczek mirtowy i ślubny welon.... to „memento” przysięgi małżeńskiej...

— Sakrament — to święta rzecz, to z Bogiem sprawa — mówi i wraca w progi mężowskie, korna i zawstydzona, za samą tylko przelotną myśl odstępstwa od przysięgi....

Wreszcie ten doktór filozof — mistyk, nieskazitelnie prawa natura, który nie zna kompromisów z sumieniem i wypowiada szereg praw, uderzających jasną i głęboką logiką...

Doprawdy ci ludzie dali mi wyjątkową naukę; na przykładach wykazali program etyki życiowej, z wiary poczętej i na wierze opartej...

W stosunku do nich ja — jak nowoczesny Płoszowski — przyznaję, że także przeanalizowałem swój dogmat życiowy i dzisiaj obudzony z długiego snu — muszę prawdzie stanąć oko w oko i powiedzieć z resztką uczciwości, co nie chce siebie okłamywać, że żyłem bez dogmatu, — bo dogmat w siebie samego wcieliłem... Sam dla siebie byłem dotąd alfą i omegą!...

Dosyć lat już przeżyłem, a jednak doświadczenie mało mnie nauczyło... widocznie zanadto zasklepiłem się w sobie. A dziwnym zbiegiem okoliczności mnie — człowieka nowego — co doprowadziło jednak teraz do równowagi moralnej? Oto troje ludzi — ich zasady i sposób zastosowania ich w codziennem życiu.

Pierwszy, co lata strawił na badaniu zjawisk świata i mądrości, dostępnych wyższym umysłom, i drugich dwoje...

Pierwszy — wyrafinowany i wykończony twór kultury — tamci — dzieci ludu! Tych zrodziła i wychowała czarna ziemia, a wykształciła księga natury!

W stosunku do siebie stoją na dwóch krańcach, a jednak w pewnych poglądach idą obok siebie.

Łączy ich ta sama praktyczna filozofja życia -- religja! To nić, co wiąże ich dusze i upodabnia do siebie.

Jacenty, Jagna i doktór — to z tej samej bryły spiżu odlane postacie....

* * *

Dwór Zalesiński, na lekkiem wzniesieniu zbudowany, otoczony wieńcem drzew wyglądał, w nieprzeniknionych mrokach nocy, jak kolos kamienny w ciszę zaklęty... Tylko jedno okno gabinetu Mirskiego gorzało, podobne krwawej plamie — jakby obnażone, krwią ociekłe serce.,.

A wewnątrz żywe serce człowiecze łamało się tam w męce...

Mirski pełną przerażenia źrenicą patrzył w otwartą u stóp swoich mogiłę, w którą sam złożył własne szczęście .. Miał wrażenie, że jest grabarzem, który własnemi rękami kopie dół, by w nim najdroższe szczątki ukryć...

Wprawdzie podłoże jego natury było może egoistyczne — ale Mirski miał charakter szlachetny i prawy; była w nim też męska odwaga,

z jaką lubił spoglądać niebezpieczeństwu w oczy i z nieprzyjacielem spotykać się w otwartym boju.

— Niestety w tym wypadku bój przedstawia mi się — rozważał Mirski — wyjątkowo trudny do wygrania, bo najbardziej zaciętym wrogiem jest tutaj moje własne „ja“ — wróg wewnętrzny i nieprzejednany! —

Lęk go ogarniał, czy sprosta zadaniu!..

Świadomość winy, ruina poglądów indywidualnych, w których dopatrywał się pewnego idealizmu, a była tam raczej tylko bardzo niepraktyczna zasada — życia bez wiary, całe wreszcie to bankructwo duchowe człowieka bez dogmatu — to wszystko oszołomiło go tylko w pierwszej chwili.—Wrażenie było wstrząsające — coś w rodzaju jasnowidzenia, po którem musiała nastąpić reakcja...

— Teraz dźwignąć się, wyrwać z biernej apatji! — wołała w nim zdrowa męska natura.— Przyjrzeć się ruinom, czy się nie da czegoś z nich jeszcze uratować...

I już zrywał się, by biec... coś robić, jakimś czynem ujawnić rozbudzone poczucie... Jednocześnie trzymała go w karbach i popędowi młodości nie dała się zagłuszyć świadomość, że należało pierwej zrobić z sobą ścisły obrachunek i obliczyć straty... Gotował się do walki — jak wódz po pierwszej przegranej...

— Zanim nawiążę nić zerwanej przędzy... muszę przedewszystkiem zajrzeć w przeszłość... rozmyślał Mirski, starając się opanować. Pewnie znajdę tam niejedną wskazówkę, a może jakąś

słabą stronę odkryję i to mi pomoże do odbudowy spustoszonego domowego ogniska...

Ale, czy się jeszcze da nawiązać ta nić szczęścia, czy z popiołów wykrzesze się iskra, a z ruin stworzy nowe życie?

Usiadł na łóżku, opierając skołataną głowę o zimną poręcz, która chłodziła mu rozpalone czoło. Nagle, idąc za popędem silnego uczucia, podniósł się i, otulony w fałdy miękkiego szlafroka, usiadł przy biurku.

Na pobladłej twarzy znać było chwilę wahania, walkę w rysach zmęczonych, — wreszcie stanowcze postanowienie. Otworzył szufladę i wydobył z głębi, ze zwojów białej bibułki niewielkich rozmiarów portrecik pastelowy. Gdy zapalał świecznik, ręka mu nieco drżała, obraz tak oparł, aby całe światło na niego padało.

Ze złotych ram uśmiechała się do niego pełna wiosennego uroku twarzyczka Reny w balowej sukience...

Od czasu tragicznego wyjazdu Reny — spojrzał na nią poraz pierwszy... Była tak ubraną, jak ją poznał na balu... Z portretu patrzyły na niego duże piwne oczy, pełne iskier, ale o wyrazie sarnim... dziecka

Młody człowiek wzdrygnął się...

— Gdy zażądałem kategorycznie wyjazdu Reny natychmiastowego — takie było jej ostatnie na mnie spojrzenie... oczy skrzywdzonego dziecka!

I czyż tak nie było istotnie? — Wszak dopiero w dzień ślubu Rena kończyła lat osiemnaście!

Byłem dla niej bez miłosierdzia... wypędzając w noc chmurną i wietrzną... Straszne!

Nie zapomnę nigdy wyrazu tych oczu—jeszcze dziecinnych, a już kobiecych, przepaściście smutnych... Wstrząsnął nim dreszcz.

Czy wina była równą karze?

— Jeśli chodzi o ścisłość, to właściwie żadnej winy nie było; raczej nieznajomość charakterów, upodobań.... — rozumował Mirski.

Czy ja — jako mąż — wiekiem i doświadczeniem znacznie starszy — spróbowałem choć raz — jak słusznie zauważył doktór i Jacenty, — zajrzeć do głębin duszy tego dziewczęcia? —

Gorszyło mnie i raniło, że nie widziałem Reny nigdy modlącej się, a czy dawałem jej przykład pobożności, czy miałem na sumieniu bodaj jeden wspólnie z nią pacierz odmówiony?

A praktyki religijne wogóle? — Parę razy w niedzielę Rena nawet przypominała o obowiązku nabożeństwa... ale odburknąłem, że nie zabraniam jechać samej...

Zamknęła się w pokoju i słyszałem, że płacze — a więc cierpiała!

A wtedy.., gdym walczył ze śmiercią umiała nawet krzyżem leżeć i błagać dla mnie zmiłowania Bożego...

Słodka dziecina!... — wyrwało się z ust Mirskiego.

Pierwszy to raz tak sumiennie i skrupulatnie przerzucał karty niewesołej powieści swego życia — tej przeszłości pozbawionej słońca — z samych mroków i chmur utkanej.

— Czy w takiej atmosferze pączek mógł się w kwiat rozwinąć? — pytał siebie surowo.— To była cieplarniana roślinka, chowana w dusznem powietrzu salonów, sztucznych świateł, w woni perfum i dymie kadzideł pochlebnych słówek, w odurzających tonach bezwstydnych modnych tańców!... Skarłowaciała dusza tego kwiatu!

I z tego, dyszącego zmysłowością świata, przeniesiona nagle do obszernego, ale pustego domu, nieopromienionego ciepłem miłości — w przestrzeń pełną zdrowych poszumów lasu i wsi polskiej — musiała się czuć obcą, bo tego dotąd nie znała! W nowych dla siebie warunkach nie umiała jeszcze pełną piersią oddychać..., westchnął na wspomnienie tych chwil, w których jego bierna obojętność — teraz w zwierciadle przeszłości wydała mu się wprost karygodną.

Jakże przydałaby się wówczas ręka subtelna i kochająca, którąby to młode nieoswojone pisklę powoli i łagodnie przyzwyczajała do nowego otoczenia, którąby uczyła i pomagała dziecku — laleczce — rozwinąć się w człowieka!

Należało temu dziecku otwierać oczy, by zamiast fałszywych blasków — rozkochały się w słońcu prawdziwego piękna; zamiast chorobliwej atmosfery salonów—nauczyła się wchłaniać szerokim oddechem zdrowe powiewy wsi z całym jej czarem i urokami...

Niestety! — tego jej nie wskazano!

W dziecku — laleczce dusza spała!... jak w bajce, a królewicz patrzył... Podziwiał śliczne rysy w porcelanową laleczkę zaklętej królewny

... ale nie pochylił się ... nie tchnął w nią iskry życia... Laleczka dalej spała...

Aż nagle wstrząsnął nią i rozbudził... stary mistrz świata — ból!

Ożyła!...

W laleczce zbudziła się dusza!... Myśl Mirskiego snuła cudną baśń... ale jęknął — taki ból targnął jego sercem.

— Czemuż nie ja byłem tym mistrzem i nie ja zdziałałem ten cud?!—Zapóźny żal!—Odepchniętego serca już mi nie wróci nikt! Załamał dłonie i zmęczona głowa opadła mu na rozpacznie splecione ręce...

— — — — — — — — — — — —

Świece w kandelabrach dopalały się; jeszcze gdzieniegdzie chwiał się blady płomyczek.. wreszcie pogasły wszystkie.

— — — — — — — — — — — —

Szary świt lękliwie a ciekawie zajrzał do wnętrza gabinetu. Prześlizgnął się chyłkiem po lśniącej posadzce, rzucił okiem do kątów i dalejże brać się za bary z czarnym mrokiem.

Mocowali się dobrą chwilę, aż mrok, zawstydzony porażką, począł się chować, kryć, znikać aż przepadł, utonął gdzieś w niknących cieniach...

Natenczas zwycięski triumfujący brzask zuchwale rozpanoszył się w gabinecie; szeroko rozpostarł skrzydła szarej opończy i... zastygł... przycichł w ciszy budzącego się dnia.

Nagle porwał się... zrzucił z ramion welony mgieł... zwinął je. Zrobiło się jasno.

Tymczasem wietrzyk swawolnik rozbudził wierzchołki drzew w parku, aż pochyliły się w kornym pokłonie Stwórcy, szepcząc zcicha poranne pacierze.

Poruszył wodę w stawie, dmuchnął w gniazdko skowronka, Bożego śpiewaka, który rozprostował skrzydełka i hymn powitalny zanucił najprzód Panu nad Pany, później zbudzonej kochance — ziemi i pomknął dalej, pieszczotliwie musnąwszy w przelocie pochyloną głowę Mirskiego.

A szary brzask zadowolony ze zwycięskiej walki z bratem mrokiem, przebrał się tymczasem w różane szatki i pomknął pzez okno na służbę do królewny jutrzenki, która, przeglądając się w lustrzanej tafli jeziora, stroiła się w złociste suknie i przypinała do główki koronę z promieni.

Różany brzask.. podkradł się figlarnie i porwał jutrzence jeden z tych malutkich złotych promyków.

Tuląc go do serca, stanął na ramie okna gabinetu, uśmiechnął się i rzucił nim wprost w oczy Mirskiemu...

Młody człowiek drgnął... otworzył oczy i przetarł je dłonią... Czyżby śnił...

Rozmowa z Jacentym.. nocne rozważania, chwilowa drzemka pod wpływem dręczących wspomnień i wyrzutów... wszystko to razem mąciło mu się w głowie... Dopiero stojący portrecik Reny i jej duże piwne oczy, z wyrazem pytania utkwione w jego twarzy, wróciły mu poczucie rzeczywistości.

Zegar pokazywał godzinę piątą, a zatem przespał trzy godziny w pozycji tak niewygodnej.

Czuł się jednak dobrze i rzeźko; noc przemyślana pozostawiła w nim ślady jakby duchowego odrodzenia, co odzwierciadliło się nawet w rysach, dodając im wyrazu zdecydowanej i świadomej celu — woli.

Z łazienki wyszedł tak odświeżony i wypogodzony, jakby noc spędził w najlepszym śnie.

Godzina szósta wybiła i ruch we dworze rozpoczął się w całej pełni, gdy Mirski zadzwonił. W drzwiach stanął Jacenty.

Na twarzy jego odbiło się odrazu zdziwienie, sądził, że Mirski spoczywa w najlepsze o tak wczesnej porze, ale ponad to spostrzeżenie — przedewszystkiem zastanowił Jacentego specjalny wyraz twarzy wychowanka. Młody człowiek miał dziwną powagę, rozlaną w rysach; jakieś namaszczenie biło z jasnego czoła, szafirowe oczy patrzyły prosto, a na ustach gościł nawet uśmiech łagodny i dobrotliwy.

Stary sługa zapatrzył się w tę twarz kochaną i nie zauważył, że stoi bezczynnie już dobrą chwilę i, że stopniowo oczy Mirskiego poczynają wilgotnieć i patrzą na niego z całem rozrzewnieniem. Wreszcie Stefan zbliżył się parę kroków do staruszka i położył mu obie ręce na ramionach, ruchem pełnym dziecinnego zaufania.

— Stary wierny druhu, a właściwie – Ojcze! boś mi był ojcem... wymówił Mirski z niebywałą u niego serdecznością. Ileż ci mam do zawdzięczenia! Prosta niewymyślna historja twego życia stała się dla mnie tym zdrojem, w którym człowiek odradza się duchowo... to jakby mój

drugi chrzest! i objął siwą głowę Jacentego synowskim uściskiem.

Staruszek rozrzewnił się i pochylił do kolan dziedzicowych, ale Mirski go podniósł energicznie i z całem uszanowaniem ucałował jego spracowane ręce.

— Paniczyku złoty — Stefanku — synku najmilszy — wołał stary, broniąc się od tej pieszczoty, która go zawstydzała....

Przecieżem cię na tych rękach wypiastował, to i nie dziwno, że cię jak własną duszę miłuję i oczy stare się cieszą, że na twojem obliczu radość jaśnieje, żeś przejrzał nareszcie...

Bóg miłosierny, Bóg miłosierny! — powtarzał, ocierając łzy z załzawionych oczu.

— Ja tam przecież nie uczony, panicz wie, że tyle na książkach umiem, com się lekcyjom starszego pana w młodości przysłuchiwał, com z nim rozmawiał, a mądry to był człowiek i bojący się Boga! i potem z tych książków, co mi pan je ponadawał i przykazywał surowo, gdy wyjeżdżał do stolicy na wyższą naukę, abym je czytał i przeglądał.

To się tam cośniecoś z tego w głowie ostało, ale nieraz żaliłem sie przed starszym panem, żem mało z tego skorzystał i, gdy mnie jakoweś wzruszenie za gardło chwyci, jak nie przymierzając i teraz, to i języka uczonego człowiek zapomina i mówi tak, jak go Matusia w maleńkości nauczyła. Ale starszy pan niczem się nie gorszył, ino mnie zawsze wtedy uspokajał:

— Nie martw się, Jacusiu, mówił; jedna matka nas wykarmiła, toś mi jak brat, a mowę twą

wiejską i chłopski rozum wyżej cenię, niż nauki filozofów, bo ta mowa i ten rozum wykazują zdrową duszę, czyste serce, umiejące Boga i prawdę miłować...

Gdym patrzył, mój Stefanku — ciągnął stary, na to twoje modne małżeństwo, co to jedno w prawo, a drugie w lewo — to mi się serce krajało z boleści i myślałem se często o nieboszczce matce twojej; ileby łez nad tem wylała, ona, co to umiała wszystko w małżeństwie pogodzić: żoną być i przyjacielem starszemu panu i matką, jak rzadko!

Twarz Stefana znów się zasępiła; każda wzmianka o małżeństwie była jakby cierniem, który ranił mu serce, zwłaszcza związana ze wspomnieniem matki, którą choć znał mało, ale w sercu piastował jak świętość, relikwję — jako ideał kobiety!

— Tak, Jacusiu — podjął Stefan przerwaną myśl, wczorajszy dzień był stanowczo przełomowy w mojem życiu.

Rano na przechadzce stanęło mi w pamięci, jak żywe wspomnienie ostatniego dnia pobytu Reny w domu i jej wstrząsającego tragizmem wyjazdu w zawierusze wieczornej... dodał ciszej, odsłaniając z pewnem zakłopotaniem tę bolesną ranę...

Potem powrót do domu, gderanie doktora i jego uwagi o naszem małżeństwie, a wreszcie tak bogata w skutki rozmowa z tobą — stary druhu... wszystko to, razem wzięte, otrzeźwiło mnie, jakbym z długiego męczącego snu powstał, pełen rozwagi i doświadczenia.

Tak, nieinaczej — moje małżeństwo, lekkomyślnie zawarte, było tylko komedją małżeństwa!.. Usiadł ciężko na fotelu, jakby go przygniotło brzemię zawodów i trosk...

Jacenty ocierał mokrą ścierką kurz z kwiatów i z pod oka śledził Mirskiego.

— Teraz już wielki czas, by wejść na drogę obowiązku i przywrócić życiu harmonję, którą zakłócił dysonans zerwania; nie pozostaje nic innego — jak zdecydowanie przystąpić do swych planów — snuł Stefan głośno z wyrazem silnego postanowienia.

Ale Mirski zwykle trzeźwy i raczej pozytywista w swoich życiowych postulatach, w tym wypadku okazał zupełnie romantyczną niepraktyczność: nie liczył się bowiem z warunkami, które jednak drwiły sobie czasami i figle płatały tym... co budowali domki z kart... Chłodny, niekiedy nawet nieubłagany powiew rzeczywistości... brutalnie zdmuchiwał je z powierzchni.

Młody człowiek zdawał się tego wszystkiego nie spostrzegać, zapatrzony jedynie w swój cel. Sądził, że wystarczy zmienić dotychczasowe zachowanie się względem żony, zrobić ofiarę ze swych na niejedno poglądów, — jednem słowem, obniżyć do pewnego stopnia osobiste ideały życiowe.. a wówczas, odtrącone niegdyś szczęście... wróci, siłą faktów... jak fala odtrącona... co wraca!..

Przejęty swem duchowem przeobrażeniem Stefan zapominał, że zło często fatalnie się mści, a i nić zerwana nie zawsze i nie zaraz da się na-

wiązać, a lekkomyślność trzeba okupić czasem latami ofiar...

Tylko Jacenty co do tego się nie łudził.. Sprzątając bez szelestu w pokoju swego ulubieńca, snuł niewesołe przypuszczenia.

— Myślę, że niejednej goryczy i zawodu dozna na tej drodze, więc z góry już drżę o to...— troskał się z zafrasowaniem serdecznem.

Marzyłem dla niego oddawna o takim obrachunku z sumieniem, ale teraz, w decydującej chwili, lękam się...

Wiem, że nie poprzestanie na stwierdzeniu omyłki, ale zechce szukać środków do naprawy popełnionego zła — znam go dobrze!

Trudno mu jest uznać w sobie winę, ale, gdy ją już zobaczy, to ten proces w nim się nie zatrzyma na jakiemś łatwem zadośćuczynieniu...

O! ten chłopak gotów posunąć się nawet do heroizmu!... i dlatego drżę i boję się...

Rozczarowanie na tej drodze mogłoby Stefana zabić moralnie!.. duchowo! — monologował skrycie staruszek.

Gdy Jacenty przyglądał się Renie w czasie pielęgnowania męża w chorobie, musiał niejednokrotnie stwierdzić, że dotąd jej nie znał, że w tem młodem stworzeniu tkwiły skarby, które należało tylko umiejętnie wydobyć i rozwinąć, bo może jej samej nawet były nieznane. Jej dusza była nierozbudzona dotąd, jakoby bryła w stanie pierwotnym, wydobyta z ziemi, nietknięta ręką kultury, ale kto wie, czy wstrząśnienia moralne, które Rena przeżywała tak

wcześnie, nie pogłębiły jej dosyć płytkiego dotąd usposobienia.

Może cierpienie i ból obrażonej godności kobiecej był cudotwórczym mistrzem, który tę szarą nieokrzesaną grudkę, ten kamień nieoszlifowany cudnie wyrzeźbił w żywe arcydzieło...

Jacenty lękał się że wewnętrzna przemiana młodej kobiety, przemiana, której Mirski stał się mimowolnym sprawcą — właśnie teraz obróci się przeciwko niemu, jakby groźne oblicze sprawiedliwości, i upomni się o pogwałcone prawa...

Rena—dziecko—umiała zapomnieć o krzywdzie i posunęła się nawet do heroizmu, pielęgnując z całą ofiarnością człowieka, który był sprawcą pierwszego bólu, jakiego doznała, tragedji, rozczarowania i zawodu w miłości.

Tak — ale — Rena — dojrzała kobieta, a taką musiało ją zrobić nieszczęście, taka Rena mogła nie chcieć przebaczyć i zapomnieć o strasznej krzywdzie, a wówczas Mirski musiałby poraz drugi przeżyć, ale tym razem już boleśniejszą katastrofę, bo z pełną świadomością, że sam był przyczyną tej niedoli!..

Tego się lękał Jacenty, więc skupiał całą roztropność i doświadczenie, by w razie niebezpieczeństwa obmyśleć plan obrony.

— Trzeba go przygotować i zahartować, by nie spaliło się to serce w próbie ogniowej, ale zmężniało... rozważał poważnie zaniepokojony. Trzeba go uprzedzić o możliwych trudnościach, ale kto tego dokona? Możeby doktór? Byłoby najlepiej, bo z nim Stefan się liczy...

Ale doktór taki zajęty, a tu należy działać szybko, a mądrze, — biadał starowina.

Czyżby więc mnie prostakowi przypadła ta misja w udziale? — I jakby w jasnowidzeniu ujrzał umierającą matkę Stefana, gdy z nadludzkim wysiłkiem dawała mu ostatnie przedśmiertne zlecenia, błagając, by strzegł i kochał jej jedynaka...

— Przysiągłem nieboszcz·e — i tak mi Boże dopomóż — dotrzymam! — szepnął do siebie uroczyście, wzmocniony nieco na duchu, czując jakby nowe namaszczenie do spełnienia trudnego zadania..

Gdy Jacenty spostrzegł, że Mirski nie zauważył jego zakłopotania, bo też był pogrążony w zadumie, podszedł do okna i, wznosząc z wiarą oczy w błękitne niebiosa, począł odmawiać szeptem ró·aniec, przesuwając paciorki w kieszeni. Ale ta cisza widocznie zastanowiła Mirskiego, bo oderwał się od nawału gnębiących go myśli i rzucił pytanie lekko, nawet z pozorną obojętnością, choć w głębi czaił się u niego lęk i do tej odpowiedzi przywiązywał wielką wagę.

— Czy masz adres Reny? — stary — muszę przecież z nią się porozumieć w sprawie naszej przyszłości... To proste pytanie było logicznym wynikiem założenia, że należało naprawić wadliwie postawiony stosunek małżeńskiego pożycia.

Mirski działał już planowo, a jednak owocem jakiegoż wewnętrznego mocowania było to postanowienie!

Wpatrzony smutno w roziskrzone niebo... snuł szarą przędzę rozważań..,

— Zdaję sobie teraz sprawę doskonale ze zmienionej roli, w jakiej muszę wystąpić!

Nie ja dyktuję prawa, nie ja jestem panem sytuacji, tylko fatalna konieczność zmusza mnie do etycznego wyjścia z tej zawiłej sytuacji.

Musiał to przyznać z całą prawdą. Brutalną była — ale oczywistą!

— Zerwaniem i postawieniem Renie ostatecznego ultimatum — ja sam kierowałem — teraz muszę przyjąć warunki! — rozumował zupełnie logicznie.

Nie przypuszczał, aby mu jakie stawiano, ale sam fakt, że musiał kapitulować i wystąpić w roli zwyciężonego — drażniło jego męską ambicję do najwyższego stopnia. Nie obliczył się też na razie, że kapitulacja zmusi go do tak daleko idących ustępstw...

Kto wie, byłby się może nawet cofnął, gdyby nie wrodzona prawość, która się brzydziła połowicznem zadośćuczynieniem...

Mirski toczył ciężką walkę w duszy; już się z tem godził, że, traktując małżeństwo jakby jaką spółkę handlową, odzierając je z pierwiastka nadprzyrodzonego — popełnił cały szereg błędów. W rozbudzonym krytycyzmie poszedł nawet tak daleko, że już widział niekonsekwencję w tem, że pomimo traktowania małżeństwa jako instytucji czysto ludzkiej — wymagał jednocześnie od tych, co do niej przystępowali, wyjątkowego idealizmu...

Dysproporcja środków do celu omal, że go nie doprowadziła do moralnego rozbicia... bo jednak właśnie tu z całą jaskrawością uwydatnił

się u młodego człowieka brak życiowego dogmatu. Żelazna konsekwencja wymagała—nietylko uznania winy, ale i naprawy życia, a tu Mirski odczuwał na każdym kroku bunt męskiej dumy.

Typowy Polak! Zapalną szlachetną naturą gotów był nawet do bohaterstwa, ale instynktownie wzdrygał się przed koniecznością szarych codziennych ofiar ze swego „ja” osobistego. Zmagał się więc długo aż do fizycznego wyczerpania.

Widział to Jacenty, a raczej intuicją kochającego serca odczuwał, to też heroiczne postanowienia Mirskiego nie zdołały cmylić jego czujności.

Przewidywał, że u Mirskiego może nastąpić reakcja, a wówczas nietylko stan psychiczny jego będzie wstrząśnięty, ale nerwy nie wytrzymają napięcia. Stary sługa chciał uprzedzić taką chwilę słabości, przygotować do obrony organizm fizyczny i duchowy, do czego sposobność sama się nadarzyła, dopomagając skrytym zamiarom zacnego sługi.

— Czy nie wiesz, Jacusiu — zapytał Mirski przyjaciela — czem zajmuje się obecnie Rena?— mcje żona... poprawił się poraz pierwszy.

Czy jest u ciotki?

Chciałbym, żeby załatwiła swe sprawy i jak najprędzej wracała do domu — dokuczyła mi już ta przymusowa samotność!

Mówił umyślnie lekko, w formie pewnego usprawiedliwiania się; z tych słów wyglądała wyraźna chęć nadania sprawie powrotu Reny charakteru rzeczy małoznaczącej. Był to zarazem wybieg słabości natury ludzkiej... sposób

wydobycia się z kłopotliwej sytuacji i zmniejszenia ciążącej na sobie odpowiedzialności.

A właśnie Jacenty wybrał tę chwilę za najodpowiedniejszą do rzucenia pocisku; zaryzykował nawet możliwość wybuchu u Mirskiego.

— To, paniczu, to nie da się zrobić tak prędko i łatwo! — odrzucił, patrząc mu prosto w oczy, przygotowany do ataku. Nie pomylił się, bo w głosie Mirskiego zadrgała nuta rozdrażnienia.

— Jakto! — nie rozumiem, co chcesz powiedzieć przez to? — Sądzę, że należy mi się zobaczyć z Reną i osobiście wyjaśnić.. no... usprawiedliwić przyczynę naszego nieporozumienia...

Próbował przekonywać, ale sam czuł, że robi to niezgrabnie, tembardziej, że denerwowało go dwuznaczne zachowanie się Jacentego. Choć wiedział, że ten człowiek nie posiadał wykształcenia—jednak rozumowi jego bardzo ufał i opinję szanował.

— Hm! — nieporozumienie!? — mruknął po chwili stary. Mirski wiedział, że jeśli Jacenty nie reagował na coś zaraz — to wówczas tylko, gdy jakąś prawdę głęboko w sobie przetrawiał.

— A czy małżeństwo, paniczu — to rękawiczka, żeby ją dziś zrzucić, aby jutro znów włożyć? — cedził powoli, topiąc wzrok przenikliwy w oczach Mirskiego, który zamilkł i pod siłą tego spojrzenia spuścił oczy zawstydzony, bo pobiła go logika tego nieuczonego mędrca.

Panicz nazywa lekko nieporozumieniem to, co było pogwałceniem prawa Boskiego i ludzkiego! — rzucił teraz surowo.

Na straży świętości i nierozerwalności sakramentu małżeństwa stoi sam Bóg! Kto te prawa naruszy — z Bogiem ma do czynienia i nie może mu to ujść bezkarnie!

Te słowa, pełne namaszczonej grozy, padły wśród ciszy — jak grom, jak wyrok oskarżenia. Rozum godził się z niemi, nawet uznawał za słuszne — bronił się tylko... egoizm! Mirski to czuł...

— Więc co mam robić? — radź stary przyjacielu! prosił Mirski, wyciągając do starego obie ręce prawie bezradnie i z wyrazem najwyższego zakłopotania.

— Ano, paniczu — trza teraz naprawiać, co się popsuło, choć Bogiem się świadczę — niełatwa to sprawa! — odrzekł stary sługa, ciężko wzdychając...

— Ale co robić, w jaki sposób naprawić?..— Czy wogóle jest jeszcze dla mnie jaki ratunek? W dręczącem pytaniu, w niepokoju, z jakim były wymówione te słowa, tkwił taki akcent prawdy, kryjącej cierpienie, że starzec zadrżał mimowoli.

— Budzi się sumienie!.. szeptał do siebie, patrząc z ojcowskiem współczuciem na tę młodą twarz, a już zestarzałą od piętna troski i bólu...

Milczenie trwało dłuższą chwilę; starcze wargi Jacentego poruszały się nieznacznie słowami modlitwy... a Mirski siedział z łokciami, opartemi na kolanach, z ukrytą w dłoniach twarzą...

Jak wieczność długie mijały minuty...

— Jacenty! — padło wreszcie wśród ciszy wezwanie, nabrzmiałe dziwną powagą.

Starzec utkwił w twarzy mówiącego oczy wyblakłe i pełne niepokoju. Rysy Mirskiego były zmienione, zaostrzyła je twarda ręka losu...

— Jacenty! — powtórzył. — Powiedz mi, naucz, wskaż, skąd ty czerpiesz równowagę? Skąd brałeś siły?

Włos zbyt wcześnie posrebrzył ci skronie, abym przypuszczał, że oszczędziło ci życie zawodów — może nieszczęść, a jednak uśmiech masz taki jasny! — radość życia z ciebie promieniuje...

Skąd to płynie?... dodał rzewnie i ciszej — jakby się wstydził swej dziecięcej nieświadomości. Oczy, pełne niewysłowionej tęsknoty, utkwił w dalekich przestworzach — może goniąc w nich świetlaną marę utraconego szczęścia...

— Skąd? — pytasz — rzekł Jacenty wolno, — a z Boga!

Prostota tych słów wpadła w ciszę, jak akord pełen łagodnej harmonji.

— Świat dzisiejszy nie czerpie źródła swego szczęścia z Boga — tylko z siebie samego... a to zawodne i niepewne. Jeden pije z niego truciznę, a inny odchodzi spragniony... i nienasycony... —

Te słowa wpadły Stefanowi w ucho, jak refren dawnej piosenki... Słyszał je gdzieś, czy czytał — nie pamiętał!

Czyżby zatem powrót do pogańskich krynic życia i użycia?.. Doktór tam szukał rozwiązania zagadki ludzkiego bytu...

Młody człowiek zwrócił do Jacentego twarz zszarzałą i męczeńsko przesmutne oczy, pełne błagalnej prośby.

— A więc Jacusiu -- jaki dla mnie wyrok?... i zawisł pytaniem na jego ustach.

Jacenty nie zaraz odpowiedział, oczy jego dziwnie jasne i pogodne, oderwane od ziemi długo błądziły po niebie — jakby zasłuchane w jakieś mistyczne pozaświatowe tony...

— Zwróć się do wnętrza własnej duszy—tam napewno znajdziesz natchnienie! — odpowiedział Jacenty uroczyście, odrywając się z żalem od swych świetlanych myśli...

* * *

Lipiec dobiegał końca, a w Zalesińskim dworze roboty były w całej pełni. Gdzieniegdzie na polach spóźnione pszenne łany jeszcze się złociły, a o zmierzchu, gdy liljowe cienie słały się po zżętych skibach — wiatr roznosił daleko, echem przeciągłem i żałosnem śpiew dziewcząt i chłopaków, wracających z pracy do chat na spoczynek.

Wyrostki, pędząc bydło do obór, nucili na fujarkach przedziwne piosenki, może zapożyczone od leśnych skowronków, może od szmeru strumyków, co srebrnemi wstęgami wiły się wśród gęstwy lasu.

Słońce ostatniem pożegnalnym uściskiem objęło wierzchołki drzew w parku i w ogrodzie i, przybrane w krwisto purpurową szatę, zniżało się majestatycznie, kryjąc promienną źrenicę w fałdach perłowo fioletowych obłoków.

Mirski siedział w gabinecie, głęboko zamyślony. Przed nim na biurku leżała rozłożona gazeta i ona właśnie była przyczyną poważnej

zadumy, bo zupełnie niespodziewanie ułatwiała mu i rozwiązywała dużą trudność.

Od ostatniej rozmowy Mirskiego z Jacentym minęło parę tygodni, a sprawa pogodzenia się z Reną nie postąpiła ani trochę naprzód.

Już i zdrowie młodego człowieka poprawiło się do tego stopnia, że znów cały pogrążył się w obowiązkach gospodarskich, a w duszy jego dojrzewało i pogłębiało się coraz bardziej zrozumienie wyrządzonej krzywdy moralnej.

Umiejętną i doświadczoną ręką Jacentego rzucone ziarno — kiełkowało i gotowe już było do wydania plonu w czynach, do czego w znacznej mierze pomagał zmysł samokrytycyzmu.

Moralne i fizyczne cierpienia wysubtelniły duszę Mirskiego; wybuchy miłości własnej zdarzały się rzadziej. Opanowywał się prędko, a postanowienia zdecydowanej woli musiały brać górę nad dawną metodą impulsywnych działań.

Postanowienie sprowadzenia Reny do domu jak najprędzej — było owocem pełnego rozwagi namysłu i na pozór wydawało się to sprawą niedługiego czasu. Tymczasem drobna pozornie okoliczność pokrzyżowała te plany. Mirski dowiedział się bowiem od Jacentego, że Rena, wbrew przypuszczeniom, nie była w domu u ciotki, tylko przyjęła posadę nauczycielki w obcym domu, daleko od Zalesina, nawet w innem zupełnie województwie.

Zatem na wstępie przeszkoda nie bylejaka! Ale oto na przekór trudnościom niewinna gazeta dawała wyjście znakomite z tych niefortunnych powikłań!

Mirski przeczytał, że p. Dębski, właściciel majątku Dobromile, ogłaszał wzorową hodowlę rasowych owiec — do obejrzenia na miejscu.

Wszystko składało się jak najpomyślniej, bo właśnie w tych Dobromilach Rena była w charakterze nauczycielki. Nadto okazało się, że Stefana łączył z p. Dębskim, jakkolwiek starszym od niego o lat kilka, stosunek koleżeński, wyjątkowo serdeczny, utrzymywany nawet po ukończeniu studjów uniwersyteckich. A w dodatku p. Dębski ogłaszał o tem, co interesowało Mirskiego specjalnie.

Zapalony gospodarz lubił wszelkie nowości, mające na celu ulepszanie ziemi i wszystkiego, co miało pośredni, czy bezpośredni związek z gospodarstwem. Zwłaszcza poprawa rasy w dziedzinie żywego inwentarza miała dla niego urok nieprzeparty, gdyż w ten racjonalny sposób podnosił wydajność wszelkiej produkcji.

Zatem warunki się układały znakomicie! Odnowi zaniedbane nieco w ostatnich latach stosunki z zacnym i wielce sympatycznym kolegą, załatwi interes gospodarski, a zwłaszcza — co Stefana nęciło najbardziej, zobaczy się z Reną na gruncie neutralnym...

Ta ostatnia okoliczność zdecydowała Mirskiego stanowczo... Widzenie się z Reną po tylu przejściach pociągało go niezwykłością warunków..

Serce trochę drżało z niepokoju i ciekawości... Decyzja musiała nastąpić, bo już i Jacenty zaczynał tracić zwykłą równowagę; zrzędził i przekomarzał się z ukochanym wychowankiem, zarzucając mu nawet tchórzostwo!

Wprawdzie we własnem sercu, a nawet przy doktorze, Jacenty stawał w obronie Mirskiego, któremu poczciwy weredyk od mazgajów wymyślał. Przed zaperzonym staruszkiem Jacenty wytaczał różne argumenty! — Przecież Stefan nie może obcesowo napaść i porwać Reny, nie wiedząc nawet, jak jest obecnie względem męża usposobiona, a właśnie spotkanie się dwojga poróżnionych małżonków wobec obcych, pozwoli im spokojnie wejść w siebie, uspokoić się i przyjrzeć się sobie bezstronnie... zaobserwować się — tłumaczył pojednawczo. Byłoto jednak dolaniem oliwy do ognia, bo wywołało jawne zgorszenie. Staruszek wychodził z siebie z irytacji.

— Wszystko to babskie ceregiele... wymysły dzisiejszego zwarjowanego świata! Jakieś chińskie ceremonje — widział to kto?!... wołał zirytowany, biegając po pokoju i wszystkie meble potrącając w gabinecie.

Żenią się, potem rozchodzą, spotykają się wśród obcych — istne komedje!

Tfu! z taką nowoczesną moralnością!.. splunął z pasją.

Zamiast, jak Bóg przykazał, myśleć już o... bocianach... to oni — wobec Boga i ludzi zaślubieni małżonkowie.. mają się dopiero.. po roku— przyglądać sobie... jeszcze z jakąś tam... obserwacją!... przedrzeźniał Jacentego, ocierając kraciastą chustką pot z zaczerwienionej twarzy.— Zgroza! Skaranie Boskie! Co to za świat dzisiaj! wszystko na opak! Stanął wreszcie przed Jacentym i, wziąwszy się pod boki — drwił, aż sapiąc z wewnętrznego wzburzenia.

A ciebie, mości panie Jacenty, w jakiej to na starość wyedukowano szkole, żeś zapomniał chłopskiego języka i zwyczaju, a rozumu, że temu młokosowi pakujesz do głowy jakoweś francuskie, czy inne djabelskie mądrości? — Obserwacyje! Słyszane rzeczy!

Oni się potrzebują po roku małżeńskiego pożycia obserwować przy obcych — zamiast żyć w małżeńskim stanie, jak Bóg przykazał! —

Stary byłby dalej pomstował i skończył na zwymyślaniu wszystkich, jak to miało miejsce nieraz, gdy przejął się czemś gorąco, ale Jacenty, znając poczciwinę doktora, jego niepohamowany język, choć serce miał zacne i prawe, jak szczere złoto, odwrócił zgrabnie rozmowę na temat niezawodny.

— Niech jegomość się uspokoi, bo szkoda słów po próżnicy! Trzeba się dobrze namyślić, jak naszego panicza wyprawić w podróż, bo tylko patrzeć, jak nam wyfrunie!

A ze względu na niedawną jego chorobę, trza wszystko dokumentnie omówić i przygotować!

Nie omylił się Jacenty w rachubach, bo ta uwaga wróciła odrazu staruszkowi równowagę i zaraz począł spokojnie i fachowo rozmawiać, jakie przedsięwziąć ostrożności, by Stefanowi nie zaszkodziła taka daleka, a pierwsza po ciężkiej chorobie, podróż. Wreszcie wspólnie z nim uradzili we troje i postanowili wyjazd na przyszły tydzień.

Mirski musiał przedtem pozałatwiać konieczną korespondencję i zostawić zlecenia na czas swojej nieobecności.

Dni te minęły mu w nerwowem podnieceniu; czuł się w przededniu ważnego życiowego przewrotu.

W chwilach, wolnych od gorączkowych przygotowań, wyjmował portrecik Reny, przyglądając jej się ukradkiem. Nie umiał jasno skrystalizować swego nastroju, nienawykły do analizy uczuciowej — w każdym razie podświadomie zdawał sobie sprawę, że wstępuje w jakąś nową, nieznaną sobie dotąd fazę, a nieco przyspieszone tętno serca... nie jest mu nawet przykre.

Po kilku chwilach niemej kontemplacji, — portrecik wracał w ukrycie, ale w pamięci, wśród natłoku nieokreślonych uczuć, pozostawała uparcie śliczna i urocza twarzyczka o wymownych piwnych oczach...

Miał ich pełno w sobie... Mąciły mu równowagę, budząc w sercu dziwny niepokój.

Podróż koleją i końmi wynajętemi, gdyż instynktownie coś mu odradzało uprzedzać o swym przyjeździe, zajęła Mirskiemu kilkanaście godzin.

Około godziny dziesiątej rano zajechał przed okazały dwór w Dobromilach, trochę niewyspany i zmęczony długą podróżą.

Służący odebrał z rąk młodego człowieka walizkę i kartę, wprowadzając przez obszerne schody. Zaraz na wstępie oznajmił także, że pan dziedzic będzie mógł powitać gościa najwcześniej za jakieś dobre pół godziny, bo jest w polu daleko, a pani dziedziczka dopiero wieczorem, gdyż wyjechała w odwiedziny do chorej matki, do majątku o kilkanaście kilometrów odległego.

Wzmianka Mirskiego, że jest dawnym i serdecznym kolegą szkolnym dziedzica, usposobiła lokaja odrazu przychylnie. Poprowadził młodego człowieka do pokoju gościnnego, sam pomógł mu przyprowadzić tualetę do porządku, a wreszcie zaprosił do salonu, zapewniając uprzejmie, że zaraz poszle chłopca w pole po pana dziedzica, który się napewno bardzo ucieszy z przyjazdu tak miłego gościa! dodał z całą kurtuazją znającego się na formach starego sługi.

Mirski wszedł do salonu, gdzie zaraz na wstępie uwagę jego przykuł naturalniej wielkości portret gospodarza p. Dębskiego, w którym począł się doszukiwać rysów dawno niewidzianego przyjaciela. Nie spostrzegł przeto, że przy otwartem oknie, w zagłębieniu — coś w rodzaju niszy, siedziała młoda kobieta, zajęta pilnie wyszywaniem wiązanki chabrów na tle szarego płótna. Widocznie i ona nie zauważyła obcego przybysza, bo Mirski wszedł cicho i stał prawie przy samem wejściu zapatrzony w portret. Dopiero, gdy chrząknął, nie domyślając się czyjejś obecności w salonie, — kobieta drgnęła i zwróciła głowę ku drzwiom...

Nagle wszystko osunęło się na ziemię... robota... zwoje jedwabnej przędzy... nożyczki... naparstek... Przed Mirskim stała zdumiona ...Rena!

Twarzyczka jej pobladła, uwydatniając głębokie cienie pod oczami, a duże ciemne źrenice wpiła nieledwie z przerażeniem, ale i sekundową radością we wzruszone oblicze Mirskiego, w jego rysy, mocno zmienione długą chorobą i moralną

walką. Na usta jej wybiegły gorączkowe, cichym szeptem wymawiane słowa, — jakby do siebie:

— Boże, więc wyzdrowiał! Żyje! — Stef! Mirski nie był psychologiem, ale w tym okrzyku, w zwarciu się wzroku, — krótkiem jak mgnienie, — odczuł coś niezwykłego — jakieś uderzyło go olśnienie... To też ruchem instynktownym i szybkim schwycił obie ręce młodej kobiety, okrywając je gwałtownemi pocałunkami. To wystarczyło Renie, by się momentalnie opanować. Natychmiast oczy zakryła powiekami, wyrywając ręce z uścisku z wyrazem silnego zakłopotania.

— Skąd się tu wziąłeś, Stefanie? Skąd pan tu? — poprawiła się zaraz, ale wahająco, jakby nie była pewną w jakiej formie należy do tego człowieka przemawiać.

— Przyjechałem do swego przyjaciela, ale... dlatego przedewszystkiem, by ciebie, Reno, zobaczyć i...

Nie dokończył, bo twarz młodej kobiety pokryła się bladością ziemistą, rysy zesztywniały, a cała postać kształtna i wysmukła wyprostowała się ruchem takiej powagi, a nawet wyniosłości, że serdeczne słowa Mirskiego zamarły mu na ustach.

Chciał odrazu wytworzyć ciepłą atmosferę, aby utorować sobie drogę do trudnego zadania, ale teraz zrozumiał, że kto wie, czy uda mu się wszystko przeprowadzić z taką łatwością, jak sądził z początku.

Przez to mgnienie oka i nawet bez słów Reny — zobaczył ją zupełnie inną, niż została mu w pamięci.

Owego fatalnego wieczoru żegnał ją z przeświadczeniem, że ma przed sobą dziecko — nieświadome i lekkomyślne, które zmianę w życiu przyjmie bez głębszego zastanowienia, — teraz widział dojrzałą kobietę, która go onieśmielała.

Była w niej jakaś dostojność, której dotąd nigdy nie spostrzegał.

— Dziecko — laleczka przedzierzgnęło się w kobietę — człowieka! — Skromniutki pączek — rozwinął się w rozkoszny kwiat!..

Ale niestety tego cudu dokonało nie słońce miłości i szczęścia małżeńskiego — szeptał z goryczą zbladłemi usty, — ale przeciwnie! — raczej huragan i burza, które, niwecząc naiwność i złudzenia młodości, zapoznały ten kwiatek z bólem zawodu i rozczarowania!

A więc jakże cenny musiał być kruszec, z którego tę duszę wykuto, skoro ból wyrzeźbił ją tak delikatnie — wycyzelował z pietyzmem! —

Jakby w nagłem jasnowidzeniu, Mirski zrozumiał i odczuł to wszystko...

Rena milczała, przyglądając mu się tylko z pod półprzymkniętych powiek.

Śliczną twarzyczkę, która już odzyskała koloryt bladoróżowego płatka kwiatu, krasił zaledwie dostrzegalny uśmiech kącików ust, pozatem twarz była nieprzenikniona .. pełna finezji i czaru...

Mirski, czując się skończonym profanem w dziedzinie rozumienia psychiki kobiecej — tak przebogatej, a zmiennej i barwnej — przeklinał tę swoją nieudolność, teraz zwłaszcza!

Ta dusza kobieca kusząca i wabna — pociągała go całą potęgą swej tajemniczości.

Była jak fala, — to łagodna, połyskująca srebrem i złotem pod pieszczotą słońca, — to zwodnicza, chwilami nawet złowroga, gdy wstrząsana burzą pokrywa się pianą, grożąc śmiałkom topielą...

Tak i ta dusza wyłaniała się przed nim pełna zagadek i niespodzianek...

Stał zapatrzony w zupełnie nowe dla siebie, a cudne zjawisko, oszołomiony natłokiem wrażeń i uczuć...

On, światowy bywalec, umiejący nadać ster każdej rozmowie, a odnosić zwycięstwa w najzawilszej szermierce poglądów i sporów — w tej chwili zachowywał się, jak sztubak!.. nie umiał zacząć rozmowy.

— Nie wiem doprawdy, myślał zmieszany i niepewny, jaką znaleźć najodpowiedniejszą formę i ton, aby przerwać to zbyt długo trwające i aż kłopotliwe milczenie. —

Ale takt Reny, czy może litość dla zgnębionej postawy Stefana, wyprowadził go z tej arcyniemiłej sytuacji.

— Pan... wymawiała to słowo ze szczególnym wahaniem... chciał się zapewne widzieć z panem Dębskim... zaraz poszlę służącego... i lekka, a płochliwa jak ptak, już się zabierała do odejścia.

Nagle, jakby coś sobie bolesnego przypominając, odwróciła się—znów wzrok jej sekundowo zanurzył się w szafirowych źrenicach Mirskiego i wyrzuciła z siebie prędko z widocznym przymusem:

— Pan mnie chyba nie skrzywdzi... nie zdradzi tajemnicy? Ja tu jestem — spuściła główkę. Poczem z bolesnym skurczem ust dodała ciszej: — Jestem tu pod panieńskiem nazwiskiem... nikt nie wie... o...

Nie dokończyła, lekko przysłaniając oczy dłonią, ale za chwilę już opanowana i spokojna dokończyła, patrząc szklisto w pustą przestrzeń poza oknami.

— Nikt tu nie wie o mojem, o naszem małżeństwie i... zerwaniu...

I nie chcę, by wiedziano! — dodała mocno.

Musimy zatem... przy ludziach udawać, że byliśmy i jesteśmy zupełnie sobie obcy, co sądzę, dodała już całkiem swobodnie,—nie będzie Panu tak trudne, zresztą ja dopomogę — rzuciła od niechcenia z odcieniem leciutkiej ironji. —

Skinęła mu główką niedbale i już chciała odchodzić, ale Mirski, podrażniony zachowaniem Reny, przytrzymał ją silnie za rękę, mówiąc z wybuchem.

— Spodziewałem się sceny łez, lub conajmniej dziecinnego objawu radości, czy niezadowolenia, a może obrazy z twej strony, Reno, gdy się dowiesz, że przyjechałem tu z żądaniem powrotu twego do naszego osamotnionego domu...

Tak byłem przekonany o innem z twej strony powitaniu, że przyznaję nawet nie obmyślałem z góry planu pierwszej naszej rozmowy.

Ale to, co się stało, jest dla mnie tak zdumiewająco różne, tak nieoczekiwane, że doprawdy muszę się przyznać, iż czuję się całkiem nieswojo!

Rena, jego Rena! panienka Reniusia, jak zwykł ją pieszczotliwie nazywać Jacenty, okazała mu się teraz zupełnie inną!

— Ta kobieta traktuje mnie z królewską wyniosłością — myślał rozdrażniony. I jeszcze łaskawie raczy obiecywać, że sama pomoże, by mi łatwiej było uważać się za obcego! No proszę!...

Prawdziwa ironja losu!

Ciekawe, na czem będzie polegała ta pomoc?— irytował się wewnętrznie, co wszystko zajęło pół minuty czasu, akurat tyle, ile było potrzeba, by uchwycić w porę ręce Reny i zatrzymać ją przemocą.

Trzeba raz tę komedję skończyć! — syknął przez zęby — i energicznie wziąć się do rzeczy. Reno, dość pustych słów! przyjechałem tu po ciebie —oświadczył ze źle hamowaną gwałtownością.

Rena zbladła o jeden ton, ręka, którą oparła o poręcz krzesła, drżała jej lekko, ale wzrokiem spokojnym zmierzyła Mirskiego od stóp do głowy i po króciutkiej, brzemiennej ważnością chwili, odpowiedziała głosem metalicznym, w którym na dnie drżało echo, jakby lekko wstrzymywanego śmiechu. Nieco ku niemu pochylona, kusząco ładna, z główką, pełną kasztanowatych loków, twarzyczką dziecinną w wyrazie, z pół figlarnym, a pół bolesnym uśmiechem, drwiła:

— Czyżbyśmy się znajdowali w krainie zaczarowanej bajki, gdzie pewna wróżka złą mocą swoją przemieniła mnie no, przypuśćmy...w...sprzęt jakiś... że mówi Pan: — Przyjechałem po Ciebie!...

Na szczęście tym razem to tylko rzeczywistość, a ja z całą stanowczością oznajmiam swą

niezależność! Podniosła z dumą i potrząsnęła kształtną główką.

Mogę się znaleźć tu, lub gdzieindziej, ale tylko z własnej i nieprzymuszonej woli — dodała już poważnie, odrzucając twardo błysk silnego podrażnienia, co się zapalił jak iskra w szafirowych źrenicach Mirskiego, który zaczynał tracić panowanie nad sobą.

— Nie powinnaś tak drwić, tak mówić i myśleć, bo nie jesteś ani wolną, ani niezależną, Reno! Jesteśmy małżeństwem, racz o tem pamiętać!

Wypowiedział to żelaznym głosem, chwytając obie ręce Reny powyżej dłoni i cisnąc je mocno.

— Małżeństwem?... któreś ty sam nazwał niegdyś parodją i sam zerwałeś brutalnie! Szarpnęła się, wyrywając ręce z uścisku i rzuciła mu w oczy wyzywająco z brwią ściągniętą, co nadało jej młodziutkiej twarzyczce wyraz przedwczesnej powagi.

— Małżeństwem! — powtórzyła, śmiejąc się nerwowo.

Chciałbyś może po kilku miesiącach odegrać drugi akt tej komedji? Dziękuję uniżenie! szydziła. Dziękuję!

Życie — to nie teatr! Zresztą dla mnie już się odegrał ostatni akt! Epilogiem był mój wyjazd... wtedy... wieczorem... przy akompanjamencie... jesiennych wichrów i dzwoniącej o szyby ulewy... Dodała to już w pół szeptem, ale z bolesną goryczą i wolnym krokiem, jakby nagle wyczerpana, czy znękana, prosta i smukła w skromnej jasnej sukience odchodziła. Ale przy drzwiach,

trzymając już rękę na klamce, odwróciła się jeszcze i rzuciła Mirskiemu przez ramię:

— Tego, co miesiące zepsuły, nie może chwila naprawić! —

Drzwi się zamknęły, a młody człowiek stał w miejscu nieporuszony, zastygły...

Zdawało mu się, że jeszcze słyszy srebrny głos, rzucający mu na pożegnanie słowa tajemnicze... zagadkowe.. pół nadziei, pół zwątpienia... i widzi duże piwne oczy dawnej Reny, tej Reny, której nie znał właściwie, a którą dawniej przyzwyczaił się lekceważyć...

Spostrzegł się wreszcie, że napróżno w drzwi patrzy, bo czarodziejskie zjawisko rozpłynęło się jak bańka mydlana i nie wróci do niego napewno.

Gorycz, żal i tłumiona z trudem złość serce mu zalały.

— Poprostu zadrwiono tu ze mnie!—irytował się. Co ta kobieta sobie myśli? Ciągnąć mnie tyle kilometrów, napróżno! to doprawdy niesłychane!

W rozdrażnieniu zapominał, że „ta kobieta" nie brała najmniejszego udziału w jego planach, więc i za niepomyślny rezultat nie mogła odpowiadać.

Ale Mirski tak się czuł zgnębiony, tak moralnie wstrząśnięty przeżytą sceną i nieoczekiwanemi zupełnie trudnościami, jakie przewidywał po tej pierwszej niefortunnej rozmowie, że trudno mu było zdobyć się na logiczny bieg myśli.

Jeszcze bardzo niejasno zdawał sobie sprawę, że nikt inny, tylko on sam był winien, a tu już surowe prawo sprawiedliwości każe mu po-

nosić skutki za zbrodnię zlekceważenia tego, co było święte!..

Zdawało mu się, że słyszy prorocze słowa Jacentego, gdy się gorszył jego zbyt liberalnemi poglądami na małżeństwo.

— Tak, nieinaczej! przegrałem grubą stawkę! mówił, chłodząc rozpalone czoło o szybę okna, o które się oparł.

Czyjaż wola przeciwstawia się teraz mojej? Samowystarczalność, wiara w siebie — to były moje dogmaty... Czyżby zawiodły?

Dla Jacentego dogmatem była wiara!

Jagna i doktór także z tego źródła czerpali swe męstwo a ja?

Czyżbym był ateuszem?...

Sięgnął w przeszłość i na dno swojej duszy... ale zobaczył tylko pusty ołtarz!... Tam się nie żarzył ogień jakichś wielkich świętych ukochań... tam było pusto!...

Metryka chrztu, spoczywająca w archiwach parafjalnych — to jedyne świadectwo mojej przynależności do Kościoła. Spowiedź przedślubna odbyta jako formalność, pozatem czy Bóg jako pojęcie Istoty Najwyższej, grał jakąkolwiek rolę w mojem życiu duchowem?

Wierzę, temu nie mogę zaprzeczyć, ale traktowałem to raczej jako abstrakcję, nie mającą nic zgoła wspólnego z mojem życiem prywatnem.

Ale naogół u ludzi, a zwłaszcza u kobiet nie znoszę braku religji — konstatował ten objaw całkiem na trzeźwo.

— Choć sam obywałem się bez Boga — kobietę niereligijną uważam tylko za pół człowieka.

Wprawdzie w ów pamiętny wieczór obrachunku z sumieniem, Jacenty mi dopomógł, określając z całem namaszczeniem małżeństwo, jako „służbę Bożą”, a Boga, jako sprawującego urząd Najwyższego Kapłana przy obrzędzie sakramentu małżeństwa; wszystko to słyszałem i uznawałem rozumowo, ale to nie było przeżyciem osobistem... —

Tych prawd Mirski nie przetrawił jeszcze dotąd w swej duszy... nie przemyślał i sercem nie odczuwał potrzeby wiary.

Dopiero poraz pierwszy w tej chwili z jego rozumową świadomością zetknęło się bezpośrednio pojęcie istnienia jakiejś wyższej istoty... czy praw, których dotąd nie znał, ale przeczuwał...

— Bóg — potęga! Bóg — sprawiedliwość! — stają przed wzrokiem mojej duszy jako siły groźne!

Lękam się ich... ale jednocześnie duch się instynktownie korzy—szeptał zbladłemi usty.

Teraz dałby wiele za to, by odejść z tego domu, w którym spotkał go pierwszy gorzki i bolesny zawód. Wyjechać, wrócić do swego zacisznego gabinetu i dopiero tam, w samotności i skupieniu przyjrzeć się zbliska temu, co tu przez te chwile przeżył i przemyślał...

Niestety! między zamiarem, a wykonaniem stanęła... góra — w danej chwili prawdziwa fizyczna góra, bo akurat w drzwiach otwartych ukazała się barczysta postać p. Dębskiego.

— Stefek! Władek! — zabrzmiały dwa jednoczesne okrzyki powitalne i obaj mężczyźni rzu-

cili się sobie w objęcia z oznakami szczerej i niekłamanej radości.

Mirski należał do rzędu ludzi wysokich i dobrze zbudowanych, ale tu ginął prawie w olbrzymich barach gospodarza, który nie mógł się nacieszyć z przyjazdu dawnego kolegi — przyjaciela, z którym łączyły go istotnie serdeczne uczucia. Wprawdzie życie ich rozdzieliło tak, że od dłuższego czasu nic o sobie nie wiedzieli, zachowując jednak w sercu najmilsze wspomnienia o tej przyjaźni.

Naturalnie uradowany gospodarz ani słuchać chciał o prędkim wyjeździe przyjaciela, obiecywał, że go nie puści conajmniej parę dni.

Pierwszy dzień mieli poświęcić przedewszystkiem przeszłości, odgrzebaniu pamiątek ze szkolnej ławy, a dopiero nazajutrz przystąpić do omawiania interesów.

Mirski nie taił, że głównym bodźcem do odwiedzin przyjaciela było połączenie jego nazwiska ze sprawami gospodarskiemi—o czem dowiedział się z gazet.

O celu głównym t.j. o zobaczeniu się z Reną, a zwłaszcza o łączących go z nią stosunkach — nie było naturalnie mowy. Mirski sugestywnie poddał się wpływowi młodej kobiety, szanując jej tragiczną tajemnicę.

Dębski, z subtelnością właściwą niektórym głęboko czującym męskim naturom, nie pytał Mirskiego o warunki życiowe, instynktownie odczuwając jakiś dramat rodzinny.

Sam jednak nie omieszkał pochwalić się, że ma nadzwyczaj dobrą i kochaną żonę i dwie już

kilkoletnie córeczki, o których opowiadał z dumą rozkochanego ojca.

— Wyobraź sobie, kochany Stefku — mówił, siedząc w bujaku podczas, gdy Mirski porządkował swe toaletowe drobiazgi, z podróżnej walizki wyjęte.

Wyobraź sobie, że tak mi się jakoś dziwnie powodzi w życiu — płynie ono tak gładko bez wstrząśnień, że chwilami aż się boję... tego szczęścia, które mi Bóg daje!

Pamiętasz, że mimo serdecznej przyjaźni, jaka nas łączyła, ścieraliśmy się nieraz na ławie szkolnej o sprzeczne poglądy na tle dogmatów religijnych...

Ty, Stefku daleko inteligentniejszy i zdolniejszy, olśniewałeś mnie nieraz i imponowałeś śmiałością swoich, jak sam twierdziłeś, nieco liberalnych poglądów...

Patrzyłem na ciebie wówczas nawet z pewną domieszką zazdrości, czasami — jak musi patrzeć szary wróbel na podniebne wzloty swego brata — orła...

A jednak, chociaż cię kochałem, chociaż podziwiałem skrycie—byłem tak wrosły korzeniami duszy, tak przywiązany do tradycyj katolickich, że, wybacz, może cię zgorszę, parafjańszczyzną, ale do dnia dzisiejszego zostałem taki, jak dawniej!

Co wieczór klękam do pacierza i w rachunku sumienia kajam się ze skruchą przed Majestatem Bożym, śledząc się pilnie w wierności. I pytam Go wówczas pokornie i z lękiem, czy cień jaki nie przysłoni mi radości życia i za co je mam to szczęście? —

W błękitnych, jak niebiosa, źrenicach mówiącego lśniło pogodnym blaskiem rozrzewnienie.

Mirski pochylił się nad otwartą walizką i zagryzł usta nieznacznie.

Ta jasna dola przyjaciela jakże kontrastowo różniła się od jego—chmurnej i niepewnej, a ten duży człowiek, spowiadający się przed nim z prostotą dziecka, zaniepokojony tem, że mu się zbyt dobrze działo—zaiste był typem przedziwnym!

— Ot, chociażby i w tem – ciągnął z zapałem Dębski.

— Niedość, że żonę mam skarb! Kobiecisko zacne z kościami, dzieci dobre, ładne i zdrowe, jeszcze teraz zdobyłem nauczycielkę — także unikat!

Unikat! — powtarzam.

Cicha, spokojna, bez grymasów, dzieciom i pracy koło nich oddana do zaparcia, a przytem taktowna, jak mało! Dzieci za nią przepadają, ale i korzystają dużo... —

Słuch Mirskiego zaostrzał się w miarę wzrostu góry wyliczanych cnót tej nadzwyczajnej nauczycielki; dla niego było to odkryciem zdumiewającem, że Rena potrafiła zająć się czemś systematycznie. Największa niespodzianka czekała go jednak na końcu!

— Poznasz ją zresztą sam przy obiedzie — ciągnął dobrodusznie Dębski, nie zrażony milczeniem przyjaciela. Chociaż będzie to poniekąd trudne, bo p. Regina jest trochę dzika w towarzystwie — nawet go unika i małomówna jest, czasami nawet jakby czegoś smutna... —

Niewiadomo z jakiego powodu coś ukłuło Mirskiego w samo serce, ale jednocześnie zdziwienie jego nie miało granic.

— Ona dzika, małomówna, nawet trochę smutna? Nieraz wyrzucał Renie jej niefrasobliwą wesołość, a częste bez ważnego powodu wybuchy śmiechu, kładł na karb.... dziecinnej lekkomyślności...

A teraz cicha, smutna? Wprost nie do uwierzenia! — myślał.

Donośny gong wezwał wszystkich na obiad do sali jadalnej.

Mirski przyjął to wezwanie z radością i nadzieją w sercu, obiecując sobie powetować ranną porażkę... Jakiż był przeto jego zawód i niezadowolenie, gdy już na wstępie do jadalni, usłyszał fatalną dla siebie wiadomość:

— Panna Rożniecka prosiła, by ją usprawiedliwić z nieobecności przy obiedzie, ale jadła wcześniej z panienkami, bo miała iść z niemi do lasu na dłuższą lekcję poglądową — meldował służący.

— Ot i masz z kobietami! — biadał zafrasowany gospodarz, ani jedna nam dziś nie dopisała, bo i moja pani jejmość wywędrowała do chorej matki.

Ano trudno! — musimy sobie jakoś sami radzić i zjeść na kawalerce, kiedy tak! —

Rozmowa niebardzo się kleiła, bo Mirski czuł się dotknięty i rozżalony. To też zaraz po obiedzie wymówił się bólem głowy, który jako skutek choroby odzywał się u niego przy każdem większem zmęczeniu.

Zamknął drzwi i, rzuciwszy się na kanapę, dał ujście silnemu zdenerwowaniu.

Zaczynały piętrzyć się przed nim trudności, których nie przewidywał z początku.

— Ona mnie traktuje istotnie jak obcego— myślał z goryczą.

Przypomniało mu się teraz groźne memento w rannych słowach Reny, gdy zgóry obiecywała pomoc w postawieniu ich stosunku na stopie obcej...

— Dotrzymała słowa... bez serca... — podniecał się. Ubodła go i mocno bolała tak jawnie okazywana obojętność Reny, po niewidzeniu go tyle miesięcy, w których walczył ze śmiercią!

— Stanowczo jest bez serca! Ale w takim razie, co znaczyło tajemnicze pielęgnowanie mnie w czasie choroby?

Zagadką jest dla mnie ta kobieta!

Urocza, a niedostępna jak białe śniegi na szczytach gór!...

Przecież to jednak moja żona! A znam ją tak mało! —

Buntował się i wzdychał jednocześnie, bo egoizm, z którym teraz dopiero pożądał Reny całą potęgą męskiej natury, nie zaciemniał mu jednak zdrowego sądu do tego stopnia, by nie przyznać, że to pożądanie i ocena zalet Reny, — przyszły nieco zapóźno..

O wściekłość ku sobie samemu przyprawiała go myśl, że Renę może utracić na zawsze — teraz.. choć dawniej, gdy ją posiadał, jakże mało dbał o to!

— W każdym razie — rezygnować tak łatwo nie będę! — zawyrokował. Na to nie pozwala mi ani duma... ani obowiązek!

Ten biedny gdzieś w najciemniejszy kąt sumienia zepchnięty i zapomniany obowiązek, miał więc teraz odegrać rolę pierwszorzędną!...

Na szczęście wzmacniający sen przerwał młodemu człowiekowi wątek smutnych refleksyj...

Po dwóch godzinach solidnego wypoczynku, Mirski wstał rześki i pełen promiennych nadziei na przyszłość.

Niestety! życie chciało widocznie wypróbować jego cierpliwość i wytrwałość!

Już w purpurę i fiolety ustroiły się wierzchołki drzew w Dobromilach, ziemia, dysząca żarem upalnego dnia, tęskniła skrycie do spoczynku, tuliły się do niej kwiaty sennie; po znoju dziennym wszystko zdawało się oddychać i cieszyć skończoną pracą.

Nagle dobiegł do uszu Mirskiego, który przez okno swojego pokoju przyglądał się krajobrazowi nowej okolicy, gwar zmieszanych dziecinnych głosików i sopran kogoś starszego.

Młody człowiek w lot się zorjentował, do czego mu pomógł widok nadchodzącej z oddali grupki, złożonej z Reny i jej dwóch młodziutkich uczenic.

Wyjść naprzeciw pod pozorem przechadzki — stało się namysłem minuty.

Za chwilę już spotykał rozbawioną gromadkę, przedstawił się grzecznie, pozorując samotny spacer oczekiwaniem pana domu i chęcią zwiedzenia rozległego dworu Na dnie tych słów kryła się

nadzieja, że dzieci z nauczycielką może zaproponują mu pomoc w tej wędrówce.

Jednak Rena nie zrozumiała, a może nie chciała zrozumieć intencji.

Dziewczynki dygnęły na powitanie, Rena podała mu rękę uprzejmie, ale obojętnie, nie podnosząc nawet oczu i natychmiast, gdy już byli blizko ganku, odezwała się ze swobodą, jakby uprzedzając wszelkie zamiary.

— Dziewczynki — pożegnajcie pana od razu, bo pójdziemy wprost do siebie na górę — i jakby usprawiedliwiając się, dodała:

Jesteście zgrzane i już trochę senne po tak długim spacerze. Mamusia każe przysłać kolację i niedługo spać pójdziecie...

— A pani? — zapytał Mirski, chwytając się słabej nadziei.

— Ja? — powtórzyła jakby ze zdziwieniem, że jej osoba może w grę wchodzić.

Ja zwykle z dziećmi jem kolację, a potem układam je do snu — odpowiedziała swobodnie, skinąwszy mu lekko głową.

Mirski stał zmieszany; to była już druga porażka i zawiedziona rachuba!

Perspektywa spędzenia reszty wieczoru bez nadziei zobaczenia Reny wydała mu się ciężką pańszczyzną... To też napróżno pani domu, która już wróciła od matki, wytężała całą umiejętność czarującej gosposi, by rozweselić gościa — nic to nie pomagało!

Cała atmosfera tego domu, pogodna i słoneczna usposabiała do moralnego wytchnienia, — ale nic nie zdołało rozproszyć zdenerwowania

Mirskiego; silił się na rozmowę, ale osiągał to z trudem... Myśl uporczywa zwrócona była stale w jednym kierunku...

— Tam na górze... dzieci już pewnie śpią... a Rena co myśli?

Gdyby był w innem usposobieniu — mógłby podziwiać mistrzowską politykę Reny i zastanawiać się, co w niej wyrobiło taką umiejętność— w danej chwili jednak odczuwał tylko nastrój dręczącej samotności i przygnębienia. Byłby dał pół życia za to, by móc w tej chwili zajrzeć swobodnie do jej duszy...

Koniec kolacji zapowiedział upragnioną chwilę spoczynku, wszyscy się pożegnali i każde poszło do siebie.

Gdy Mirski wszedł do pokoju, uderzył go mile czarujący widok, jaki sam wprost napraszał się do podziwiania.

Miał w swym pokoju niewielką werendę, zwróconą na ogród; stamtąd szły odurzające zapachy, kłócąc się o lepsze z wonią, w której tonął cały pokój.

Na środku na ładnym stoliku stał pęk świeżo rozkwitłych herbacianych róż...

Musiały być niedawno zerwane, bo jeszcze lśniły na nich gdzieniegdzie kropelki wody.

Te kwiaty wymownie świadczyły o czyjejś troskliwej pamięci...

Odczuł to widocznie Mirski i samotnem jego sercem targnęła jakaś tkliwość, nieokreślone uczucie opłynęło je ciepłą falą.

Załamał dłonie nad czołem i stał tak chwilę

w tej nocy, wysrebrzonej blaskami księżyca, parnej, kuszącej czarem upojnych snów...

I poraz pierwszy zbudziło się w jego duszy coś — co dotąd drzemało...

Jakieś tytaniczne wrzenia brały go w swe moce.. jakiś cud rodził się w głębinach ducha...

Zapatrzony w czarowne zjawisko tego wewnętrznego świtu, pochłonięty tem czemś, co mu wypełniało serce, choć nie umiał ani nazwać tego, ani nawet zrozumieć... stał bez słowa, lękając się, by nawet ruchem nie spłoszyć przedziwnego nastroju, co mu kołysał i uciszał mękę serca.

Było mu dobrze... słodko... rzewnie...

A wierzchołkami drzew muskał lekko powiew wiatru, igrał też z drobnemi obłoczkami, które, kryjąc się przed nim figlarnie, pląsały po ciemnobłękitnem sklepieniu, podobne białym puszystym łabędziom.

W tej gonitwie zakrywały chwilami księżyc, a wówczas podłużne cienie — jak widma przesuwały się wzdłuż krzewów.

Ślizgały się nawet po gładkiej powierzchni jeziora, które jak lustrzana tafla stało pośrodku ogrodu w obramowaniu wierzb, które, spuszczając wiotkie gałęzie, przeglądały się w przezroczystej wodzie.

Serce biło Mirskiemu przyspieszonem tętnem; odczuwał instynktownie, że ta cisza ma w sobie jednak życie, że w jej wnętrzu pulsuje jakaś nieznana. ale niespożyta siła i słyszy, jak cudownie grają tony melodyj lekkich, — do tchnień zaledwie podobnych...

Czuł w sobie młodość i tęsknotę, tęsknotę cichej, a pełnej tajemnych czarów letniej nocy...

Naprężone nerwy i zmysły czekały czegoś... Skupiał i wytężał wzrok, bo mu się zdawało, że tam... pośrodku rozstąpiły się paszcze kryształowych wód i z ich głębin wynurza się — cud — dziewica, zwiewna, kusząca postać rusałki...

A niżej w cieniu krzewów i drzew, w czarnych welonach nocy, kryje się sielanka kwiatów...

Purpurowa róża tuli się do strzelistego narcyza, szepcąc mu słówka miłosne, u stóp jej śnieżna puszysta lewkonja ognistemu kaktusowi zwierza swe serdeczne tajemnice...

Czasami ciche westchnienie podniesie pierś opuszczonego kwiatu...

W powietrzu szemrały rozkochane zaklęcia i słowa...

Mirski marzył... zasłuchany w tę muzykę tonów i szeptów miłosnych... Otrzeźwił go dopiero chłód późnej nocy. Jak odurzony zamknął okno, drzwi werendy i z sercem pełnem niewymówionych, ale drżących na ustach i sercu słów — położył się i usnął.

Nazajutrz i dnia następnego Mirski widział Renę tylko przelotnie. Zawsze była czemś zajęta, albo otoczona dziećmi i chociaż przy każdem widzeniu dla niego uprzejma, ale jednocześnie tak nieprzystępna, że Mirski tracił przy niej zupełnie równowagę towarzyską. Nie wiedział od czego zacząć rozmowę i najczęściej zmarnował cenną chwilę bez wypowiedzenia ważniejszego słowa.

Przeklinał swe niedołęstwo, ale, gdy znów nadarzyła się minutowa sposobność — chciał ją

wyzyskać tak niezręcznie i obcesowo, że Rena natychmiast mrużyła oczy z wyrazem lekko ironicznym, uśmiechała się kącikami ust i... znikała jak nieuchwytna zjawa.

Taka sytuacja wydawała się już nawet i Mirskiemu potrosze tragi-komiczną.

Sprawę gospodarską załatwił, odnowieniu przyjaźni z dawnym kolegą stało się zadość, powinien zatem był wracać. Niestety sprawa najistotniejsza, dla której głównie przyjechał, nie posunęła się ani kroku dalej, przeciwnie raczej zagmatwała się niemiłosiernie, bo Mirski zupełnie inaczej wszystko sobie planował. Z pewną złością musiał skonstatować fakt, że Rena — ta chodząca zagadka, opłątała go jakąś tajemniczą zaczarowaną siecią, z której daremnie próbował się wyrwać.

Pokrzyżowała mu wszystkie zamiary, ale minkę przy każdem spotkaniu miała zupełnie niewinną i jakby wcale nieświadomą tragicznej roli, jaką odgrywała. A Mirski irytował się wewnętrznie.

Przed każdą nową porą dnia przyrzekał sobie uroczyście, że musi gdzieś Renę spotkać, zdobyć chociażby na pół godziny i sprawę postawić wreszcie jasno i decydująco.

Jednak to postanowienie kończyło się, niestety, na przyrzeczeniach, bo zwykle widział Renę w takich okolicznościach, że niemożliwe było prosić o rozmowę. A gdy zobaczył ją choć na chwilę samą, to znów nie wyzyskał tego, zakłopotany jak student.

Wreszcie, trzeciego dnia pobytu w Dobromilach, postanowił za wszelką cenę, chociażby

przyszła konieczność zdradzenia incognita Reny, postarać się o swobodne z nią porozumienie się i wszystko na kartę postawić.

Chciał tego dokonać po południu i nazajutrz rano odjechać, o czem napomknął już nawet gospodarzowi.

Dębski z początku nie chciał nawet myśleć o tak prędkim wyjeździe, ciesząc się z góry uplanowanym projektem zatrzymania przyjaciela na cały tydzień, ale stanowczy i energiczny protest Mirskiego, zmusił zacnego człowieka do cofnięcia zamiaru, wziął natomiast od Mirskiego słowo, że ten znów wkrótce go odwiedzi i to na dłużej.

Stefan, nauczony smutnem doświadczeniem, że niebardzo może liczyć na łatwą zgodę Reny, wolał ubezpieczyć się na wszelki wypadek, więc zaproszenie skwapliwie przyjął.

Cały, przejęty misją przyszłą, okrążył ogród i wydostał się na otwartą ścieżkę, która prowadziła wprost do lasu. Tam chciał się zastanowić i skupić.

Młody człowiek przeczuwał, że czeka go ciężka walka, do której należało się dobrze uzbroić, a, wiedząc, że ma do czynienia z przeciwnikiem nie bylejakim, musiał też obliczyć swe siły, by poraz drugi nie narazić się na porażkę.

Szedł zatopiony w myślach, z głową spuszczoną. Nagle, jakaś zapora stanęła mu na drodze, aż zatrzymał się raptownie i głowę podniósł... Przed nim stała Rena, również jak on przestraszona nagłem i nieoczekiwanem spotkaniem. Oboje czuli się jednakowo zaskoczeni i zmieszani.

Rena do tego stopnia zapomniała swej zwykłej buńczucznej miny i odpornego zachowania, że poczęła nawet jakby się usprawiedliwiać.

— Wracam właśnie od karbowego; zanosiłam mu listy do wrzucenia na pocztę, bo jutro skoro świt wyjeżdża do miasteczka... — mówiła z oczami spuszczonemi.

Mirskiemu przypomniała tę dawną pokorną Renę i całe jego serce wezbrało nieznaną dotąd słodyczą. Śliczna była w tem zakłopotaniu; cała różowa i w różowej sukience wyglądała, jak delikatny kwiat...

I nagle ten chłodny racjonalista, wyszydzający każdy objaw sentymentalizmu, zapragnął ponad wszystko — przytulić do serca to śliczne stworzenie, aż, pełen tęsknoty i niedoznawanych dotąd uczuć i wzruszeń, wyciągnął ręce...

Ale ten ruch bezwiedny już wystarczył, by Renie wróciła równowaga, chociaż po falowaniu lekkiej sukienki na piersiach znać było, że i sama czuła się w silnem podnieceniu. Usunęła się i głosem, który się silił, by mieć brzmienie spokojne, zwróciła się do młodego człowieka.

— Zapewne pan trochę zabłądził w tej wiejskiej głuszy, ale zaraz pomogę; ot tam wije się ścieżka wśród pól, później kładka niewielka i już droga najprostsza do domu. — Pokazała ręką kierunek i, uważając obowiązek uprzejmości za spełniony, chciała ominąć młodego człowieka i oddalić się w odwrotnym kierunku, zapewne, by uniknąć możliwości wspólnego powrotu.

Mirski odgadł tę myśl w locie, więc, stając w poprzek drogi tak, że musiałaby go potrącić,

spróbował zaryzykować grzeczną prośbę tylko, by na razie młodej kobiety nie płoszyć.

— Czy nie moglibyśmy, Reno, tej krótkiej drogi odbyć razem? Nie chcę nawet przypuszczać, abyś dla uniknięcia mego towarzystwa, miała obierać dalszą i niewygodną ścieżkę, mając krótszą... — pytał i chciał zajrzeć jej w oczy.

Rena pokraśniała, widząc się odkrytą w zręcznym wybiegu i spuściła główkę tak nisko, że Mirski dojrzał tylko zarys delikatnego profilu i długie ciemne rzęsy. Nie dając jednak za wygrane i nie chcąc tak łatwo zostać pokonaną, próbowała się wykręcić.

— Droga, którą panu wskazałam jest istotnie krótsza... ale...

— ...Ale?... — powtórzył Mirski, ubawiony jej zakłopotaniem i aż nadto widoczną chęcią pozbycia się nieproszonego towarzystwa...

— Pomogę ci zatem... Ta droga jest krótsza istotnie... ale musiałabyś przejść ją... ze mną, wolałaś w takim razie — dłuższą i niewygodną wybrać, byle... beze mnie, czy nie tak, Reno?

Młoda kobieta nie odpowiedziała od razu, znać było, że waha się lekko, że walczy w niej może... wrodzona dobroć kobieca, ale, ponieważ i spryt stanowi jedną z wybitnych cech rodu niewieściego — wybrała przeto drogę dyplomatyczną, a w niczem nie naruszającą cnoty miłości bliźniego.

— Sądziłam, że... pan dziś wyjeżdża... więc będzie mu dogodniej wrócić krótszą drogą... odpowiedziała z prostotą.

Nie mogła jednak przekonać Mirskiego o czystości swej intencji, czego najlepszym dowodem było, że stał przybity, wpatrując się w Renę wzrokiem pełnym wyrzutu. Zmiękło jej przeto trochę serce i odezwała się już pojednawczo:

— Chyba pan nie chciałby robić szopki, żeby nas miano spotkać tak sam na sam?

— Ciekawa rzecz dlaczego? Czyżby to była zbrodnia, gdyby dwoje młodych ludzi spotkało się i wspólnie porozmawiali... o... —

— O ile do nas możnaby zastosować to porównanie — przerwała, lękając się znów jakiegoś niepożądanego słowa.

No i o ile takie spotkanie byłoby wynikiem harmonijnego zespolenia się pragnień — tych dwojga ludzi, — dokończyła i w piwnych jej oczach zamigotały dwie złote iskry przekory.

Mirski zaczynał niecierpliwić się na dobre. Wszak ta chwila była jakby niebu wydarta dla niego, by wreszcie zapadło decydujące słowo. Tymczasem Rena, świadomie, czy nieświadomie, igrała z ludzkiem sercem.

Był zły i w najwyższym stopniu rozdrażniony... to też głosem szorstkim i nakazującym zwrócił się do Reny, nieco przybladłej, bo kobiecym instynktem odgadła, że strunę może przeciągnęła zanadto.

— Reno! dość tej dziecinady i zabawki w „chowanego”.

Wiesz, że przyjechałem w sprawie, obchodzącej nas wspólnie chyba... i muszę ją rozstrzygnąć.

Jutro rano chcę wyjechać, ale przedtem muszę porozumieć się z tobą stanowczo i decydująco!

Patrzył na Renę groźnie z brwią ściągniętą. Rena bawiła się od niechcenia kwiatkiem zerwanym, nic nie odpowiadając. Jej młodziutka twarzyczka znów przyoblekła się w wyraz dziwnej powagi, a głos drżał lekko.

— Nie wiem o co chodzi? — wymówiła wreszcie z trudem.

— Jakto nie wiesz? — wybuchnął Mirski.

Wszak ci powiedziałem na wstępie, gdy spotkaliśmy się w salonie; mówiłem, że celem mego przyjazdu tutaj była chęć porozumienia się z tobą... chęć pojednania się — poprawił cieplej.

Wiem, ciągnął, że postąpiłem źle, karygodnie, żądając twego wyjazdu w ów nieszczęsny wieczór.

— Nietylko wyjazdu, ale zupełnego zerwania — poprawiła głucho.

— Tak, tak było!—kończył Mirski z wyrazem prawdziwego oburzenia, gdyż dopiero teraz oceniał całą potworność swego postępku.

Zdawało mi się wówczas, że jesteśmy małżeństwem niedobranem i każde będzie szczęśliwsze, odzyskawszy swobodę.

— Tylko zapomina pan o jednem, że takie postawienie sprawy równało się wtedy albo zepchnięciu młodego niedoświadczonego stworzenia w otchłań... niedoli, a może nawet występku, albo zlekceważeniu sakramentu, co także byłoby zbrodnią moralną...

Sądziła, że potrafi mówić spokojnie, ale przerachowała się z siłami; rana widocznie zbyt jeszcze była świeżą... W głosie Reny czuło się tłumione siłą łkanie.

— Nie pomyślał pan o tem, że, zrywając więzy sakramentalnej przysięgi, zrywa pan jednocześnie nici moich wierzeń i złudzeń młodości, odziera z nimbu ołtarz, postawiony w sercu, na którym się żarzył ogień najczystszej ofiarnej miłości...

Ufna i pełna wiary w słoneczną przyszłość, zostałam nagle i brutalnie ściągnięta z tych obłoków i postawiona wobec nagiej i bezlitosnej rzeczywistości, — taka młoda i naiwna! —

W miarę mówienia, a raczej wywoływania z pamięci obrazów, wstrząsających tragizmem, głos Reny nabierał brzmień twardych To już nie były wymówki słabej i bezbronnej kobiety, ale chłosta moralna, rzucona w twarz, jak rękawica, gorzki wyrzut za poniewieranie uczuć i godności kobiecej; za zgwałcenie praw, nietylko świętych nadprzyrodzonych, ale i tych czysto ludzkich...

Umilkła, topiąc przepaściste oczy w błękitnych niebiosach.

— Jakim cudem nie zginęłam, nie wiem, bo nie nauczono mnie, ani modlić się, ani czcić jakiejś świętości... piastowania w duszy ideałów...

Chyba jedynie duch matki czuwał nad niewinnością dziecka — sieroty! — wymówiła gorąco.

— Ile bólu, goryczy, zawodu zaznało jedno dziewczęce serce, o tem mogłyby i umiały coś

powiedzieć chyba tylko srebrne gwiazdy, co w noce bezsenne przyglądały mi się z litością...

To, do czego dziś doszłam, równowaga i niezależne stanowisko, — wszystko okupiłam kosztem męki i walki, więc nie dziw się, że cenię to ponad wszystko, — dodała już nieco łagodniej, ale z ogniem w oczach.

Mirski, oparty o pień lipy, słuchał z zapartym oddechem; pierwszy raz uchylał się przed nim rąbek duszy kobiecej, złamanej życiową tragedją.

To, co usłyszał, miało całkowitą słuszność za sobą, nie baśń to była z czarodziejskiego świata wysnuta, ale prawda żywa, karta z życia tętniąca bólem.... Drżał wewnętrznie od nadludzko hamowanych uczuć...

Przed wzrokiem jego stanęła krzywda niezaprzeczona... oczywista. A wobec tego, jak małem wydawało się to zadośćuczynienie, jakie chciał wzamian dać Renie, a w którem jego egoizm i wysokie o sobie rozumienie odgrywało dominującą rolę.

Czy wobec tego możliwą była naprawa stosunków, które dopiero teraz w świetle właściwem zobaczył?

A jednak niewolno mu uważać sprawy za przegraną, musi walczyć... musi zwyciężyć!

Chwytał się wątłej niteczki nadziei...

Może się da przejednać... może prośbom ulegnie... Szli teraz wolno, zatrzymując się chwilami. Rena już się nie broniła przed tem sam na sam. Czuła, że w duszy jej pękła jakaś struna, że niezabliźniona rana poczęła znów krwawić,

a zepchnięta na dno serca miłość do tego człowieka staje przed nią znów, jak widmo beznadziejnych marzeń.

Musiała mówić... musiała wyrzucić z serca gorycz, nagromadzoną podczas długich samotnych miesięcy.

Ale Mirski tego nie spostrzegał, bo cała jego uwaga zwrócona była w kierunku znalezienia jakiejś drogi wyjścia i jednocześnie drogi do serca Reny. Czuł, że tylko tam jeszcze mógłby się dla niego znaleźć ratunek.

— Reno, Reno! — wołał, przytrzymując z lekka jej ręce. Wszystko to, co mówisz, jest prawdą; uznaję, potępiam siebie może nawet surowiej, niż tybyś potrafiła to zrobić, ale czy błędu młodości nic już nie może naprawić?

Postąpiłem jak brutal, prawda, ale czy mnie nie usprawiedliwia, czy nie wpływa łagodząco na sąd o mnie, choćby ten argument, że uważałem nasze małżeństwo za niedobrane? —

— To nie argument i nie łagodząca okoliczność — odrzuciła młoda kobieta z głową wzniesioną. — To raczej furtka, wykręt, którym uspakajałeś swe sumienie.

Nie argument, dlatego, że nie zrobiłeś ani kroku w kierunku przekonania się, czy istotnie jesteśmy niedobrani.

Owinąłeś się w togę własnej doskonałości i postawiłeś na piedestale niedostępnej cnoty, patrząc z pewnego rodzaju politowaniem na otaczający cię szary tłum zwykłych śmiertelników...

Wśród nich ja byłam tylko przeciętną młodą dziewczyną dzisiejszego świata, modną, a może nawet i nieprzeciętnie pustą, nawet lekkomyślną, zatem nie interesowałam cię i nie dorastałam w niczem, ale... —

— Pozwól, że ja dokończę — przerwał gwałtownie, choć z bólem Mirski.

— Ale z mojej strony obowiązkiem było zniżyć się... mówiąc twoim językiem, zajrzeć do twojej młodej duszy i... może jakie ukryte skarby wydobyć z tych głębin.

Tak — niestety! masz rację, że mnie potępiasz! — Rena lekko się uśmiechnęła...

— Skarby jak skarby, w każdym razie cośby się wydobyło i życie można było zrobić znośniejszem. — Twarz miała uśmiechniętą, ale boleśnie, a oczy, w dal wpatrzone, były wilgotne.

— Dziwna rzecz!—snuła uparcie myśl, jakby zapominając na chwilę o obecności młodego człowieka, który stał wpatrzony w urocze zjawisko rozgorzałemi oczami.

— Gdy chłopiec dostanie nową zabawkę, to interesuje się przedewszystkiem z czego zrobiona, co jest wewnątrz? — i... najczęściej ją zepsuje, ale ciekawość zaspokoi; ciebie zaś żywa zabawka nie zainteresowała do tego stopnia, byś miał badać jej wnętrze, pobawiłeś się i... gdy znudziła... rzuciłeś..

Ale — na nieszczęście — ta zabawka miała duszę... — Rena mówiła już gorzko i łzy wielkie i przezroczyste, jak sznury brylantów, wolno toczyły się z jej oczu. Mirski porwał się, w samo serce raniony.

Mógł z pewnym spokojem słuchać wyrzutów, bo uznawał ich logikę, choć buntowała się duma i egoizm, ale łez znieść nie mógł! Zapominając przeto w podnieceniu, że byli na otwartem polu i mógł ich kto zobaczyć, Mirski przyklęknął, chwytając Renę za ręce. Ale na niej nie zrobiło to wrażenia, odsunęła się tylko o krok dalej, surowem wejrzeniem zmuszając Mirskiego do powstania.

— Ja też nie lubię komedji! — rzuciła dobitnie i krótko, a Mirskiemu zdawało się, że złośliwe echo przyniosło mu te same słowa niegdyś przez niego wymówione... gdy Rena płakała...

Wolno idąc, doszli wreszcie do furtki w ogrodzeniu, które stanowiło granicę między zabudowaniami folwarcznemi, a polem; rosła nad nią rozłożysta o spuszczonych kędziorach akacja, tworząc zaciszną altankę tak, że młodzi ludzie stali zupełnie niewidzialni i ukryci pod cienistym chłodem.

Mirski oparł się o zamknięte w tej chwili drzwiczki, czując prawdziwe zmęczenie; wyczerpało go parne powietrze, a zwłaszcza wstrząsająca rozmowa. Zdjął kapelusz, chłodząc nim rozpalone czoło.

— Usiądź tu, na tej darniowej ławeczce, Reno; jeszcze chwilę, prosił, widząc, że Rena zrobiła ruch jakby się chciała oddalić.

Ona również goniła resztkami sił, a widok czerwonej blizny na czole Mirskiego, której nawet bujna czupryna nie zdołała całkiem zakryć, bo napływała krwią przy większym wysiłku myśli lub zmęczeniu, napełniał ją niezrozumiałem roz-

rzewnieniem... Usiadła posłusznie, a tętna w skroniach pulsowały jej tak silnie, że aż rysami grubych żył znaczyły się na czole.

Jaskółki przelatywały nisko, muskając szare piaski drogi delikatnem popielatem podbrzuszem... Zdaleka dochodziło monotonne krakanie żab w stawie, powietrze gorące, bez wiatru zapowiadało burzę.

Mirski, oparty o sztachety płotu, patrzył bezmyślnie w dal... Aż nagle oderwał się jakby od jakiejś dręczącej go myśli:

— Reno — zapytał miękko, aż drgnęła, uderzona tym niezwykłym tonem — chyba temu nie zaprzeczysz, że gdyśmy się pobierali, nie kierował nami żaden interes, tylko szczere, gorące uczucie... prawdziwa miłość? — pytał, starając się natarczywie spojrzeć Renie w oczy ale ona, jakby przeczuwając, że to będzie zamach na jej najskrytszą tajemnicę w tej samej chwili głowę spuściła, podnosząc z ziemi jakiś kamyk. Mirski mógł tylko zauważyć przy zgięciu głowy młodej kobiety, że jej szyjka kształtna i gładka jak kość słoniowa pokryła się mocnym rumieńcem, który objął już i drobne uszka i sięgał pod gęstwinę kasztanowatych loków.

— Pewnie... no tak... byłam wtedy taka jeszcze młoda i niedoświadczona!—mówiła wahająco i zła na siebie za ten niesforny rumieniec, który czuła, bo już gorącym obłokiem okrywał całą twarzyczkę.

Mimo całą męską odwagę, serce tłukło się w piersiach Mirskiemu, gdy zaryzykował zuchwałe pytanie.

— A teraz? czy już ani iskierki tego uczucia nie potrafiłabyś z serca wykrzesać? — Głos jego nabrał innych brzmień: głębszy był, jakby spiżowy dzwon, a pełen hamowanej siły, co wszystko razem wprowadziło młodą kobietę w widoczny zamęt. Długie jej rzęsy zaczęły się nagle trzepotać, jak skrzydła tonących ptaków, a kąciki ust to wznosiły się na moment, to znów opadały, chwytając powietrze.

Na szczęście duże krople deszczu padać zaczęły jedna za drugą. Rena zerwała się spiesznie.

— Ach jak to już późno! Napewno pani Dębska niespokojna, bo myśli, że gdzieś zapóźniłam się z dziewczynkami... Muszę się jej pokazać... Zwróciła się do Stefana, i, czy zapominając się, czy pod wpływem jakiegoś wewnętrznego nakazu — podała mu obie ręce.

Pochylił się skwapliwie, z oczu strzelił mu śliczny blask szafirów, a usta przylgnęły mocno do białych rączek.

— Nie możesz tak odejść, Reno, to niemożliwe, wołał, tuląc gorąco malutkie jej rączki w swych dłoniach i przytrzymując z lekka, bo już mu się wyrywała, spłoszona gorącem wejrzeniem, jakiem ją oblewał.

Powiedz tylko jedno, czy wtedy w tę noc upiorną, gdy wyjechałaś, a mnie spotkał śmiertelny wypadek przy pożarze... a ty...— Zatrzymał się, przelękły nagłą zmianą zaszłą w ruchliwej twarzyczce Reny; zbladła silnie, a usta drżały jej jak u dziecka, co się wstrzymuje od płaczu.

— Więc Jacuś mię zdradził!...— Powiedziała to tak żałosnym tonem, że mu się żal zrobiło

gdyby nie strach, że mu się wymknie, byłby z rozkoszą pochwycił ustami dwie duże srebrne łzy, co już drżały na końcach rzęs...

— Jacenty wcale nie zdradził! — to ja sam intuicją odczułem twą obecność, Reno, perswadował, spostrzegając z radością, że iskierki uśmiechu już drgają w nieobeschłych od łez oczach młodej kobiety.

— Naprawdę odczułeś? — cała radość dziecinna odbiła się w tych dwóch wyrazach.

— Odczułem, a po odzyskaniu przytomności... tęskniłem, nie wiedząc, kto mnie pielęgnował w tych niebezpiecznych dniach... Więc powiedz, Reno, czy taki czyn heroiczny mógł być nie natchniony jedynie przez... miłość, potężną ofiarną miłość?... Ale skąd się ona mogła wziąć wówczas, w takiej właśnie chwili... to doprawdy dla mnie zagadka! —

— La donna è mobile! — mój panie — zadzwoniła kaskadą srebrzystego śmiechu — i.. żegnam, bo na mnie już czas wielki! — skinęła mu główką figlarnie i umknęła jak różowy obłoczek...

— Sen to, czy jawa? — Mirski podniósł rękę do czoła, trąc je niecierpliwie...

Kim jest ta kobieta? — naiwne dziecko, czy wytrawna kokietka? Wdzięk ma rusałczany!

Byłażby to ta sama Rena, — czy też jam zmysły postradał? —

Wolnym ociężałym krokiem wracał przez werendę i salon do swego pokoju.

Przy kolacji Rena się nie pokazała, chociaż byłby dał wiele, by ją zobaczyć wśród obcych. Jednak musiał tylko podziwiać takt młodej ko-

biety i subtelną intuicję w tym takcie, że nie chciała wtajemniczać osób trzecich w przeżycia wewnętrzne, których tylko sami powinni byli być świadkami. Pocieszał się nadzieją, że Rena, wiedząc o projekcie rannego wyjazdu męża— sama zechce z nim się zobaczyć i zakończyć wreszcie dotąd tak niefortunnie rozpoczynane rozmowy.

Przeto już wieczorem Stefan zapowiedział gospodarzowi swój wyjazd i pożegnał się z panią domu, dziękując serdecznie za uprzejme i tak gościnne przyjęcie; — wzamian został zaproszony przez nią nadal na dłuższe odwiedziny z całą wylewnością natury szczerej, co nie umie mówić pustych frazesów tylko to, co czuje.

Po rozejrzeniu się w rozkładzie jazdy obliczył, że skoro jedzie cugowemi końmi przyjaciela, to stanie prędko na stacji, a zatem ma jeszcze parę rannych godzin do rozporządzenia. Szczęśliwy traf sprzyjał mu także, bo Dębski, który się wybierał, by przyjaciela odwieźć do pociągu i zająłby mu pewnie rano dużo czasu swoją osobą, — został nagle wezwany w interesach do poblizkiego miasteczka, skąd najwcześniej mógł wrócić nazajutrz po południu, gdy tymczasem pociąg Mirskiego odchodził już koło dwunastej.

Zmartwił się tem prawdziwie poczciwy olbrzym i dopiero solenne przyrzeczenie, że Stefan w najkrótszym czasie znów odwiedzi przyjaciela— uspokoiło go i pozwoliło szykować się do podróży.

Ponieważ wieczór był śliczny, niebo usiane gwiazdami, powietrze świeże i rzeźkie po deszczu,

więc Mirski zaproponował Dębskiemu, że go podwiezie kawałek, a wróci pieszo.

Jakaś tęsknota nieokreślona brała jego serce w posiadanie... gnała go naprzód do tych pól pachnących, osrebrzonych cichą księżycową poświatą.

Pierwsze dni sierpnia już się znaczyły na niebie warkoczami mlecznych dróg, ale wieczór był ciepły i dziwnie jasny.

Po gorących uściskach i zapewnieniu, że Stefan nie każe długo na siebie czekać i zawita znów w Dobromilach, przyjaciele się rozstali. Dębski pojechał dalej, spiesząc, by jeszcze przed północą stanąć w miasteczku, a Mirski zawrócił do domu.

Przy serdecznej pogawędce z Dębskim nie zauważył, że przejechał spory kawałek drogi i teraz będzie musiał dobrze kroku przyspieszyć, by nie chwycić nocnej rosy i zdążyć wypocząć przed podróżą.

Jednak nie spieszył; — miarowym, ale dobrym krokiem, idąc nie męczył się, a w żyłach krew krążyła mu szybciej, czuł się rzeźkim i lekkim, — wszak dotąd miał sławę doskonałego piechura, a zaniedbał się nieco dopiero podczas długiej choroby. Ale za to myśli miał niewesołe! Załatwienie sprawy z Reną nie szło tak gładko, jak z początku sądził; nie posunął się ani trochę naprzód. Rena była stale dziwna, nieuchwytna, zmienna i kapryśna, a jednocześnie w tem wszystkiem taka bardzo kobieca...

Ilekroć Mirski konstatował podobne spostrzeżenia, zawsze wstydził się tego potrosze, bo

musiał już po raz drugi odważnie przyznać się do zupełnego analfabetyzmu pod względem... znajomości duszy ludzkiej, a zwłaszcza kobiecej... W tem sanktuarjum czuł się skończonym profanem; olśniewało go tylko bogactwo i różnorodność odcieni i subtelność tego nieznanego świata. On, purytanin z zasad, ktory dotąd patrzył na kobietę jedynie z dwóch punktów widzenia: kobieta — ideał niedostępny!... bielsza i wyższa ponad śnieżne górskie szczyty... albo:—kobieta— zbędne cacko do bawienia oczu, — on dzisiaj stawał się gorącym wielbicielem, ale więcej, — gotów był stać się apostołem kultu dla kobiety... i to nie tej — z obłoków utkanej, ale zwykłej, najbardziej ziemskiej...

Śliczne dziecko o smutnych wilgotnych oczach, pół naiwna rusałka, pół kobieta o przedziwnie złożonej naturze, świadoma swego czaru i władzy, dla Mirskiego, przy jego naiwnej donkiszoterji — wydawała się wcieleniem cudu...

Kobieta — to kaprys genjuszu! delektował się, chociaż jego przyjaciel — satyr, drugie „ja" serdeczne, drwił niemiłosiernie z tych platonicznych zachwytów Mirskiego.

Zwolnił kroku, bo już błyskały światełka dworu; minął główną drogę, ogrodzenie, otworzył pamiętną furtkę i wszedł do ogrodu.

Zdaleka bielił się okazały dom z szeroką werendą. Nad nią w górze strzelała wieżyczka z maleńkim ganeczkiem. Mirski domyślił się, raczej przeczuł, że ten pokoik był mieszkaniem Reny i mimowoli serce poczęło mu bić jakoś roz-

głośnie, szeroko, że tam, tak niedaleko, znajduje się jego skarb... niedostępny dla niego...

Żachnął się sam na siebie...

Ja marzycielem, wzdychającym do niewieściego ideału? Nowożytny trubadur... czy inny Romeo... szydził, ale nie mógł zaprzeczyć, że myśl o Renie była przyczyną szybszego tętna serca. Wytężał wzrok, chcąc przebić firanki okna i zajrzeć do wnętrza; niestety nie drgnęła zasłona, zahypnotyzowana żądzą Mirskiego, tylko przez delikatny muślin przebijało bladoróżowe światło. Widocznie i Rena czuwała...

Mirski obejrzał się ukradkiem, czy nie było gdzie świadka i cicho na palcach, z lękiem, by nie skrzypnął ostry piasek, oparł się o pień drzewa, wprost tajemniczo oświetlonego dziewiczego pokoiku.

Chciwy wzrok wpił w okno, brew mu się zsunęła, nadając twarzy orli wyraz. Wyglądał jak ptak, drapieżca, czyhający znienacka na ofiarę.

Wstrząsnął się wreszcie, lodowaty chłód śmierci zajrzał mu w oczy... Ciężko... sennie Mirski powlókł się do pokoju.

Minął sień, duży salon, jadalnię i znalazł się w małej sionce, z której jedne drzwi prowadziły do jego pokoju, drugie, zwykle zamknięte, teraz były szeroko otwarte i Mirski spostrzegł za niemi dosyć spadzisto prowadzące schody w górę na poddasze.

Niewielkiej orjentacji było potrzeba, by się domyślić, że, skoro dom był piętrowy, te schody

prowadziły do pokoiku, który zajmowała Rena, obok większego, gdzie spały dzieci.

I nagle Mirski zatrzymał się, ból tępy i głuchy chwycił go za serce, musiał przystanąć i oprzeć się o drzwi, inaczej byłby runął jak długi...

Stanął przed nim cały nagi bezlitosny dramat życia...

Wszak tam... o kilkadziesiąt kroków od niego .. przebywa jego... żona... jego własność, przyznana mu przez Boga—wobec Kościoła i ludzi... a tymczasem on nigdy bardziej obcy i daleki nie czuł się od niej, niż w tej chwili, bo dzieliła go przepaść — własnemi wykopana rękami...

— Szaleniec ze mnie! — jęknął, chwytając się za głowę. Rena nigdy mi nie przebaczy, a jeśliby nawet przebaczyła, to nie zapomni i... nie wróci, ... a bez niej nie wróci już do mnie złoty sen.. szczęścia.

Zatoczył się jak nieprzytomny i, ledwie posuwając nogami, dowlókł się do łóżka, na które padł nierozebrany. Wkrótce owładnął go sen gorączkowy; nerwy długo trzymane w napięciu — odmówiły posłuszeństwa...

Już słońce stało wysoko, oblewając pokój powodzią światła, gdy Mirski przetarł oczy.

Czuł się jak po ciężkiej chorobie; szum w głowie i zmęczenie we wszystkich członkach jasno dowodziły, że nie pomógł mu sen zwykle dobroczynny, raczej czuł się bardziej, niż w przeddzień zmęczony, dopiero wzmocnił go nieco prąd wonnego orzeźwiającego powietrza, co szedł z szeroko otwartego okna. Wreszcie kąpiel w zim-

nej wodzie dopełniła reszty.. Młody człowiek czuł się już zupełnie dobrze.

Zaraz na wstępie do jadalni spotkała go pani Dębska ze śladami łez na świeżej twarzy. Gdy Mirski, szczerze zaniepokojony, pytał o przyczynę — dowiedział się tylko tyle z pospiesznych słów:

— Proszę wybaczyć, ale muszę zaraz jechać ...przysłano po mnie konie z majątku mej matki.. widocznie jest gorzej... zaraz tam jadę, a pana serdecznie przepraszam, że go tak niegościnnie oboje opuszczamy. — W oczach miała łzy prawdziwego bólu.

Mirski skłonił się głęboko i obie ręce zatroskanej kobiety gorąco ucałował.

— Będę się czuł prawdziwie szczęśliwy, jeśli zechcecie uważać mnie za bliskiego, nie krępując się mną i nie licząc. — Młoda kobieta podziękowała mu uśmiechem, pełnym ciepłej życzliwości; Mirski wyprowadził ją, usadowił w powozie i pożegnał grzecznym ukłonem.

Gdy patrzył za oddalającą się, pomyślał, że zniknęła ostatnia zapora, co mogła być przeszkodą w dzisiejszych planach... na razie los mu sprzyjał!

— Z Reną zobaczyć się i rozmówić decydująco muszę! — podniecał się w postanowieniu.

Jeszcze było dość wcześnie, więc zapakował się, zamówił konie na godzinę oznaczoną i, posiliwszy się solidnem śniadaniem, a nie mając już do spełnienia żadnego obowiązku — poszedł do ogrodu, podziwiać starannie i umiejętnie prowadzone kwiaty.

Żywił na dnie serca skrytą nadzieję, że może jaki szczęśliwy, a pomyślny los sprowadzi mu Renę i wśród zieleni drzew mignie się jej jasna sukienka... Niestety pusto było... nikt nie mącił swobody samotnej przechadzki; tylko ptaki swawolniki siadały mu na drodze, i, przechylając szare łebki, ćwierkały ironicznie.

Mirski zaczynał się potrosze już niecierpliwić... Słoneczny zegar wskazywał dziesiątą, pociąg odchodził o pierwszej i pół, pozostawała więc, lekko licząc, przeszło godzina czasu do dwóch, dla załatwienia wszystkiego.

Gdyby miał do czynienia z kim innym, mógłby spokojnie czekać, ale z Reną nie był nigdy pewny niczego... Niepokój na dobre zaczął go ogarniać tem więcej, że cisza stawała się coraz bardziej beznadziejna; ani śladu ruchu... głosu... życia...

Wreszcie zaryzykował, wszedł do pokoju i zadzwonił.

We drzwiach stanął służący—pierwszy przyjaciel na wstępie do tego domu... Uśmiechnął się przyjaźnie i czekał na rozkazy.

— Proszę powiedzieć pannie Rożnieckiej, że chciałbym się pożegnać z panienkami, bo wyjeżdżam za godzinę. —

Powiedział to dość niedbale, jakby nie przywiązywał wielkiej wagi do słów tych.

Nagle przestraszył się...

Boże, jaki ja niezręczny — uderzył się ręką po czole. Rena gotowa pomyśleć, że ja chcę widzieć tylko „panienki“ i przyszle je same! Przerażony tą możliwością bez namysłu wychylił się

przez okno do służącego, który szedł przez dziedziniec.

— Proszę także powiedzieć panience — pannie Rożnieckiej — poprawił się, że i jej chciałbym złożyć uszanowanie przed wyjazdem.

Pokraśniał, jakby schwytany na gorącym uczynku i, zacierając ręce ze zdenerwowania, chodził szerokiemi krokami po pokoju.

Służący długo nie wracał, a Mirskiemu każda minuta zdawała się wiekiem. Nareszcie posłyszał kroki, a jednocześnie uderzenia własnego serca tak gwałtowne, że oparł się o okno, czując, że ani kroku nie postąpi.

W drzwiach ukazała się głowa służącego, wreszcie cała korpulentna postać.

— Panna Rożniecka poleciła przeprosić, że sama nie przyjdzie. Jedna z panienek jest trochę chora, a pani dziedziczki niema, więc pani nauczycielka nie mogłaby zejść — żeby pana pożegnać i ot to kazała doręczyć — kończył, podając na tacy zaklejony list, zawrócił i wyszedł cicho.

Mirski gorączkowo porwał kopertę — rozerwanie było dziełem sekundy. Na białej ćwiartce czerniło się tylko parę zdań:

„Umiej nie stracić z ócz światła do końca,
a śmierć ci będzie jako życie miła,
Mrok nie dlatego jest, że niema słońca
Lecz, że się ziemia odeń odwróciła". *Rena.*

Krew gorącą falą buchnęła Mirskiemu do głowy, tłocząc tętna, poczem zaczęła odpływać wolno, tak, jakby z nią i życie uchodziło. Serce

łopotało jak u schwytanego ptaka do klatki, przed oczami wirowały czarne płaty...

Schwycił się oburącz za głowę i zatoczył — szczęściem krzesło stało w pobliżu, więc przywlókł się doń, dysząc ciężko.

Oparty głową o miękką poręcz z trudem chwytał ustami powietrze... Po długiej chwili pot zaczął mu kroplami spływać z czoła i po twarzy; atak minął, pozostało po nim tylko bezgraniczne wyczerpanie.

Młody człowiek z trudem podniósł się z krzesła i położył na kanapie. Już w skroniach tętna pulsowały mu nieco wolniej, ale w uszach jeszcze huczało i oddech był ciężki!

Patrzył, jak przez mgłę, ale wśród niej ognistemi zgłoskami uwypuklały się tylko te wypisane słowa: ..„Mrok nie dlatego jest, że niema słońca, lecz, że się ziemia odeń odwróciła“ — i ten jeden krótki wyraz na końcu — Rena!

— Nic — ani jednej literki więcej!... biadał, leżąc z oczami przymkniętemi...

— O Reno! — to cios w samo serce zadany! Te słowa chyba sama Nemezis wypisała w księdze mojego żywota, w ks.ędze ludzkich przeznaczeń!...

Rozbitkiem jestem! bankrutem moralnym! — jęczał. Temi paru słowy Rena przekreśliła moje rachunki życiowe — nie zostawiła żadnej nadziei!

Ileż w tych słowach gorzkiej prawdy dla mnie, bo chyba tylko w ten sposób dadzą się zastosować:

Życie ci męczarnią nie dlatego, że siła wyższa włożyła ci brzemię na ramiona, lecz żeś sam

dobrowolnie czarę szczęścia od własnych ust odsunął... —

Powoli burza uczuć cichła; gdyby się łez nie wstydził — byłby płakał, ale uważał to za rzecz niemęską.

Trzeba było zatem na razie zęby zacisnąć i szykować się do podróży, w karby wziąwszy nerwy, bo na zegarze już dość późna wybiła godzina. Teraz nie liczył minut z lękiem, że ubywają, gotów był jednej chwili pożegnać te mury. Pogrzebał w nich nadzieję szczęścia... więc wiało od nich chłodem — pustką cmentarzy...

Gotów do drogi — zadzwonił; twarz jego musiała jeszcze nosić ślady przebytych cierpień i wzruszeń, bo nawet służący przestraszył się bladością Mirskiego, aż ten ostatni musiał go z uśmiechem upewniać, że nic mu nie jest.

Wsiadł do powozu — konie szarpnęły, mknąc wyciągniętym kłusem...

Mirski siedział z opuszczoną głową... Nagle odwrócił się, by ostatniem wejrzeniem objąć miejsce swej katuszy... Wtem... omamienie zmysłów, czy zwodnicza, a czarodziejska fata morgana?

Na ganeczku u szczytu wieżyczki... jakaś wiotka postać... różowa w blaskach rozgorzałego słońca... Ręce wyciąga... a może to tylko skrzydła motyle!... mienią się w słońcu tonami alabastru.

Z oczami zapatrzonemi w świetlaną bajkę, co ją wyczarowała potęga rozbudzonych uczuć,— Mirski pędził w dal... pełną zagadek.

Pociąg już stał na stacji, więc posługacz wyjął spiesznie walizkę z powozu, kupił bilet i zaledwie zdążył zatrzasnąć drzwi przedziału

drugiej klasy, gdy kłęby pary i tępy stukot zapowiedziały ruszenie kolosa.

Mirski, zmęczony tym pośpiechem, oparł się o miękkie poduszki i pogrążył w słodkiej zadumie.

Oderwany od ziemi utonął całkowicie w zaświatach...

Z początku nie myślał nic... odpoczywał w bezwładzie zupełnym... ale stopniowo zaczęła się ta próżnia wypełniać obrazami... Najprzód nieuchwytne... później coraz wypuklejsze... wreszcie proces myślowy znów się rozpoczął i Mirski wrócił do przerwanych chwilowo, a dręczących dociekań...

— O czem myślała Rena, pisząc mi te słowa? — wyjął z bocznej kieszeni białą, drobnem pismem skreśloną kartkę...

„Umiej nie stracić z ócz światła...

Jaka w tem myśl ukryta? — napróżno dręczył głowę rozwikłaniem tej trudnej zagadki.

— Światło! — ale gdzie? — w czem?—jakie?

Zakrył dłonią oczy, aby uwagę skupić i wolę wytężyć w jednym kierunku... zrozumienia.

Czyżby?... A może.. w Bogu... w krzyżu?— przyszła mu znagła myśl.

— Rena tak mężnie nauczyła się go dźwigać... przeze mnie!.. myślał z goryczą.

Ale skąd? Wszakże Rena nie była pobożną— przynajmniej nie okazywała tego nazewnątrz,— raczej powiedziałbym, że raził mnie w niej brak religijności.

Nagle przypomniała mu się scena z opowiadań Jacentego... On nieprzytomny, a obok w pokoju Rena, leżąc krzyżem, wymadla mu u Boga

wyzdrowienie.. A zatem serce kobiety zdolne jest do takich szczytów!

Dziwne skojarzenie wspomnień... teraz.

Czyżby zatem i Renę należało dołączyć do galerji takich typów, jak: Jacenty, doktór, Jagna?

A dlaczego nie spostrzegałem tego wszystkiego wcześniej, przed katastrofą?

Nie! to niemożliwe, aby Rena i dawniej była taką?... Więc? — więc co ją zmieniło? — Czy moja krótkowzroczność, a raczej zasklepienie się w sobie zamykało mi oczy, albo istotnie zmieniła się dusza Reny? — Kto, albo co dokonało tego cudu? — zawołał prawie głośno, zapominając, że jest w wagonie.

— Miłość i cierpienie! — Stefan obejrzał się trwożliwie. Te dwa wyrazy posłyszał tak wyraźnie, tak dobitnie, że gotów był przysiąc, że wymówiły je czyjeś niewidzialne usta, i zaraz dziwny spokój rozlał się w jego duszy...

Zmrużył oczy przed tą pustą, ale przesyconą promieniami słoneczną przestrzenią, co roztaczając się przed jego wzrokiem, lśniła wszystkiemi barwami tęczy.

Dusza olśniona temi blaski nurza się w nich, jak w złotej topieli...

Zmrok tymczasem nadchodził... konduktor zapalił lampę u stropu; kurjer pędził na oślep, mijając słupy przydrożne, drzewa i krzewy...

Mirski drzemał, ukołysany monotonnym ruchem wagonu. Nagle pociąg zatrzymał się tak raptownie, że wstrząsnął całem potwornem cielskiem kolosa... Drzwiczki, szarpnięte energiczną

ręką otworzyły się na całą szerokość, wpuszczając nieco zgarbioną postać Jacentego...

— Paniczu! — zawołał — toć to już Zalesin..

Ocknął się Mirski, szczerze ubawiony swą niewczesną drzemką, a głównie przerażoną miną Jacentego. Porwał się szybko, schwycił walizkę i zaledwie zdążył zejść ze stopni, pociąg ruszył dalej, sapiąc i buchając kłębami brudnej pary.

Wszystko to było tak szybkie, że Mirski dopiero, gdy stanął na peronie, — spostrzegł i zorjentował się, że to Jacenty wydobył go z kłopotu przespania swojej stacji.

— Poczciwy kochany stary! — witał go Mirski z rozradowaną twarzą, tuląc się ciepło do staruszka. — Jaki miałeś genjalny pomysł, żeś sam przyjechał po mnie. Tak mi już brakowało waszych serc zacnych...

W tym jednym okrzyku Jacenty odczuł jakąś nutę bolesną, jakby krzywdę wyrządzoną temu chłopcu, którego kochał miłością ojcowską. Tak się cieszył nadzieją, że spotka ulubieńca pełnego radości i rozpocznie się nowe życie w Zalesinie, tymczasem jedno spojrzenie rzucone na zmięte rysy młodego człowieka i wyraz jego rozgorączkowanych oczu, wystarczyło Jacentemu, by sercem odczuł troskę, czy nawet ból serdeczny, co gnębił jego chłopca. Westchnął więc tylko i pomagał Mirskiemu usadowić się w powozie, otulając mu troskliwie nogi.

— Wiesz, stary, że czuję się jakoś kiepsko — oznajmił Stefan, gdy minęło chwilowe podniecenie, wywołane powitaniem. W istocie wygląd

Mirskiego pozostawiał wiele do życzenia; oczy miał szkliste, ręce rozpalone i suche.

— Ano — biedaku — przygniotło cię nieszczęście! — Ale to sobie zapamiętaj, że póki bodaj iskra życia tli jeszcze w człowieku, to wątpić mu niewolno... jeszcze przyszłość w jego rękach!

— Przyszłość? — uśmiechnął się boleśnie chory — dla mnie ona jest już zapisaną kartą... odczytałem do końca!... To czara goryczy, przepełniona po brzegi, z której nie oszczędzono mi ani kropelki...

— Więc znieś po męsku! — Zresztą — machnął ręką lekceważąco. — Młodość i czas... to niezawodni lekarze, jak się wezmą za ręce, to i rany uleczą...

Próbował wywołać w chorym reakcję, ale twarz miał zatroskaną, a oczy śledziły z niepokojem rysy twarzy Mirskiego, wykrzywione bólem. Reszta podróży minęła w milczeniu... nikt nie miał swobodnej myśli, aby je przerywać.

Do Zalesina dojechano już koło późnego wieczora. Mirski, czując się bardzo zmęczony, położył się zaraz. W nocy temperatura znacznie mu się podniosła, a rano, gdy doktór przyjechał,— skonstatował silny wstrząs mózgowy.

Jednak młody organizm zwyciężył chorobę; po dziesięciu dniach gorączka opadła, zostało jednak takie wyczerpanie, że Mirski wyglądał jak cień i chodził przy pomocy laski.

Jacenty kręcił głową; nie był zadowolony, spodziewał się lepszego rezultatu z wizyty w Dobromilach; przypuszczał, że będzie trudno,

ale nie tak, jak teraz widział. Ż gorączkowych słów Mirskiego wywnioskował, że sprawa pogodzenia się z żoną nie została pomyślnie załatwiona, przynajmniej na razie. Niepokoił go także stan psychiczny Stefana, — dziwna apatja, jaka go ogarnęła. Siadywał godzinami na jednem miejscu, wpatrzony w przestrzeń bezmyślnie; nic go nie interesowało, nie zajmowało, nie brał żadnego udziału w życiu

Jacenty chodził parę dni zadumany, coś knując, wreszcie zdecydował się napisać do Reny.

W jaki sposób ona na to zareagowała, jakiego użyła wybiegu dyplomacji, iście kobiecej,— zostało tajemnicą, w każdym razie kilka dni później, Mirski otrzymał zaproszenie od przyjaciela, by koniecznie przyjechał spędzić z nim conajmniej tydzień czasu, bo żona z racji choroby matki, często bywała poza domem.

Młody rekonwalescent przyjął propozycję z całą skwapliwością; odrazu wstąpiła w niego werwa, gdzieś zniknęło znużenie i apatja — czuł się zupełnie zdrowy.

Jacenty uśmiechał się pod wąsem i ręce zacierał, a Mirski z gorączkowym pośpiechem szykował się do podróży.

Jakkolwiek wzdychał skrycie, spoglądając rozżalonym wzrokiem na portrecik Reny, który od pewnego czasu urósł w zaszczycie, czy godności, bo z czeluści biurkowych... wydostał się na powierzchnię i stał całkiem przykładnie, nawet otoczony kwiatami, — to jednak tym razem jechał spokojniej usposobiony, bo już mniejwięcej przypuszczał, co go spotkać może. Mimo to, gdy

dojeżdżał, jakaś troska znów przytłoczyła mu piersi... lęk przed czemś nieznanem... a rozkosznie drażniącem; czuł w powietrzu jakby zapach prochu i groźne oblicze niebezpieczeństw, — a to go podniecało w chęciach do walki...

Jakież było przeto jego radosne zdumienie, gdy, dojeżdżając do dworu w Dobromilach, spostrzegł jasną sukienkę Reny i ją samą, zatopioną w żywej rozmowie z dziewczynkami, idącą z niemi wzdłuż drogi, którą miał zaraz minąć.

Bez namysłu wyskoczył z powozu, witając gorącym uściskiem dłoni mocno zmieszaną kobietę. Uśmiechnęła się jednak łaskawie, co wziął za dobrą wróżbę na wstępie wizyty.

Gdy począł kreślić przebieg swej dziwnej choroby, oczy Reny spotkały się na jedno mgnienie ze wzrokiem mówiącego, a wtedy padł z nich błysk niezrozumiały... ciepły, srebrzysty.

Mało się odzywała i nie pytała o nic, ale sam ten fakt, że nie uciekała jak spłoszona sarna, napełniał Mirskiego niewymowną radością...

W takiej harmonji doszli prawie do dworu, gdzie na turkot powozu, bo o kilkadziesiąt kroków od domu wszystko czworo wsiadło, wybiegł Dębski, witając przyjaciela z całą żywiołową radością.

Te trzy dni, jakie Mirski spędził w Dobromilach poprzednio, dowiodły obu młodym ludziom, że serdeczne węzły, łączące ich na szkolnej ławie, były oparte na głębszych podstawach i takiej przyjaźni, co to umie wspólnie się cieszyć i wspólnie płakać.

Dębski — żywy i zapalny entuzjasta, znalazł w spokojnym i zrównoważonym Mirskim doskonałe dopełnienie i uzupełnienie.

Jedyną może czarną chmurą na tle tej przyjaźni, — była tajemnica, jaką się Mirski otaczał w stosunku do swego prywatnego życia.

Mirski odczuwał instynktownie, że dyskrecja przyjaciela była jedynie skutkiem jego milczenia, a nigdy brakiem zainteresowań. Cierpiał nad tem, że jego szczerość nie mogła być całkowitą, ale rozumiał i to, że tajemnica była konieczną ze względu na Renę.

Nie zapraszał Dębskiego do siebie, bo miał wrażenie, że wówczas z każdego kąta wypełznąć mogła ta fatalna tajemnica.

Znając bezkompromisową etykę życiową przyjaciela, Stefan mógł liczyć napewno, że ten go potępi bez wahania, chociażby nawet serce w tym sądzie odgrywało znaczną rolę.

Szczera i nawskroś prawa, a prostolinijna natura Dębskiego, nie znosiła najmniejszego odchylenia od moralnych zasad życiowych, więc o żadnym w tym kierunku kompromisie nie mogło być mowy — czyli w stosunkach obu przyjaciół musiało na razie pozostać status quo, a jedynie jakiś traf szczęśliwy mógł ten wzajemnie im ciążący przymus zamienić na stosunek, pełen szczerości i prostoty.

Po przywitaniu się z domownikami, Mirski zajął odrazu dawny swój pokój, pełen wspomnień i tajemniczej melancholji.

Wrażenie to potęgowała śliczna wiązanka świeżych kwiatów, królująca na stoliku, w swym

pełnym uroku majestacie barw i artystycznego piękna. Wyczuwało się w tem czyjąś pamięć — nieuchwytną, a subtelną.

Mirski umyty i wyświeżony zjawił się w jadalni, oświetlonej dużą lampą. Ten pokój, urządzony z czysto kobiecym wdziękiem i wiejską prostotą, tchnął przedziwną harmonją; wiało od niego ciepłem i jasnością: — idealne ognisko domowe, w którem płonął wieczyście znicz miłości i wzajemnego zrozumienia!

A Mirskiego ten widok dziwnie rozmarzył... Dosięgnął on właśnie tego stadjum męskiego wieku i dojrzałości, gdzie ustalają się poglądy i pewien sybarytyzm życiowy wymaga radykalnej zmiany. Wówczas mija już u mężczyzny burza pierwszych młodzieńczych, wiośnianych uczuć, a następuje okres lata, w którem tęskni on i myśli już o założeniu rodzinnego gniazda.

Niestety w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek rzucił się w oczy Mirskiemu z całą brutalną jaskrawością — kontrast jego samotnego życia z ciągłym wyrzutem własnej winy, w porównaniu do pogodnej atmosfery małżeńskiego życia tych dwojga jego przyjaciół, którym nauczył się zaglądać w głąb duszy.

Wprawdzie oko badacza krytyka, dostrzegało tam nieraz pewne rysy, braki, czasami nawet chwilowe zgrzyty, ale jednocześnie życiowe doświadczenie myśliciela musiało przyznać, że wszystko to opromieniała szeroko ujmująca, wyrozumiała miłość, w bojaźni Bożej biorąca początek, a tak słoneczna, że wszystkie cienie wchłaniała, roztapiając je i unicestwiając w sobie.

Patrząc na tych dwoje ludzi, Mirski przekonywał się dobitnie, że małżeństwo może dać szczęście i właśnie jego sakramentalność jest probierzem i niejako stróżem praw i bezpieczeństwa tego szczęścia.

On zlekceważył ten Boży pierwiastek w małżeństwie, jego charakter nadprzyrodzony zepchnął na plan ostatni, wogóle nie brał go w rachubę... i nic dziwnego, że ule iało szczęście, jak spłoszony ptak, a odarta z wszelkiej nadziei rzeczywistość, drwiła sobie teraz z niego bez miłosierdzia.

Przygniatała go ciężka troska.

Naprożno gospodarz wyszukiwał tematy do dyskusji, a tkliwe kobiece serce pani Dębskiej, odczuwając intuicyjnie przeżywaną wewnętrznie walkę w duszy Mirskiego, starało się okazać mu całą serdeczność i ciepło bratniej duszy.

Nawet srebrzyście dzwoniący śmiech Reny, co dolatywał z drugiego pokoju, gdzie bawiła się z dziewczynkami i skąd zaraz przyjść miała na wspólną kolację, nie zdołały rozpędzić chmur z czoła biedaka, który w tej harmonijnie dobranej i dostrojonej gromadce, odczuwał dotkliwie swoje sieroctwo.

Ulitowała się wreszcie nad nim sama pani Dębska i wyprawiła na wczesny spoczynek, usprawiedliwiając marsowy wygląd gościa zmęczeniem po podróży i niedawną chorobą. Tę chorobę Mirski sam opowiedział, podkreślając umyślnie moment wyjazdu i wstrząśnienie moralne, jakiego wówczas doznał. Nikt z obecnych nie domyślił się nawet tych przejść, ale nadzieja zemsty nad Reną za jej pożegnanie Stefana nie pomyliła,

bo leciutki jak obłok rumieniec powlekł delikatną twarzyczkę młodej kobiety, że stała się zupełnie do dojrzałej brzoskwini podobną.

Dni w Dobromilach szły jednostajnym trybem. Przy rannem śniadaniu Mirski nie widywał Reny, gdyż zwykle jad ła z dziewczynkami i zaraz potem odbywała z niemi lekcje. A wczesne godziny Mirski poświęcał rozmowom z przyjacielem na temat gospodarstwa. Dochodziło czasami do żywych dyskusyj, na ten temat, bo obaj panowie należeli do rzędu wzorowych gospodarzy i to nowatorów i każdy chciał przekonać i nagiąć drugiego do swoich spostrzeżeń, a nieraz i wynalazków. Pogawędki, rozpoczęte w gabinecie gospodarza, przy doskonałych cygarach, kończyły się najczęściej spacerem w pole i wspólnemi zachwytami nad pięknością wiejskiego krajobrazu.

Dopiero donośny gong przerywał dysputy i zbierał wszystkich w obszernej jadalni, pełnej kwiatów i słońca. Wówczas Mirski poddawał się heroicznej próbie swego szczęścia do kobiet... naturalnie jedynie w stosunku do córeczek przyjaciela; mógł też stwierdzić z radością, że ta nowa rola udaje mu się znakomicie z wyjątkowem powodzeniem. Dziewczynki były milutkie, roztropne i bardzo dobrze wychowane. Taktowne ich prowadzenie przez Renę, wzbudzało podziw Mirskiego.

Zdobycie serc jej młodocianych pupilek było zręczną strategją Mirskiego, by jak najczęściej spotykać Renę i zamieniać z nią, choćby kilka słów obojętnych.

Ale chwilami logika faktów wykazywała Mirskiemu z całą bezlitosną prawdą, że te zabiegi nic go jednak nie zbliżyły do Reny, że zaledwie z małą różnicą pozostawali na tej samej obcej stopie względem siebie.

Rena nie unikała męża, przeciwnie, brała udział we wspólnej rozmowie, nawet niekiedy żartowała, ale poza tem nic, na czemby Mirski mógł chociaż wątłe budować nadzieje; rozmowa i stosunki wzajemne młodych ludzi nie wystąpiły ani na chwilę poza granicę zwykłych towarzyskich. Dla kogoś, wtajemniczonego w życie zakulisowe tych dwojga, sytuacja mogła się wydawać co najmniej śmieszną, jeżeli nie tragiczną nawet, gdy oboje tak blisko, tak nierozerwalnie ze sobą związani, — grali komedję obcych względem siebie.

Po południu grywano zwykle w krokieta lub tennisa. Mirski — gimnastyk doskonale wyćwiczony, i we wszystkich grach towarzyskich, szermierz znakomity, tutaj umyślnie nie uwydatniał swoich talentów. Wolał być nawet haniebnie pobity, byle widzieć słoneczny uśmiech Reny, jej oczy niewinne, rozbłysłe jak gwiazdy i pełne iskier figlarnych, gdy Mirski brał się do rzeczy niezgrabnie i pozwalał dzieciom wygrywać. Wkrótce ta ostatnia okoliczność zrobiła go towarzyszem zabaw tak pożądanym, że nie mógł się dzieciarni opędzić.

Nagle w tę spokojną atmosferę wpadł ton wesela i bujnej żywiołowej młodości. Zupełnie niespodzianie przyjechał najmłodszy brat pani Dębskiej, Karol Waręski, „wujcio Karolek“ jak

go dzieci nazywały, student medycyny ostatniego kursu, pieszczoch całej rodziny.

Znacznie młodszy od pani domu, przez nią wychowywany od dziecka i także kochany serdecznie przez pana Dębskiego.

W Dobromilach czuł się jak w domu, gdyż spędzał tam zwykle święta i wakacje; teraz przyjechał w porze, gdzie się go najmniej spodziewano. Po ciężkiej grypie pozostały mu pewne ślady w płucach, więc doktór, u którego pełnił funkcje sekretarza i asystenta w szpitalu, wysłał go gwałtem na wieś do siostry, by tam wydobrzał, zwłaszcza, że na wiosnę czekały go poważne egzaminy.

Chłopak odrazu zawładnął wszystkimi, bo tyle czaru niefrasobliwej młodości roztaczał koło siebie, tak promieniał weselem, a zdrowie moralne tak tryskało z jego szczerych, jak niezabudki błękitnych oczu, że istotnie trudno mu było się oprzeć. Nawet Mirski, który w pierwszej chwili zmierzył go niechętnym wzrokiem, wkrótce uległ ujmującej prostocie młodego człowieka, który uosabiał typ tej radości życia, co w młodości „górnej"... bierze swe źródło.

Prędko się zorjentował, że nowy przybysz nietylko nie przeszkodzi mu w mozolnej pracy... pająka, który swą nicią chce ofiarę omotać, a potem ją porwać... ale nawet może mu i pomóc, bo chłopak stał się wnet bożyszczem dzieci i te absorbowały go do tego stopnia, że obejść się bez niego nie mogły ani chwili.

Ta okoliczność otwierała przed Mirskim nowe horyzonty... pochwycenia bodaj jakiejś chwilki

samnasam z Reną, czego dotąd nie udało mu się osiągnąć, mimo całą przebiegłą dyplomację w tym kierunku rozwiniętą. I wszystko mogło się jak najlepiej ułożyć, gdyby nie chochlik, a raczej zdradliwy, a psotny Kupido... który na przekorę postanowił wszystkim figla spłatać i szyki popsuć...

Oto argusowy wzrok Mirskiego począł coraz częściej chwytać w przelocie zachwycone spojrzenia młodego studenta, rzucane w stronę Reny.

Chłopak żywy, o zapalnym temperamencie mógł łatwo rozdmuchać w sobie iskrę w płomień... a wtedy co? —

Mróz przeszedł po kościach Mirskiego...

— Wtedy Rena mogłaby być dla mnie straconą bezpowrotnie!...

To zupełnie możliwe, bo skoro Rena otoczyła się tajemnicą, to każdy mógł śmiało, nietylko patrzeć na nią... ale nawet sięgnąć, jak po wolną..

Z takiej sytuacji Mirski zdawał sobie sprawę z całą trzeźwością i poprostu włosy mu chwilami dęba stawały na myśl, że podobna tragedja pomyłek mogła mieć tu miejsce doskonale, bo jeden fałszywy krok, staje się niekiedy moralną przyczyną całego szeregu najhaniebniejszych konfliktów.

— Na honor! wytworzyła się sytuacja w najwyższym stopniu zawikłana, a ja ani mogę ani umiem jej rozplątać, bo, niestety, moje stanowisko względem Reny nic się nie zmieniło... rozważał, chodząc nerwowo po pokoju.

Rena nie widzi, czy też udaje, że nie widzi mojego zainteresowania, nie unika mego towa-

rzystwa, ale też go i nie szuka... ot poprostu lekceważy mnie... Czasami błyśnie mi jakiś cień nadziei... to znów czarna noc zwątpień otacza...

I ktoby uwierzył, że to przecież o własną moją żonę chodzi! — Niesłychane!...

Nie wierzył, aby był czemś dla Reny, a takie przeświadczenie, jeśli miało istotnie realną podstawę, rujnowało przecież cały gmach najmisterniej ułożonych planów...

A życie w Dobromilach płynęło tymczasem barwne, a beztroskie. Każdy niemal dzień utwierdzał Mirskiego w przekonaniu, że się nie mylił w swych podejrzeniach, bo istotnie uczucie, poczęte w sercu młodego studenta — jak objawienie cudu, potęgowało się z każdą chwilą. Co prawda, było to rzeczą zupełnie naturalną, a sprzyjające okoliczności jeszcze dopomagały, by miłość zanuciła najcudniejszą melodję triumfu w sercach tych dwojga, równie młodych, i jakby stworzonych dla siebie.

Mirski odczuwał to instynktownie i dlatego przechodził ciężkie chwile; mizerniał, nocami trawiła go gorączka, a w dzień czuł się znużony i apatyczny. Po raz setny zadawał sobie pytanie, co go gnębi.

— Czyżby podrażniona miłość własna miała być przyczyną moich obecnych cierpień moralnych? — A może raczej przygniata odpowiedzialność za karygodne zlekceważenie świętości obowiązków?...

Ale odpowiedzi nie było; tylko ciche bezsenne noce i otaczająca go samotność były świadkami tych zmagań...

— A może gdzieś na dnie zagrzebana w popiołach... iskierka niewygasłej ku Renie miłości, upomina się teraz o swe prawa, teraz, gdy kto inny chciałby ją sobie przywłaszczyć?... snuł myśl za myślą...

Mirski był przekonany, że musi nastąpić coś, co dotychczasową ciszę zamąci i albo gromem w niego uderzy, albo życiu jakiś inny nada kierunek, coś zmieni radykalnie...

A Rena — jakby zupełnie obca tym powikłaniom, igrała z niebezpieczeństwem, niby naiwne dziecko, lub przebiegła kokietka, pewna swego czaru i jego potęgi.

Wprawdzie nie szukała specjalnie towarzystwa młodego studenta, ale i z tem się nie kryła, że je lubi, bo chłopak umiał wszystkich zająć i zainteresować tem, co chciał.

Mirski jakkolwiek wytrawny i wykwintny salonowiec, — tu na tle pól i lasów istotnie bladł w zestawieniu z tą bujną żywiołową naturą.

Pewnego popołudnia wybrano się na wioskę, gdzie młody Waręski chciał paru chorych odwiedzić. Tymczasem w jednej chacie okazała się potrzeba natychmiastowej operacji u pewnej chorej kobiety, której wrzód w gardle groził śmiercią.

Student zdecydował się momentalnie, bo na namysł nie było czasu i przystąpił do dzieła z całą energją i przytomnością umysłu. Narzędzia zawsze nosił przy sobie, gdy się wybierał na wieś, ale była mu koniecznie potrzebna jakaś pomoc, więc niespokojnym wzrokiem oglądał się po izbie, czy kogo nie dojrzy. Ale Rena, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, prędka jak błys-

kawica, znalazła się przy nim i bez słowa, szybko, a umiejętnie zabrała się do roboty, pomagając jak doświadczona siostra miłosierdzia.

Wszystko to trwało zaledwie kilka minut i zanim Mirski, który został z dziewczynkami przed chatą, zdołał się zorjentować, oboje młodzi, trochę przybladli z wrażenia, ukazali się na progu, promieniejąc radością, bo pacjentka była uratowana.

— Ani przypuszczałem, że z pani, panno Reno, taki dzielny asystent! — mój doktór profesor byłby zachwycony i chybaby panią stąd porwał, -- wołał chłopak, oczarowany, i nie zważając na obecność Mirskiego i dzieci, chwycił młodzieńczym ruchem obie ręce Reny, okrywając je pocałunkami.

Młoda kobieta szarpnęła się gwałtownie, wyrywając ręce, a po jej twarzyczce przeszedł cień purpury.

— Skąd pani ma zdolności w tym kierunku? – pytał niezrażony jej zakłopotaniem.

Takie robiło wrażenie jakgdyby pani odbywała już gdzieś dobrą praktykę... czy studja...

A może te rączki pielęgnowały kogoś kochanego i dlatego nauczyły się być takie lekkie i subtelne w dotknięciu przy chorym... przekomarzał się chłopak, nachylając się, by zajrzeć w spuszczone oczy Reny.

— Tak... istotnie... niegdyś.. przyznała się cichutko jak echo i ciepły blask strzelił z jej zadumanych oczu. Mirskiemu te dwa wyrazy odbiły się w duszy jękiem żałobnych dzwonów... Zadrżał mimowoli i chciwy, pytający wzrok

wpił w młodziutką twarzyczkę kobiety, ale była już nieprzeniknioną; blaski w oczach zagasły, rysy pokrył cień smutku.

Wracali do domu w milczeniu. Każde snuło w swej duszy przędzę innych marzeń... przytłoczeni jakąś nieuchwytną melancholją, która może spływała z mgieł, których przejrzyste welony kładły się leniwie na zielonych kobiercach łąk...

W domu czekała Mirskiego smutna niespodzianka — depesza od Jagny, donosząca o ciężkiej chorobie Jacentego.

Przeraził się bardzo; starego kochał gorąco, to też nie wahając się ani chwili, poprosił o konie, by zdążyć na pierwszy pociąg. Wszyscy siedzieli przygnębieni, biorąc udział w głębokiej boleści Mirskiego, bo wiedziano, jaką rolę stary sługa odegrał w jego życiu.

Spakowanie się było dziełem paru chwil. Zabierając drobiazgi ze stołu, zauważył przepyszną purpurową różę w szklance. Bez namysłu przytulił ją do ust i schował do portfelu. Serdecznie i z współczuciem żegnany był przez wszystkich,— nawet Rena zdobyła się na gorętszy uścisk dłoni i ciepłem spojrzeniem objęła zatroskaną twarz Mirskiego. Wsiadł do powozu, zalecając pośpiech, bo do odejścia pociągu było czasu niewiele.

Szczęściem stał jeszcze na stacji — Mirski zdążył. Tak był pogrążony w myślach, że nie spostrzegł, jak po kilku godzinach jazdy kurjerem szarzała już w oddali ostatnia stacja. Jeszcze koła pociągu zataczały ostatnie kręgi, a Mirski już wyskoczył, rzucając bez tchu pytanie lokajowi, który czekał na stacji.

— Czy żyje?

— Żyje — proszę łaski pana dziedzica, ale słabiutki, — wczoraj to ledwośmy go do życia przywrócili, a ciągle, biedaczysko, wołał, by go ratować, bo „panicza musi doczekać”!

Mirski rozrzewnił się serdecznie; — gotów był do nie wiem jakiej ofiary, byle ratować tego człowieka, który mu wszystkich zastępował.

Popędzając konie zajechali szybko do Zalesina, gdzie na ganek wybiegła Jagna, wymizerowana i jakaś dziwnie uroczysta.

— Paniczu! wołała, całując mu ręce. Teraz to Jacuś już pewnikiem wyzdrowieje, mówiła przez łzy.

Dziś od rana zapowiedział, że panicz przyjedzie — to on musi wyzdrowieć, bo któżby paniczowi usłużył!—

Mirski wszedł do pokoju, gdzie już ranek rozpościerał się w całej pełni, uwydatniając woskową bladość Jacentego. Zjadła go ostatnia choroba ukochanego wychowanka, jego ukrywana, ale przez niego wyczuwana boleść, beznadziejność planów Mirskiego. Wszystko to było trucizną dla steranego wiekiem i pracą organizmu. Radość ze ziszczonych pragnień — możeby wlała w jego żyły soki ożywcze, ale przy zgryzotach, dopalała się już tylko wątła lampka życia, tlejąc jeszcze słabym płomykiem.

Mirski przypadł do łóżka przyjaciela, okrywając jego pomarszczone i wychudłe ręce stokrotnemi pocałunkami.

Twarz chorego rozpromieniła się, cała rozgorzała w uśmiechach radości. Z resztkami siwej

czupryny i rozanielonym wyrazem na ascetycznej twarzy, przypominał świętych z obrazka w złocistej aureoli. Starość to była piękna i dostojna!..

— Stefanku! — synku najmilejszy, wołał już silniejszym głosem, — teraz już mogę spokojnie powiedzieć: „Wypuść, Panie, sługę Twego“. —

— Nie, Jacusiu — nie możesz jeszcze umierać, byłoby to krzywdą dla mnie zbyt wielką! — pomyśl, zostałbym sam — jak palec! Nie — nie to niemożliwe! — wołał Mirski gorączkowo, widząc, że starzec uśmiecha się słodko, pogodnie.

— Nie trza, synku, sprzeczać się z Panem Bogiem. On tam wie najlepiej, kiej człowiek dojrzeje do nieba. Nieboszczka Matusia twoja, Stefanku, dziś me we śnie nawiedziła, a taka jasna była przejrzysta — jakby, — nieprzymierzając, ze szkła i uśmiechała się do mnie promieniście.—

Zatrzęsło mu się serce płaczem wielkim w którym nie było goryczy, tylko cicha rzewna żałość... tęsknota za życiem, które się kończy...

Mimo jednak przeczucia śmierci i chrześcijańskiego przygotowania do niej z budującą pokorą, Pan Bóg nie powołał do swej chwały tego sługi, według myśli swojej, widocznie nie spełnił on jeszcze powierzonej mu misji.

Po kilku dniach polepszenie stawało się coraz widoczniejsze, ku niezmiernej radości nietylko Stefana i Jagny, ale i reszty domowników, bo wszyscy przez długie lata przyzwyczaili się czcić i kochać tego wyjątkowego starca, co umiał zło karcić, ale każdego człowieka kochał jak brata.

Znów pogodne dni zapanowały w Zalesinie, bo każdy oddychał swobodniej, nie widząc czyhającej nad domem grozy śmierci.

A tymczasem pełnia jesieni dawała się już czuć w powietrzu, ale tej jesieni królewskiej, strojnej w purpurę i złoto, hojnej w darach, przepysznie bogatej w barwach.

W przezroczystem powietrzu lśniły srebrne nici babiego lata, a dni były jednak ciepłe, jak w maju i chociaż wrzesień dobiegał końca, nikt nie miał wrażenia, że trzeba się żegnać z latem.

Typowo polska jesień roztaczała wokoło szczodre uroki, słonce wschodziło i zachodziło blaskami płomieni, gorejące czerwienią, rażąc wprost w oczy.

Jacentego wynoszono w fotelu na werendę, skąd miał widok na kwiaty w ogrodzie, dalej na park, ginący w mrokach lasu, i rozkoszował się, jak dziecko słońcem i ciepłem, które, rozlewając się po żyłach, pobudzało serce i starczą krew do żywszego tętna.

Siły wracały mu z każdą niemal godziną do czego w znacznej mierze przyczyniała się cudowna pogoda i balsamiczne, kojące powietrze.

Ale każdy dzień powrotu do zdrowia tego— wykupionego od wieczności starca, znaczył się w sercu Mirskiego ciernistym szlakiem...

Nie byłby za żadne skarby Jacentego opuścił, nie mając zupełnej pewności, że niebezpieczeństwo minęło, ale nie mógł jednak zapomnieć i opędzić się myśli, że jego obecność u wezgłowia przybranego ojca, była może okupiona ceną osobistego szczęścia.

— Zajęcia przy chorym, troski i niepokoje z tą chorobą związane, zajęły mi parę tygodni, a to czas tak ważny! — rozmyślał Stefan często. Mógł w nim zapaść dla mnie wyrok decydujący!

Od Dębskiego Stefan miał częste wiadomości; niepokojono się tam jego długą nieobecnością, oczekiwano przyjazdu. Zwłaszcza naglił o to Dębski, gdyż wybierali się obaj przyjaciele na wystawę do stolicy, a przedtem mieli omówić kilka związanych z tem spraw. Z tych listów Stefan nie mógł wywnioskować napewno, czy Waręski jest jeszcze w Dobromilach. Miał jednak mgliste odczucie, że tak, bo przyjaciel nie pisał o wyjeździe chłopca; zatem niebezpieczeństwo mogło być groźne.

Ale Jacenty, jakby przeczuwając burzę, szalejącą w duszy Stefana, prosił go kilkakrotnie, by się nie krępował jego zdrowiem i pojechał odwiedzić przyjaciela. To go zdecydowało wreszcie. Postanowił zawiadomić Dębskiego o projekcie przyjazdu w końcu tygodnia. Ale minęło parę dni, a odpowiedź nie nadeszła.

Zaniepokojony tem w stopniu najwyższym, tknięty jakiemś złowieszczem przeczuciem, Stefan postanowił jechać od stacji wynajętemi końmi, a dłużej nie denerwować się w takiej niepewności. Czekał jeszcze tylko przyjazdu doktora, by ostatecznie się upewnić co do zdrowia Jacentego.

— Możesz jechać, chłopcze, uspokoił go staruszek. Jacuś galancie się sprawuje! — a jeśli teraz babci Kostusi „wykręcił się sianem“, to już tak prędko kopytków nie wyciągnie... Ja go tu jeszcze w fotelu z parę dni przetrzymam... A ty

jedź, bo ci już oczy na wierzch wyłażą z onej miłosnej tęsknoty...—tu zerknął figlarnie w stronę Stefana, który udał, że nie rozumie przytyku... Chociaż Stefan nie rozmawiał o swych planach otwarcie z doktorem, to jednak stary filut wiedział, jak trawa rośnie...

— A kłaniaj się tam mojemu kwiatuszkowi, Reniusi... tu usta ręką przysłonił... Przepraszam uniżenie... wielmożnej pani dziedziczce!.. i powiedz, że jeśli dłużej każe staremu czekać na siebie... to gotówem się tymczasem na tamten świat wykopyrtnąć...—

— Oj stary niepoprawny gaduło! — śmiał się Stefan, rozradowany wewnętrznie nadzieją rychłego wyjazdu. Zawsze się ciebie figle trzymają...—

— A cóżeś chciał — odpalił. Przecieżem nie taki karawaniarz, jak ty! Twojej żałobnej miny toby się i nieboszczyk przestraszył i z trumny wyskoczył,—gdzie pieprz rośnie! — Gadał jeszcze dłużej na ten temat, ale Stefan już nie słyszał; pilno mu było szykować się do drogi, podniecony tęsknotą i niepokojem. Wyjechał wreszcie z błogosławieństwem Jacentego i doktora.

Droga minęła mu szybko, bo cały pogrążył się w myślach, w pełnych troski przypuszczeniach. Na stacji wynajął fornalską, ale wygodną bryczkę, obiecując sobie drzemkę, by skrócić czas podróży.

Krajobraz niebardzo go pociągał; okolica była płaska, bez urozmaicenia, a zwłaszcza w tej porze robiła wrażenie zupełnie pustej przestrzeni, bo pola były zżęte i ogołocone ze zbóż. Tylko las rozpraszał monotonję tego widoku — potężny,

wiekowy, pełen tajemniczych cieni i niebotycznych drzew. Ciągnęła się droga przez ten las parę kilometrów, a to już wystarczyło, by przyciągnąć uwagę Mirskiego i zadowolnić jego zmysł estetyczny. Za lasem zaczynały się pola dóbr Dobromilskich, obsadzone kartoflami, które kopano już zawzięcie. Widać było wśród zagonów liczne worki niemi napełnione. Wygasłe ogniska świadczyły, że pastuszkowie nie omieszkali próbować jesiennych przysmaków, aromatycznych kartofli w popiele pieczonych.

Jesień znaczyła się już wszędy, tylko nie w powietrzu, zdumiewająco ciepłem i łagodnem i także nie w różnorodności barw i ich odcieni w jakie przybrała się ziemia, dzięki czemu krajobraz, choć płaski — wyglądał malowniczo i bogato: jesień darzyła wszystko szczodrze i wspaniałomyślnie.

Mirski z radością dojrzał z oddali bielejący w pośród drzew jasny dwór, cienistą aleję i bramę, prowadzącą na dziedziniec, okolony strzyżonym płotem.

Dojeżdżał z nieokreślonym lękiem; wprawdzie wyrzucał sobie takie bez uzasadnionej przyczyny tchórzostwo, a jednak nie miał siły otrząsnąć się z przykrych wrażeń, czy może nawet przeczuć, jakie mu towarzyszyły podczas całej podróży.

Konie, chociaż nie stajenne tylko zwykłe chłopskie, ale kierowane umiejętną ręką woźnicy zakreśliły zgrabny łuk i zatrzymały się przed imponującym, na czterech słupach opartym gankiem. Zwykle służący Jan wybiegał na turkot kół, nierzadko i sam dziedzic, zwabiony cieka-

wością, dzisiaj, wbrew przyjętemu zwyczajowi, nikt się nie zjawił, nawet pies nie zaszczekał... Od domu wiało głuchą pustką...

Mirski niemile zdziwiony, nawet tym faktem zaniepokojony, zastukał do drzwi wchodowych skąd także żaden ruch nie dochodził. Po dobrej chwili dopiero ktoś z wewnątrz odsunął drzwi z zasuwy i Jan ukazał się na progu, wybladły ze śladami bezsenności na twarzy.

— Ach jak dobrze, że jaśnie pan przyjechał.— Zwyczajem dawnych służących Jan każdego nazywał „Jaśnie panem". — Pan dziedzic czeka od wczoraj.

— Jakto od wczoraj? — pytał Mirski zdziwiony.

— No przecież pan dziedzic wysłał depeszę,— nawet terminową, — sam odwoziłem na pocztę. Zaraz po tym strasznym wypadku, — dodał, pomagając rozebrać się Mirskiemu.

— Po jakim wypadku? — podchwycił Mirski coraz bardziej zdumiony. Na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu.

— To jasny pan nic nie wie? A przecież tu u nas sądne dni! — i nachylając się do ucha Mirskiemu wyszeptał tajemniczo.

— Ano — to panicz Karol strzelił do siebie onegdaj...

— Karol strzelił?... kiedy?... gdzie?... z jakiego powodu?—Obłędny strach zjeżył mu włosy na głowie, serce ścisnęło coś jak kleszczami.

— Poco się strzelał, to ja tam tego nie wiem tylko tak sobie kalkuluję, że musiało chłopakowi coś mocno dopiec, bo radosne to było dotąd,

a rozświergotane od ranka jak ptaszę, a tu nagle... bęc...

— I co... nie żyje? — przerwał bez tchu Stefan.

Żyć — to żyje jeszcze, ale czy z tego życia wielka będzie pociecha, to Bogu tylko wiadomo! — odrzekł filozoficznie. — A u nas to ciężkie były z tego ambarasy...

Pani dziedziczka sercowego ataku dostała, tak się biedactwo przeraziła, bo, wiadomo, najmłodszy brat, a tu widzi, że panicz leży i cały we krwi. Pan dziedzic zupełnie głowę stracił, nie wiedział kogo ratować, bo tu panicz już rzęzi, a pani też leży, jak trup. Gdyby nie panna nauczycielka — toby tu już wszystko było... kaput...

Przed wzrokiem Mirskiego rozdarła się ciemna zasłona, która mu sobą świat przysłoniła, w tych paru minutach opowiadań, ale jednocześnie ostrze jak błyskawica szybkie ukłuło go w serce...

— Więc nie o Renę chodziło — Boże! — dzięki za to! — Pierwszy raz taki okrzyk wyrwał mu się z piersi, ale, bo też nigdy dotąd nie uświadomił w sobie tak plastycznie pewności, że Rena, kapryśne nieuchwytne stworzenie, stała mu się już tak bliską, tak duchowo zrosłą, że bez niej życie wydało się... szare i bezbarwne...

— Ale dlaczego ona bierze taki czynny udział w tem rodzinnem nieszczęściu, czyżby?... i znów lęk zimny wpełznął mu pod czaszkę. Wszak serce jej wolne jest przecież...—myślał gorzko.

— A w jakiż sposób panna Rożniecka zaradziła złemu? — pytał, zdając sobie sprawę, że może to ryzykować bezkarnie, bo służący zanadto był prze-

jęty świeżą katastrofą, aby dociekania Mirskiego mogły w nim wzbudzić jakieś podejrzenia.

— Przedewszystkiem posłaliśmy po doktora, z ktorym panienka dobrą chwilę rozmawiała. Potem doktór z pomocą panienki zabrali się do pracy żwawo.

Docucono się dziedziczki, ale gorsza sprawa była z paniczem, bo kula ugrzęzła w lewem płucu, w okolicy serca. Ale i temu dał rady tak, że na razie panicza uratowaro.

Pan dziedzic taki się czuł strapiony, że aż żal było patrzeć. Zaraz też posłał mnie z depeszą do jasnego pana, bo to, mówił, — człowiekowi lżej, gdy kogoś bliskiego ma przy sobie! Uradzili też we dwoje z doktorem i panienką Rożniecką, że panią dziedziczkę i dzieci odwiezie się do starszej pani, bo z nią już było znacznie lepiej. Całej służbie zapowie się, że panicz na zaraźliwą chorobę leży i dlatego pani z panienkami wyjechała, a tylko pan dziedzic i nauczycielka do pomocy zostają we dworze, a — że jest ranny — nikt się tego nie domyśla, bo wszystko stało się nocą. —

— A jakże jest teraz? — Mirski do głębi był wstrząśnięty wiadomościami i dziwił się skrycie swej intuicji, że przyjechał właśnie w porę, chociaż depeszy nie dostał.

— Teraz? — teraz to pan dziedzic pojechał do pani, bo też niespokojny; — pani strasznie rozpacza pono...

— A kto jest przy chorym? serce zatrzymało mu się na sekundę..

— Jest pielęgniarka, sprowadzona ze szpitala, a panna nauczycielka także tam zachodzi.

Odetchnął.

— Więc nie objęła głównego kierowni twa w pielęgnowaniu tego biednego szaleńca!—Wbrew wyrozumowanej świadomości gdzieś na dnie serca zakiełkowały w nim zmieszane uczucia zazdrości i lęku, a potem ulgi, głęboko na dnie serca ukrytej...

Dowiedziawszy się tyle dla siebie nowych rzeczy, Mirski postanowił nieco odpocząć w swoim pokoju, zebrać myśli i dojść do równowagi.

Udał się więc, by rozpakować rzeczy i rozmyślał, jak sobie czas ułoży do powrotu przyjaciela i w jaki sposób wydobędzie więcej szczegółów od służącego, który, pełniąc już dziesięć lat czynności służącego przy dziedzicu, wiedział znacznie więcej, niż reszta służby.

Nagle usłyszał znajomy, teraz przyciszony, głos Dębskiego na dole i w parę chwil później on sam stanął we drzwiach.

Przyjaciele, uściskali się serdecznie, ale w milczeniu, rozumieli się duchowo, więc nie potrzeba było słów.

Dębski wyglądał, jakby się postarzał o parę lat; ciężka troska osiadła chmurą na jego zwykle pogodnej twarzy. Usiadł ciężko w fotelu, ocierając potem zroszone czoło.

— Już mi Jan powiedział, dlaczego nie przyjechałeś wcześniej — pewnie to i moja w tem wina, bo tak byłem wstrząśnięty, żem może i adres poplątał, a na twoje listy nie odpowiadałem, bom był w mieście. —

Zamilkł, a w pamięci przeżywał pewnie straszne obrazy niedawnej przeszłości.

— No i powiedz, przyjacielu drogi, — odezwał się wreszcie z wyrazem głębokiego przygnębienia, kto byłby się spodziewał podobnie wstrząsającej katastrofy po tym chłopcu tak wesołym, takim beztroskim...

Widocznie zacnego człowieka bolał nietylko sam fakt niebezpieczeństwa, w jakiem się chłopak znajdował wobec usiłowania samobójstwa, ale ponad to zawód na jego charakterze, sprzeniewierzenie się zasadom, których przestrzegał z takim pietyzmem...

— Ale wytłumacz mi, Władku, nareszcie jaka była przyczyna tego rozpaczliwego kroku? O ile poznałem Karola i wiem z waszego opowiadania, to robił on wrażenie młodzieńca wybitnie zrównoważonego.

— Hm! — młodość! Chłopak był zapalny jak iskra, entuzjasta i pełen temperamentu — mógł łatwo wplątać się w jaką biedę...

— Ale gdy przyjechał, to nie zdradzał żadnych wewnętrznych rozterek, — przeciwnie, był uosobieniem wesołości, humoru raczej—niż czegoś, co mogło rzucić cień na pogodę tej duszy... Chyba, że później.. — dodał Mirski wahająco.

Odważył się podsunąć tę myśl, skrycie piastowaną, ale czynił to z lękiem... Niepewność była dla niego męczarnią, ale w każdym razie wolał ją, bo zawsze była to jeszcze wątpliwość... może złudzenie, a pewność byłaby straszniejszą...

— Chyba... że... ciągnął Dębski, jakby nagle

zaskoczony zupełnie nowem odkryciem,—chyba... że... zadurzył się... w Renie...—

Grom padł! w duszy Mirskiego nastała uroczysta cisza... wszystkie władze umilkły... drżał wewnętrznie każdym nerwem.

— Ale to chyba mało prawdopodobne...—rozważał Dębski wolno, jakby sobie przypominał pewne szczegóły, zbierał fakta.

Po twoim wyjeździe nasze towarzystwo trochę się rozbiło. Panna Rożniecka wzięła się z całą gorliwością do lekcyj z dziewczynkami, bo trochę zaniedbała naukę z racji przyjazdu tego trzpiota Karola, a on zaczął częściej odwiedzać chorych na wsi. Przy kolacji wieczorem nieraz żartował, że mógłby zrezygnować nawet z doktoratu, bo mu się taka świetna na wsi otworzyła praktyka powodzenie niesłychane...—

— Ach prawda! — wykrzyknął Dębski naraz, uderzając się dłonią w czoło, byłbym zapomniał, a to przecież fakt znamienny i rzuca pewne światło na tę nieszczęsną historję...—

Mirski przeżywał męki Tantala; co chwila przechodził od nadziei do zwątpienia i teraz w najwyższym strachu oczekiwał słów przyjaciela, jakby wyroku śmierci na siebie.

— W dzień pamiętny — przypominał Dębski, właśnie po południu, ponieważ pogoda była prześliczna, Karol zaczął prosić p. Reginę, by zgodziła się pójść z nim i z dziewczynkami na dłuższy spacer do lasu na grzyby, ale dziewczyna wymawiała się mocno, wysuwała różne przeszkody i zgodziła się dopiero, gdy w sprzeczkę wdała się moja żona, nalegając na p. Reginę, że mizer-

nieje, siedząc ciągle nad lekcjami lub robotą. Poszła, ale niechętnie.—

— No i co? — czyżby tam doszło do jakiej sprzeczki? — nie bamując się już pytał Mirski gorączkowo i zawisł na ustach przyjaciela.

— Sprzeczki? ej—gdzietam! Raczej wyznania! Wrócili z tego spaceru w humorach jakichś niefortunnych. Panna Regina narzekała na ból głowy, a Karol minę miał zupełnie kiepską; nie żartował, siedział, wbrew zwyczajowi, milczący, posępny i osowiały. Próbowaliśmy nawet z żoną podkpiwać z młodych, że im się nie powiodło grzybobranie i stąd takie kwaśne, zawstydzone mają miny, ale żadne się nie odezwało.

Po kolacji panna Regina wymówiła się wcześniej i poszła do siebie. Karol długo chodził wielkiemi krokami po jadalni z głową spuszczoną, mocno czemś zafrasowany. Chodził tak z godzinę bez przestanku nic się nie odzywając, — potem raptownie, jakby pod działaniem jakiejś ukrytej myśli, — porwał się i wyszedł do ogrodu.

Śledziłem go przez okno, bo mię trochę zaniepokoiło takie niebywałe zachowanie chłopca. Noc była ciemna, więc nic nie dojrzałem, ale uspokoiłem się, bo przyszło mi na myśl, że może mu się jakie leczenie, czy operacja na wsi nie udała... i stąd taka smutna mina.—

Mirski wstał i także podszedł do okna, jakby tam szukał rozwiązania ostatniego aktu dramatu, którego czuł się skrytym i mimowolnym bohaterem.

A za oknami łuną pożarną paliło się niebo:

krwawo ogniste słońce jeszcze stało wysoko, ale już kłoniło się ku zachodowi.

— Nie położyłem się spać — ciągnął Dębski bez przerywania wątku, a słowa jego, uchylające rąbek tajemnicy pozagrobowej, miały w sobie majestat czegoś z zaświatów...

Siedziałem u siebie, aż tu raptem koło północy... trrrach... suchy krótki trzask i... cisza.

Zerwałem się, choć nogi drżały pode mną.

Wybiegłem w ogród... Poprzez liście krzewów błyskało światełko od strony lamusa, gdzie właśnie sprzątano stare rupiecie i dlatego był otwarty. Jednym skokiem byłem przy oknie. Na kulawym stołku stała w butelce świeca zapalona... na podłodze broczył we krwi... Karol — dokończył Dębski, kryjąc twarz w dłoniach.

Przeżywali obaj ciszę żałobnych wspomnień.. Pierwszy ocknął się Dębski.

— Wróciłem teraz wcześniej, bo mię gnał niepokój do domu. Żona mi też słabuje; strasznie ją wstrząsnęło to nieszczęście. Karola prawie sama wychowała, bo matka była ciągle chora. Przywiązała się do niego jak do rodzonego dziecka i teraz boleje nad skrzywionym dogmatem życiowym tego chłopca. Ona taka jest wprost niewzruszona, gdy chodzi o przekonania religijne! Wszystkich nas wytrącił z równowagi ten wypadek, zwłaszcza, że tak nieoczekiwany! Żona bolała nieraz nad lekkomyślnością chłopca, ale wierzyła w jego zasady... Taki cios!...

Prawda, że tylko szaleństwo młodości mogło coś podobnego nasunąć do głowy, działanie

pod naciskiem gwałtownej, może nawet krótkotrwałej namiętności, — ale w każdym razie dowodzi braku silnych katolickich przekonań — i to żonę strasznie boli, bo cała jej rodzina wychowana była w tradycjach religijnych i to nie tych — na frazesach opartych, ale z praktyki życiowej wysnutych i na niej ugruntowanych.

Chłopak choćby się i wylizał — to jednak skaza moralna zostanie, krzywda Bogu i duszy wyrządzona!

Musiałem żonę zostawić u matki z dziećmi, bo nawet leży, a sam tu zostałem z p. Reginą.

Nie masz pojęcia, Stefanie, co to za skarb ta dziewczyna! a jaka organizatorka! cicha, dzielna i energiczna — jak rzadko! To właśnie ona wymyśliła przed służbą tę bajeczkę o zaraźliwej chorobie Karola — tylko jeden Jan wie całą prawdę. Inaczej gruchnęłaby po całej okolicy sensacyjna wiadomość i węszonoby zaraz skandal jakiś... Żona wprost tegoby nie przeżyła, — a tak mało kto pokwapi się odwiedzić Dobromile i o wypadku nikt się nie dowie.

— Ale jakże jest z Karolem? Czy przytomny? — badał Mirski, zaniepokojony przypuszczeniem, że mógłby ktoś obcy ze słów gorączkowych podsłuchać serdecznej tajemnicy.

— Wczoraj w południe stan był prawie beznadziejny, pod wieczór mimo, że gorączka podskoczyła, — doktór miał lepszą minę. Dzisiaj rano chłopak wydał mi się spokojniejszy.

— Czy co mówi? — pytał jeszcze Mirski.

— Nie — apatyczny. Chodź — pójdziemy go zobaczyć, — namawiał Dębski Stefana, lecz

ten wahał się chwilę. Wstrzymywał go splot różnych skrupułów — poprostu nie wiedział, jak się ustosunkować uczuciowo względem tego biedaka. Nawet w takim wypadku, gdyby Karol był jego szczęśliwym rywalem, to czyż należało go potępić? Wówczas stawałby się tylko ofiarą nieszczęśliwej miłości, której ani grzeszną, ani występną nazwać nie należało, bo czyż wiedział ten chłopak, rwący się do życia i miłości, że na progu do tego szczęścia spotka przeszkodę, która zdruzgocze gmach jego najdroższych planów. Wszak Karol nie wiedział, że Rena była mężatką!...

W tym momencie dopiero Mirski uświadomił sobie z całą jasnością, że właśnie odkrycie tej tajemnicy mogło być dla młodzieńca bezpośrednią przyczyną targnięcia się na życie.

— Tak — to zupełnie zgodne z rzeczywistością — rozumował Mirski — Karol wynurza Renie swą miłość, dowiaduje się od niej, że nie jest wolną, — a nie mogąc przenieść tego ciosu i oderwać serca od tej kobiety, — odbiera sobie życie...

Z przeraźliwie trzeźwą logiką wysnuwają się te myśli — jedna za drugą Tajemnica przestaje być czemś złowrogiem i strasznem — to naga, odarta ze złudzeń, prawda!

— A w takim razie, kto współwinowajcą?! Ja—tylko ja! — jęknął głucho Stefan, zakrywając mimowoli oczy dłonią, by przyjaciel nie wyczytał z nich tej ohydnej prawdy.

I piętno Kainowe muszę odtąd nosić na sobie zawsze... do śmierci! To straszne! Te myśli

rozsadzą mi czaszkę chyba... gdzieś trzeba od nich skryć się, uciekać...

A raczej iść tam... do tego męczennika i u jego łoża pokutować... Ale nie można go tak biernie zostawić... trzeba jeszcze szukać ratunku... Ach, bo tam nietylko ciało cierpi, ale dusza w niebezpieczeństwie! —

— Co Władek mówił o duszy? — zastanawiał się Mirski w bezładzie najróżnorodniejszych myśli. — Że ginie wieczyście?... Dusza samobójcy?

To, przerażające! Zawsze... i nigdy!...

Śmierć... dusza... wieczność! Jakże dalekie były dotąd te pojęcia ode mnie! A jednak — śmierć to tylko logiczny koniec wszystkiego, co żyje, ale, gdyby na tem się kończyło... Straszniejsza stokroć ta śmierć inna... wieczysta... odpowiedzialność... świadomość rozumowa za czyny.. Czy to wszystko istnieje? Nie — nie chcę już więcej o tem myśleć...

Wstrząsają mnie do głębi takie rozważania... odbierają równowagę... —

Stefan łudził się, że komunałami, że odsuwaniem niepokojących tematów zagłuszy sumienie...

— Doprawdy zaczynam wpadać w kobiecy liryzm — zaczął się wreszcie strofować wewnętrznie, — to do niczego nie doprowadzi; trzeba zacząć myśleć i działać trzeźwo.

Karola ratować trzeba! — to przedewszystkiem jasne. Ratować, chociażby nawet był posiadaczem wzajemności Reny, bo i to możliwe.— Zawahał się na sekundę — wszystkie taj·mne moce, tłumionych wolą namiętności, podniosły

bunt, aż mu się dłonie kurczowo zacisnęły z tej męki, a oczy mgłą zaszły, lecz się opanował...

— Tak — powtórzył wolno, jakby każdy wyraz trud mu sprawiał — trzeba za wszelką cenę go ratować. To obowiązuje mnie przedewszystkiem, inaczej, jeśli zginie, jego blady trup stałby za mną wiecznie i, jak cień Banka, zagradzał drogę do zdobycia szczęścia.. jeśli ono dla mnie jeszcze dostępne.

Już się nie wahał — twardy obowiązek sam ukazywał zadanie do spełnienia.

— Chodźmy zatem—zwrócił się do Dębskiego już spokojny i zdecydowany — Prowadź! —

— Karol leży na górze, w dawnym pokoju panny Reginy, ustąpiła go, przekonywując mnie, że będzie najwygodniejszy, bo samotny i oddalony.—

Mirski zadrżał... serce biło mu silnie, każde uderzenie czuł w skroniach; w głowie dziwny zamęt...

— W jakichże nieoczekiwanie bolesnych warunkach będę za chwilę w pokoju Reny! Tę wizytę nie taką widziałem w marzeniach... śmiałych obłędnych... Teraz wchodzę... jak winowajca— spłacać dług! — myślał.

W pokoju spuszczone były rolety, panował przeto półmrok, w którym na poduszkach uwypuklała się, grobową bladością powleczona, twarz młodego studenta. Rysy, zaostrzone i wykrzywione cierpieniem, w niczem nie przypominały swawolnego młodzieńca, który wszędzie potrafił być duszą tego, co uosabiało młodość i wesele.

Siostra miłosierdzia o łagodnym i słodkim

wyrazie twarzy podniosła się cicho, by nowoprzybyłym udzielić swych spostrzeżeń o chorym.

— Mam w Bogu nadzieję, że młodego pana uratujemy — pocieszała. Dużo sił żywotnych — organizm silny — przetrzyma! — Wyszli na palcach, by nie zbudzić chorego.

Po wzmocnieniu się lekkim posiłkiem, bo na obiad obaj nie mieli chęci, Dębski pożegnał przyjaciela. Musiał się zająć pilnemi, a wskutek świeżego nieszczęścia, zaniedbanemi interesami w gospodarstwie, a Mirski oznajmił, że wybierze się na dłuższy spacer do lasu, by w ten sposób uspokoić i uporządkować zszarpane nerwy.

Ostatnie tygodnie Mirski żył w stanie ciągłego podniecenia.

Gwałtowny wyjazd z Dobromilów na skutek choroby Jacentego, przebieg choroby i z tem związany niepokój o życie wiernego sługi, następnie przybycie do przyjaciela w tak nieoczekiwanych warunkach, i stałe zmaganie się wewnętrzne w niepewności i trosce o swoje losy — wszystko to mogło podkopać nawet żelazny organizm.

Zatopiony w niewesołych myślach, z głową spuszczoną, młody człowiek minął ogród machinalnie, zabudowania folwarczne i wydostał się na znajome miejsce, pod niezapomnianą altankę akacjową.

— Wszak to tu miała miejsce znamienna nasza rozmowa — wspomniał. — Tu postawiłem Renie śmiałe pytanie, czy w sercu miała jeszcze dla mnie chociażby odrobinę dawnego uczucia...

Nie odpowiedziała mi wtedy nic! Prawda!

deszcz zaczął padać i trzeba było schronić się do domu — pamiętam.

A gdyby nie ta błaha przeszkoda, czy byłaby odpowiedziała szczerze? Wątpię!

Serce kobiety, a zwłaszcza serce Reny — to puszcza nieprzenikniona; zwłaszcza dla takiego jak ja — profana — niedostępna, a ciekawa; pociąga i nęci czyhającem na każdym kroku niebezpieczeństwem!

Swoją zagadkowością Rena wodzi mnie jak błędny ognik po manowcach... Miałażby w tem tkwić istota kary? — Przystanął pod szerokim parasolem rozłożystego drzewa.

— Czy na to pytanie odpowie mi przyszłość — i jaką będzie ta odpowiedź? — Utkwił rozszerzone źrenice w przestrzeni... dalekiej .. rozległej, której granice stykały się z ziemią. Droga szła długą aleją... dalej był las.

Słońce grzało silnie, chociaż było już coraz niżej. Przedzierało się przez gąszcze wysmukłych topoli i swawolnie rzuciło mu do stóp więź złotych blasków — szedł jak we śnie...

— O gdyby ta słoneczna, wyzłocona dal chciała stać się moją drogą życia! — westchnął.

Dotąd zbierałem na niej same ciernie... Czy zdołały choć w części winę okupić?... I nagle poczuł przemożną potrzebę powiedzenia komuś, co byłby jednocześnie siłą i miłością, że czuł się ogromnie małym i bezbronnym w tym olbrzymim wszechświecie. .

Jak Mojżesz, gdy Bóg mu się objawił w krzaku ognistym i wówczas prorok uznał w nim Boga i Pana swego, — tak i on w tej chwili uświa-

domił sobie, tkwiące w nim poczucie istnienia Boga. Zrozumiał, że ten Bóg, którego on dotąd— ani znał, ani kochał, ten Bóg, który przeszedł przez jego życie, jak burza, On był jednocześnie sprawcą jego bytu, On kierował jego losami, a teraz tylko od Niego zależała niepewna przyszłość.

Uląkł się tej świadomości... że żył od niej tak daleko...

Aleja, wysadzana topolami, już się kończyła. Nagle Mirski stanął jak wryty! To, co zobaczył, przewyższało w swoim majestacie piękna wszystko co najwznioślejszy genjusz ludzki mógł stworzyć. Michał Anioł ze swą przedziwną plastyką i potężnym rozmachem i Rembrandt z cudowną harmonją i razem kontrastem sztucznych świateł i cieni — uważaliby się może niegodni podpisać pod arcydziełem, jakie Boski Artysta rozpostarł przed olśnionym wzrokiem Mirskiego.

Las gorzał, w purpurze blasków skąpany. I nie wiadomo było, co w nim godniejsze zachwytu i podziwu: czy wyzłocone słońcem wierzchołki drzew, lekko falujące, jak królewskie pióropusze, wzorzystą koronką odcięte na błękitnej kopule; czy przepych i różnorodność liści, które, lśniąc i mieniąc się, wyglądały jakgdyby ze złotej, po wierzchu nieco zazielenionej lamy wycięte, czy wreszcie szeroko przysiadłe na podbiciu z mchów i liljowych wrzosów — matrony paprocie, jedne brunatno - purpurowe, inne szmaragdowo - zielone lub jasno - złote..

Coś także gwarzyły, chyląc ku sobie roztrzęsione grzywy, smukłe i gibkie brzozy—zalotnice.

Ich koronkowe liście, przyczepione do bronzowozielonych gałązek, poruszane wiatrem sprawiały nieustanny i monotonny szmer... Jarzębina o czerwonych koralach kłoniła się także ku zi mi, przytłoczona brzemieniem bogatych gron...

A nisko... na ziemi powódź drobniutkich liljowych wrzosów, jakby bogato haftowany kobierzec...

Las czarował przepychem jaskrawych barw, nurzał się w powodzi świateł.

Mirski wpatrzony w te cuda, w las do zaczarowanej baśni podobny, stał w modlitewnym zachwycie. Jego subtelnie artystyczna dusza, doznawała wrażeń najczystszych rozkoszy, podziwiając obraz doskonałego piękna, w lesie zaklęty.

Ale w ciszy tego królestwa czarów były jakieś nieuchwytne dźwięki i tony. Może strumyk szemrał... czy ptaki zawodziły rozhowory... a może duchy leśne gwarzyły...

Mirski wyczuwał to coś — tęsknotą.. Serce jego ciągle trwożyło się niepokojem, gdzie Rena?

W domu jej wszakże nie było, więc gdzie jest?

A może gdzieś w samotności ręce załamuje, żegnając swój złoty, młodzieńczy sen! Może przeklina nienawistne pęta, co ją dzielą od szczęścia?

Mirski czuje, że teraz, gdyby Rena zażądała w imię równych praw, zwrotu wolności, której on niegdyś od niej wymagał, — teraz on stanąłby jako stróż nieubłagany w obronie i na straży nierozerwalności sakramentu małżeństwa. Myśląc

o tem, wyczuwał wprost fizycznie gdzieś w pobliżu konieczną obecność Reny...

Przeczucie go nie zawiodło!

Las był pagórkowaty; Mirski, idąc ciągle naprzód po linji prostej, stopniowo, a nieświadomie wznosił się wyżej tak, że w niedługim czasie znalazł się na szczycie wzgórza, skąd widok roztaczał się na polankę, pokrytą złotawym mchem i wrzosami.

Nagle przytłumiony okrzyk wyrwał się z jego piersi.

Na podszyciu bujnych różowo-liljowych wrzosowisk siedziała Rena — jak biały kwiat...

Widocznie musiała się przedzierać przez gęstwinę krzewów, bo w kędzierzawej jej główce tkwiło mnóstwo gałązek, listków, nawet drobniutkich szyszek i igiełek. Wyglądała jak leśna boginka...

Mirski wstrzymał oddech i, chwytając zwieszającą w kształcie firanki gałąź sośniny, pochylił się naprzód, by lepiej Renę zobaczyć.

Na jej kolanach leżał rozłożony album z fotografjami, z których jedną trzymała w rękach, wpatrzona w nią bacznie...

Mirski miał wrażenie, że Rena łkała, bo szczupłe jej ramiona podnosiły się i opadały rytmicznie. Poczem zbliżyła fotografję do twarzyczki i przylgnęła do niej ustami...

Wtem gałąź, pod naciskiem ciężaru, zgięła się... wreszcie z trzaskiem złamała...

Stefan stracił równowagę, pochylony naprzód, potknął się, i siłą rozpędu pchany, zsunął się na dół po śliskiem igliwiu.

I byłby napewno w tej fantastyczno-awanturniczej przygodzie runął u stóp zdumionej Reny, gdyby ona, na szmer łamanych gałązek, nie zerwała się z głośnym okrzykiem przestrachu...

Przy tym gwałtownym ru hu fotografje rozsypały się na ziemię, tylko ta jedna wybrana, drżała w kurczowo zaciśniętej białej rączce Reny. Jeszcze młoda kobieta nie przyszła do siebie, bo lęk wyglądał z jej wielkich, szeroko otwartych oczu i drżenia ust, a już ruchem instyktownym starała się ukryć zdradziecką fotografię — wreszcie wsunęła ją za gors pod staniczek, którego koronki przeglądały przez lekką sukienkę.

— Boże! jak pan mógł mnie tak przerazić,— mówiła z wyrzutem, ale jednocześnie w tych wyrazach dzwonił siłą hamowany śmiech, bo jednak, mimo chwilowy przestrach, Rena od razu objęła wzrokiem cały komizm tej oryginalnej eskapady. Już drgały jej kąciki ust, choć je sznurowała mocno, a w oczach skrzyły się figlarne chochliki. Wreszcie, nie mogąc się dłużej powstrzymać, wybuchnęła kaskadą, dzwoniącego— jak żywe srebro śmiechu — a echo rozniosło go, więc śmiał się radośnie cały las...

— A widzi pani—słuszne przysłowie: „Niema złej drogi do swej niebogi!”

W niezwykły sposób, bo całkiem nadpowietrzny, stwierdzam tę prawdę! niedarmo przysłowia są mądrością narodów! — deklamował Mirski z komicznym patosem, wpatrując się z zachwytem w rozbłysłe oczy Reny.

— Gdyby był do tego jeszcze jaki smok skrzydlaty — nie brakowałoby nic więcej legen-

darnemu rycerzowi... co porwał królewnę wrzosów... bo śmiało można cię tak nazwać.

— Byłoby to najprawdziwszą bajką. bo królewna wrzosów napewno nie dałaby się porwać — odrzuciła śmiało znaczący pocisk, porządkując zmiętą sukienkę.

— O ileby naturalnie rycerz ów był takim niedołęgą, że nie umiałby sobie dać rady — w tym samym pół zaczepnym tonie odrzucił Mirski.

— Kiedy pan przyjechał? — zapytała już spłoszona. Chciała banalnem pytaniem odsunąć, przeczuwane w tej rozmowie niebezpieczeństwo.

— W każdym razie przyjechałem zapóźno, bo nie zdążyłem uchronić cię od przykrości fałszywej sytuacji.—

— Nie rozumiem, co pan ma na myśli? Ja potrafię się zawsze sama obronić, gdyby zachodziła tego potrzeba. — Powiedziała to z naciskiem i wyniośle. — Sytuacja moja jest taką, jaką sobie stworzyłam sama! —

— Nie, Reno, nie wprowadzaj w błąd siebie, a mnie zostaw sąd o tej sprawie.

To ja — moja głupota i szaleństwo doprowadziły cię do tego, zmusiły niejako do tej, powtarzam, fałszywej sytuacji. Już dawno było moim obowiązkiem odkryć twoje incognito i przywrócić ci stanowisko właściwe — żony! — Ten mały wyraz wymówił nieledwie z namaszczeniem.

Twarzyczka Reny to bladła, to pokrywała się gorącym rumieńcem.

— Zwłaszcza teraz trzeba już tę komedję

zakończyć i wyprowadzić cię z dwuznacznego położenia. Z chwilą, gdy w tym domu odegrała się tragedja... którą znasz — twoje miejsce nie tutaj--powiedział twardo.

— Jakto tragedja? — zapytała niepewna, co Mirski miał na myśli, używając tego określenia.

— Przecież nie mogę inaczej nazwać faktu, gdy młody człowiek strzela się dla młodej kobiety. Chyba nie nienawiść bywa tego przyczyną, tylko... miłość!

Kobieta żachnęła się gwałtownie, obracając w stronę młodego człowieka twarz, groźnie namarszczoną.

— Pan Waręski nie zasłużył niczem, żeby go podejrzewać... W głosie jej drżały tłumione łzy, co zdenerwowało i rozgoryczyło Mirskiego do najwyższego stopnia.

Wzruszenie Reny i te łzy powstrzymywane jasno dowodziły, że podejrzenia o wzajemnem ich uczuciu miało cechę prawdopodobieństwa, tembardziej, gdy Mirski przypomniał sobie scenę z fotografją... tam na wrzosowej polance... Ślepa zazdrość i wściekłość zaczynały mu rozum mącić.

— Napewno Rena płakała nad fotografją Karola! — Tak, nieinaczej... i ten pocałunek...

Wzdrygnął się... Palił go jak dotknięcie żarzącego węgla... Musi się zemścić... zdemaskować tę kokietkę.

— Podziwiam tę wielkoduszną obronę... niedoszłego wielbiciela! — rzucił jej w twarz z brutalną ironją.

Kobieta zachwiała się, dotknięta śmiertelnie; cała krew odpłynęła jej od twarzy, a powieki

z długiemi firankami rzęs, zaczęły podnosić się i opadać, jakby chciały wtłoczyć wewnątrz to, co się pod niemi kryło.

— Nie ma pan prawa obrażać mnie! — pozwala pan sobie chyba tylko dlatego, że jestem sama i bezbronna! Powiedziała to ze smutkiem, i wielką godnością.

Niestety ani ton, ani postawa Reny nie zdołały poskromić Mirskiego, — już nad sobą nie panował...

— No tak!—opiekun śmiertelnie chory, więc nie obroni... szydził w bólu ponad miarę.

— Na jakich dowodach, czy tylko domysłach opiera pan krzywdzące tego człowieka, a zwłaszcza mnie zarzuty?—Starała się mówić spokojnie, choć pierś jej falowała szybko, oddech był urywany...

— Dowody? dowody? — śmiał się gorzko... A wystarcza chociażby ten jeden: — Gdy patrzyłem z góry... całowałaś fotografję, ale schowałaś ją zaraz przed moim wzrokiem... — patrzył jej w oczy badawczo, ale z Reną stało się nagle coś dziwnego. Twarzyczka jej poważna, niemal surowa—raptem odmieniła się, jakby pod muśnięciem różanej zorzy — rozpromieniła się... wyanielała... Głosem pełnym głębokich tonów, miękkim i rzewnym spytała:

— Czy pan widział tę fotografję? —

Mirski zdumiony niepojętą dla niego zmianą, zaszłą w tej dziecinnej twarzyczce — odpowiadał już z pewnem wahaniem.

— Nie widziałem, ale, sądząc po pośpiechu, z jakim ją ukryłaś, mam prawo podejrzewać, że

mogła to być jedynie fotografja Karola,... którą nadto oblewałaś łzami i.. pocałunkami. — Rzucił te słowa przez zaciśnięte zęby, jakby wstręt i trud sprawiało mu samo ich wymówienie.

— A jeżeli temu zaprzeczasz, to czemu na dowód nie pokażesz? — Męką mu była ta prośba i poniżeniem, ale chciał kielich goryczy do dna wysączyć.

— Bo nie mam obowiązku bronienia się... zwłaszcza... gdy mi nie ufają... — powiedziała łagodnie, ale z bolesną wymówką.

— Więc powiedz... czyja była... ta fotografja? Ja tak cierpię...— błagał, wyciągając do niej ręce...

Na twarzy Reny odbijało się wewnętrzne zmaganie. Wreszcie podeszła do Mirskiego bliżej, podniosła na niego cudne promieniste oczy i słodko, z całą potęgą kobiecego uczucia, wyjmując wolno z za gorsu, schowaną fotografję, rzekła z prostotą ujmującą:

— ...To była... fotografja... mego męża! — Istotnie z ciemnego tła, wychylała się dorodna postać Mirskiego.

— Reno!—krzyknął, porywając ją w objęcia. W tym jednym okrzyku mieściło się wszystko: męka długich mięsięcy niepewności... lęk utraty szczęścia na zawsze... miłość niewolnika... i triumf zdobywcy!

* *
*

Na niebiosach koralowe blaski konały; las przestawał gwarzyć poszumem liści... układały się powoli do snu smukłe i rozłożyste drzewa... nawet po gniazdach usypiały ptaki...

Tylko tajemnicze skrzydlate duszki — paziki nocy, zwiewne i lekkie, jak mgiełki, sfrunęły na królewskie gody swej pani — nocy i szybko, a zwinnie okryły łąki, pola i drzemiący las—puszystą, mięciutką, brunatno-fioletową gazą. Pełno stało się jej wszędy... aż gęsto... aż dech tamowało...

Nagle coś wstrząsnęło ziemią... coś brutalnie przerwało majestat ciszy...

Po perłowych w mgły otulonych, srebrem babiego lata przetykanych... łąkach.. polach.. po pustych ugorach... rozlały się tony dzwonów... śpiewając... na radość ludziom... na ukojenie...

— — — — — — — — — — — —

— Stefie — pytała Rena, przytulona do ramienia męża, opierając paluszek na różowych usteczkach.

Stefie — słyszysz — to aniołowie na organach w niebie nam przygrywają.. Sam Pan Jezus błogosławi.

Klęknijmy — zmówmy pierwszy raz wspólną modlitwę... na nową dolę...

— Na nową lepszą dolę — poprawił mocnym jak spiże głosem, Mirski, cisnąc do piersi kędzierzawą główkę...

II.

Koło zastawionego suto stołu, przybranego w kryształy, srebra i świeże kwiały, siedzieli przy podwieczorku, przytuleni do siebie,— Stefan i Rena. Mirski z żalem puszczał żonę, gdy co chwila wyrywała mu się, z pełnym czaru uśmiechem, do zajęć gospodarskich przy stole, podsu-

wając ulubione przysmaki z pilną uwagą, by wszystko były smaczne i estetycznie przyrządzone. A przy tych czynnościach tyle było wdzięku w każdym jej ruchu, tyle szlachetnej godności, a jednocześnie dziecięcej prostoty i wiośnianego uroku w tej smukłej postaci w białą sukienkę otulonej, że Mirski nie mógł oderwać zachwyconych oczu i wodził niemi, zazdroszcząc każdemu niemal sprzętowi, którego dotykały jej malutkie zgrabne rączki. Gdy je chwilami podnosiła w górę, by poprawić niesforne złoto-kasztanowate loki, przypominała wówczas grecką amforę lub podzwrotnikowy storczyk o skomplikowanej, a przedziwnej budowie. Była w niej wytworność i wdzięk obok doskonałej harmonji linij.

— Nie przeszkadzaj, — przekomarzała się, gdy chciał ją przyciągnąć do siebie...

— Mój pan zasłużył dzisiaj na podwieczorek uszykowany tylko... rączkami swej żony,—mówiła dumnie, patrząc umyślnie z góry w rozkochane, rozbłysłe szafirami oczy męża.

Patrz i podziwiaj! — wędlinę sama przyrządzałam; te ciasteczka i sucharki—mojej roboty! Ach prawda! — przecież i twój ulubiony chleb wiejski sama miesiłam i masło robiłam własnemi rękami! — chwaliła się z minką wytrawnej, a pewnej siebie młodej gosposi.

— Niemożliwe! jakto — te malutkie, pachnące rączki potrafiłyby to wszystko same zrobić? — pytał Stefan zdumiony i olśniony odkrytemi doskonałościami żony...

— A tak! — kiwnęła główką. — Ale widzisz oneby same wszystkiemu rady nie dały... gdyby...

— Gdyby co? — pytał, schwyciwszy Renę w pół i całując ją w rozchylone usteczka.

— Gdyby nie jeden pomocnik! — stary, jak świat, ale przyjaciel wierny i wypróbowany, choć czasami i psotnik nielada! — A nazywa on się... miłość! Roześmiała się srebrzyście i, zarzuciwszy ręce na szyję mężowi, ślicznie ku niemu przegięta, mówiła słodko, mrużąc swe gwiaździste źrenice.

— Mój pan długo z tym przyjacielem wojował — pogroziła mu figlarnie — nie chciał mu się poddać... choć to staruszek zasłużony... Walczył pan dobrodziej... bronił się... upierał... aż...

— Aż przyszła pewna leśna boginka, co pełno miała szyszek, paproci i listków w niesfornych loczkach...

— I zawojowała niesfornego pana — nieprawdaż? — Tak się przecież należało z samego chociażby tytułu godności boginki!—śmiała się Rena.

— Ale za to biedny, uparty jegomość musiał za karę stać się odtąd najposłuszniejszym niewolnikiem tego zaborczego dobrodzieja.—Czy nie tak? — pytał Stefan, całując delikatnie marzące oczy Reny.

— Chodź, Stefie, usiądziemy tu na kanapce, taka jestem dzisiaj z ciebie dumna! pociągnęła go ku niskiej w rogu stojącej kanapce, patrząc w oczy z poddańczą miłością.

Serce nie mieściło mi się wprost w piersiach tak rosło... olbrzymiało, rozpierającą je dumą, gdy dzisiaj przemawiałeś w Związku Ziemian. Tak jasno, tak dobitnie mówiłeś o wysokich zadaniach ziemianina jako wzorowego obywatela

kraju. Mnie samej dopiero wówczas skrystalizowało się to stanowisko, jako wzniosła placówka pracy społecznej — oświatowej i wychowawczej. Takim wydałeś mi się wtedy pełnym człowiekiem, mówiąc o ofiarnym, a nieraz nawet i krwawym trudzie pracy na ojczystym zagonie, o apostolstwie przykładu — mocnego trwania przy ziemi...

Wtedy pomyślałam sobie:—Obudził się lew! Głos twój w tem przemówieniu miał metaliczną dźwięczność dzwonu, a oczy mieniące się to szafirem, to granatem — wprost paliły się blaskami zapału! A ja, siedząc w kąciku, czułam się taka szczęśliwa, że jestem malutką cząsteczką takiego wielkiego człowieka, mówiła, garnąc się ciepło do ramienia męża.

— Ty jesteś nie malutką cząsteczką—przerwał młody człowiek, ale lepszą moją połową! bo jeśli jest we mnie coś z pełnego człowieczeństwa, to zawdzięczam tobie, powiedział Stefan niskim, głębokim tonem, przyciskając ze czcią i miłością do serca malutkie rączki żony.

— Dotąd dusza moja drzemała... Byłem egoistą i tylko doktrynerem. Ani myśl moja, ani wola nie były twórcze, nie dały z siebie nic, coby było czynem uświadomionym, a skierowanym ku potrzebie pracy, czy walki nawet w ogólnym pochodzie narodów do poprawy stosunków na ziemi. Mało zastanawiałem się nad tem, że człowiekowi nie wolno zasklepiać się jedynie w ciasnem kółeczku swego „ja" osobistego, nie wolno stać się dla siebie wszystkiem, nie żyjąc wspólnie z tymi, co płaczę i z tymi, co się cieszą... Dotąd nie zrobiłem w życiu... nic

A prawda, zapomniałem! owszem zrobiłem... Zmarnowałem cały rok życia sobie i komuś ponad świat droższemu... — zakończył gorzko.

— O, Stefie! nie psuj tej podniosłej chwili wspomnieniami; to, co minęło, już nie wróci, więc poco mącić tem pokój obecnych jasnych dni... Cierpienie było widocznie potrzebne, aby w niem zmężniał i zahartował się duch, aby w tej próbie... odnalazły się... poznały i pokochały nasze dusze... jakoś lepiej, inaczej...—

I zmieniając ton, jakby chciała oderwać myśl męża od smutnych rozpamiętywań przeszłości, zapytała słodko:

— A pamiętasz, jak cię mordowałam bez litości wtedy w Dobromilach? Jakżeś ty się męczył, nie mogąc mnie zdobyć dla chwilki rozmowy poufnej, pamiętasz? — Łzy już się szkliły w oczach Reny.

Ile ja się napłakałam, zmuszając się do tego niemiłosiernego dokuczania ci—a jednak nie mogłam się przemóc. Trzymała mnie przedewszystkiem przysięga, złożona przy twojem łóżku wówczas, gdy przejrzałam, gdy borykałeś się ze śmiercią, przed którą, po ludzku sądząc, nie było już ratunku. Przysięgłam wtedy uroczyście, że nie wrócę do ciebie, nie sięgnę po szczęście utracone dotąd, — póki dusze nasze nie dojrzeją... Nadto jakaś nieugięta duma kazała mi ciągle ukrywać swe uczucia dla ciebie... Nieraz, gdyś odchodził chmurny i zatroskany, miałam ochotę już biec wszystko ci wyznać i zakończyć tę wzajemną mękę, ale dziwna nieśmiałość zamykała mi usta i lęk straszny... obłędny, że mnie znów...

odrzucisz... dodała, patrząc z lękiem, czy przypominając przeszłość, nie rozbudzi w mężu znów wyrzutów.

Tymczasem myśl Stefana śledziła widocznie jakieś same pogodne obrazy, bo jakby nie słysząc ostatnich słów Reny mówił, patrząc na nią roześmianym wzrokiem.

— Ale przyznaj, że taki figiel jakiegoś ty mi spłatała — psotnico — to godny zemsty tylko kobiecej!

Doprowadzić do tego, żebym się drugi raz we własnej żonie zakochał — i to jak jeszcze! — bez pamięci!

Nie — tylko kobieta może się zdobyć na podobną przebiegłość!

Wprawdzie zdarzały się czasami podobne wypadki... ale prędzej w powieści i to rzadko, ale żeby w rzeczywistości zakochać się we własnej żonie—poraz drugi—to niesłychane!

Mówił umyślnie tonem, graniczącym z oburzeniem, bo widział, jaką tem radość sprawia Renie.

— No ale przecież to zakochanie było z wzajemnością—broniła się z minką skruszoną.

— Czy pierwsze, czy drugie? — przekomarzał się Stefan, całując jej półotwarte pąsowe usteczka.

— I pierwsze... i drugie... i wszystkie — wyliczała. Ja się tam przyznaję, chociaż z upokorzeniem, że od samego początku... byłam w moim panu zakochana... do szaleństwa.

— Czy także i wtedy, gdy uciekałaś jak spłoszona sarenka, skoro tylko gdzie się pokazałem?

— Nawet wtedy gdyś mi brutalnie rzucił w twarz zarzut co do Karola... chociaż było za co obrazić się śmiertelnie!

— Tymczasem zamiast tego, coby się słusznie należało takiemu mężowi-bolszewikowi, — pewne rozkoszne stworzenie... najmilsze, najbardziej typowe kobieciątko.. zamiast obrazy... całuje fotografję męża... brutala! — Czy to nie szczyt wyrafinowanej kokieterji?

— O, bardzo przepraszam! — raczej powiedz— szczyt heroizmu miłości! — deklamowała Rena z komicznym patosem.

— Tak nieinaczej — potwierdził Stefan gorąco — dla mnie psychika kobieca będzie zawsze zagadkę...

Jak mogłaś mi przebaczyć i zdobyć się jeszcze na to, by takiego człowieka pielęgnować i to z całą ofiarnością! — doprawdy tego nie zdołam nigdy zrozumieć.

— Bo jesteś mężczyzną! — z odcieniem pewnej wyższości odpowiedziała Rena, gładząc białą rączką falującą płową czuprynę Stefana.—Zaraz ci to jaśniej wytłumaczę.

Widzisz tak jest: wy mężczyźni kochacie rozumem lub zmysłami, albo jednem i drugiem tylko i wasza miłość na grubym podkładzie egoizmu się opiera. My zaś kochamy sercem i tylko sercem i nasza miłość jest bezgranicznie ofiarna, umie się zaprzeć — wprost unicestwić siebie. I więcej ci jeszcze powiem: w waszem życiu miłość bywa często tylko epizodem, mniej lub więcej krótkim, — w naszem — jest jego

treścią. My jesteśmy poprostu stworzone na tó, by wieczyście płonąć i spalać się na ofiarnym ołtarzu.

— Wiesz, Reno, że gdy patrzę na ciebie, gdy słucham, jak z tych ślicznych na pół dziecinnych usteczek padają słowa takie pełne powagi i namaszczenia, a jednocześnie prawdy życiowej, to znów muszę się tylko dziwić i dziwić i niewiadomo bardziej czemu — czy przebogatej rożnorodności waszej kobiecej natury, czy też — naszej w tym kierunku ignorancji. —

— Nie, tak znów źle nie jest, Stefie. Wybyście mogli nas znać, ale nie chce wam się tego chcieć, bo przeszkadza egoizm, wrodzony wam sybarytyzm życiowy, a to sprawia, że ot, poprostu niedoceniacie nas często!—

— No pewnie, że gdyby wszystkie kobiety do ciebie były podobne... —

— To świat byłby samemi doskonałościami naszpikowany i stąd... przenudny, no prawda? przyznaj się, że takie zakończenie drżało ci na ustach, — mówiła Rena, zaglądając mężowi przekornie w oczy.

— Wcale nie — bronił się Stefan! chciałem tylko to zaznaczyć, że przecież niewszystkie kobiety warte są wysokiej oceny, zwłaszcza dzisiejsze i to głównie mężatki!... —

— Bo nikt w nich duszy nie budzi... Zapadła chwila milczenia... Oboje młodzi ludzie — każde oddzielnie i każde inaczej rozwiązywało w myśli trudne problemy życiowe. Pierwszy przerwał milczenie Stefan, przyciągając lekko żonę do siebie i pieszcząc jej drobne rączki.

— Najwięcej pod tym względem mam sobie do zarzucenia... spowiadał się z niekłamaną troską. Nie znałem cię zupełnie, — a co gorsze, — że nie troszczyłem się o to wcale. Czy mi przeba, czysz, najdroższa, gdy ci wyznam, czy uwierzyszże nawet ośmieliłem się nazwać cię kiedyś w rozmowie z naszym doktorem „laleczką z żurnala“! To z mojej strony było wprost oburzające — oskarżał się Stefan z wyrazem prawdziwego potępienia.

— A to ci się udało! — zawołała Rena, śmiejąc się, jak dziecko. Wcale nie byłeś daleki od prawdy, Stefanku, uspokajała go. Ale wyobrażam sobie zgorszenie kochanego staruszka... i jakbym słyszała te potoki jego wymowy i gromy potępienia, walące się na głowę mego najdroższego... grzesznika! — wołała z twarzyczką całą rozradowaną.

Ale za chwilę te śliczne roześmiane oczy dziecka-kobiety przesłoniła mgła zadumy, a pierś podniosło ciche westchnienie.

— A jednak, Stefie, tak byłeś niedaleki prawdy, bo istotnie bardzo dużo brakowało mi wtedy do wypełnienia roli prawdziwej kobiety człowieka! Byłam zupełnem dzieckiem, nieświadomem obowiązków i odpowiedzialności, jaką nałożyło na mnie życie. Ale za to tkwiła we mnie mocno jedna mądrość i jedna siła... a tą... miłość dla ciebie, Stefie.—Zarzuciła mu ufnie ręce na szyję, patrząc na tę twarz, umiłowanego nad wszystko człowieka, wzrokiem już nietylko kobiety - żony, ale raczej matki, która bezgranicznie kochając— przebacza.

— Tak — ta miłość, którą w sobie nawet potępiałam, wstydziłam jej się — jako słabości wobec twego zachowania się, — ona jednak okazała się mądrością istotnie, bo nawet twórczą. Ta miłość nauczyła mnie wierzyć!... —

— Jakto! — przerwał Mirski, którego już raz zaciekawił ten niewyjaśniony moment psychologiczny u Reny, zaznaczony w opowiadaniu Jacentego. Wyjaśnij mi to, dziecino — prosił, bo z luźno pozbieranych spostrzeżeń w okresie moich strasznych zmagań wewnętrznych — zagadką była dla mnie twa psychika pod względem przekonań religijnych...—

— A ta psychika taka niewymyślna! Słuchaj więc... Zapewne znasz z opowiadań Jacentego przebieg swojej choroby i... mojej akcji ratunkowej — zaczęła Rena.

— O znam! — to wszakże zdecydowało o mojem duchowem zmartwychwstaniu!

— A zatem w tym momencie, gdyś ty się pasował ze śmiercią, gdy środki ludzkie okazały się bezskutecznemi i wszelki ratunek niemożliwy prawie — wówczas z miłości, z troski śmiertelnej o twoje życie poczęła się w duszy mojej wiara — wiara mocna, nieustępliwa, ufna i... — tu spuściła główkę, zawstydzona, nie chcąc zdradzać swej serdecznej tajemnicy.

— Wiem... wiem... co dalej było... nie kończ jedyna, bo mnie upokarzasz, wiem, w jaki sposób wykupiłaś mnie śmierci.

— Tak tego cudu dokonała miłość i dlatego pozwalam sobie twierdzić, że ona jest wielką potęgą w sercu kobiety — mówiła Rena.

— Tak, dziecino — nie zaprzeczam, ale ciągle wracam do pierwszego założenia, że jest siłą i potęgą, lecz w sercu prawdziwej kobiety, — nie tej dzisiejszej — wypomadowanej, ukarminowanej i t. p.

— Nie inaczej; gdy kobieta potrafi wydobyć z siebie te wartości moralne, które Bóg hojnie w niej — jakby w jakiej świątyni złożył, gdy ponad bunt namiętności zatriumfuje w niej i rozbłyśnie kwiat czystych uczuć, — świętą dobrocią wzmocnionych, wówczas miłość kobiety cudów może dokonać..

Ale ja ci tu wysnuwam cały poemat o miłości, jak średniowieczna kasztelanka swemu trubadurowi...a tymczasem patrz, Stefie jakie cuda dzieją się na niebie... Widać przez okno... Powietrze też aż dusi... takie ciepłe i wonne... wyjdźmy do parku... prosiła.

Tak lubiej chodzić, przytulona do twego boku... zdaje mi się, że szłabym tak do końca życia.—

— Bo i tak będzie, Reno. Dopiero teraz tworzymy całość... dwa ciała, a jedna dusza... uroczyście mówił Stefan. Odtąd zawsze razem chodzić będziemy... w złej, czy dobrej doli... szeptał jej gorąco do ucha.

— I razem będziemy pracować, by coś—jakąś duchową spuściznę zostawić ludziom po sobie... skarby ducha wcielić w czyn... prawda Stefie?

— Patrz, Reno — jaką przepyszną grą barw mieni się teraz niebo... Rozstąpiły się obłoki i otchłanna przepaść wchłonęła jasność — wchłonęła, by nią się przepoić... a jutro znów obwieścić

ziemi cud różanych świtów... nowych dni... istnień... nowego życia...

— Nowego życia! — zbladłemi nagle usty, jak echo powtórzyła Rena i, drżąc leciutko, obróciła ku Stefanowi twarzyczkę rozbłysłą wewnętrznem światłem. A potem uśmiechnięta słodko i radośnie z mistrzostwem niezrównanej kobiecości, pochyliła główkę na ramię męża i poczęła mu szeptać coś długo i ciepło, aż zaróżowiły jej się maleńkie uszka, a później rzeźbiony profil i biała szyjka — wszystko pokryło się łuną rumieńca, w którym rozgorzała, jakby prześliczny kwiat granatu.

— Reno! Ty cudzie mój! Ty śnie najczarowniejszy! — wołał, oszalały najwyższą olśniewającą tajemnicą... i osunął się do jej stóp, obejmując je w ekstazie hołdu miłości wdzięcznej, a mocnej jak śmierć.

...A na niebie gasły purpurą malowane blaski zórz...

Warszawa, 5.V.30 r.